



ute Couture



PATRICIA MOYES

MORDERSTWO W ŚWIECIE MODY

CZYTELNIK

Patricia Moyes, współczesna pisarka angielska, która ma w swoim dorobku kilkanaście powieści kryminalnych, uważana jest za godną spadkobierczynię takich „królowych kryminalów” jak Agatha Christie.

„Morderstwo w świecie mody” rozgrywa się w redakcji londyńskiego magazynu „Moda”, a tajemnicę śmierci młodej i pięknej kobiety rozwiązuje – podobnie jak we wszystkich powieściach tej autorki – Henry Tibbett, niezawodny inspektor Scotland Yardu.



PATRICIA MOYES

Morderstwo w świecie mody

przełożyła Jadwiga Olędzka



WARSZAWA • 1975 CZYTELNIK

Tytuł oryginału angielskiego: MURDER A LA MODE

© Patricia Moyes, 1963

Okładkę projektował

MARIAN STACHURSKI

„Czytelnik”, Warszawa 1975

Wydanie I.

Nakład 100 290 egz.

Ark, wyd. 11,8; ark, druk.18.

Papier rotograw, kl. VII, 65 g. 75 cm.

Oddano do składania 12 XI 1971.

Podpisano do druku 18 VII 1975.

Druk ukończono w sierpniu 1975 r.

Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie.

Zam, wyd. 586, druk. 822. B-47.

Cena zł 39.—

Printed in Poland

Rozdział I

— Mówię ci, że tego nie zrobię! — wrzasnął Patryk Walsh. — Nie zrobię! To obrzydliwe! Wstrętne! Jeśli dasz to okropieństwo na rozkładówce, rezygnuję z pracy. Jeśli nawet umieścisz je na odwrocie strony tytułowej, możesz oddać mi moje papiery i cześć! — Chodził po pokoju świadomie ciężkim, długim krokiem, próbując wyrwać garść siwych, zmierzwionych włosów z gęstej czupryny, która, jak zniszczona kozacka czapka, sterczała nad jego szeroką, czerwoną twarzą.

— To nowa linia i nowa długość, Patryku — powiedziała stanowczym tonem Margery French. Uniosła woalkę znad swojego czarnego słomkowego kapelusza, wyciągnęła na całą długość rękę, w której trzymała lśniąca fotografię, i przyjrzała jej się mrużąc oczy. — Uważam, że to robi mocne wrażenie. Ilustruje artykuł Heleny. Przyznaję, że nie jest to konwencjonalnie ładne...

— Ładne! — Patryk zatrzymał się i wznosił ogromne ręce ku niebu. — Ładne! — ryknął. — A kto powiedział, że ja chcę ładnych obrazków? Chcę po prostu czegoś o określonej formie, nic więcej. Czy to za duże wymagania? — Zniżył nagle głos do uwodzicielskiego szeptu. — Słuchaj, droga Margery, jesteś miłą kobietą i szefową, ale miej odrobinę litości nad swoim biednym starym redaktorem technicznym. Nie mogę dać na rozkładówkę tego... tego śliwkowego pudingu na szczudłach.

Zaległo przytłaczające milczenie.

Siedząca w sąsiednim pokoju Teresa Masters uśmiechnęła się ze znużeniem.

— Ciotunia znowu się wścieka — zauważyła. — On jest naprawdę niemożliwy. Posiedzimy tu pewnie całą noc. — Zapaliła papierosa i usiadła na biurku wymachując zgrabnymi nogami.

— Ja na pewno zostanę na noc — odrzekła cierpko Helena Pankhurst. — Zawsze zostaję w takich razach, o ile pamiętasz. Moja praca zaczyna się dopiero wtedy, gdy twoja się kończy. — Wytarła głośno nos i nałożyła ogromne okulary w oprawce wysadzanej sztucznymi diamentami. — Czy zechciałabyś zejść z mojego biurka, Tere-so? Siedzisz na ułożonych przeze mnie podpisach pod ilustracje.

Drzwi łączące dwa pokoje otworzyły się i rozległ się energiczny głos:

— Panno Masters, czy może pani poświęcić chwilę redaktorowi?

— Z przyjemnością, proszę pani — odrzekła Teresa. — Już wkaczam na pole walki. — Zaciągnęła się głęboko papierosem i weszła do drugiego pokoju.

— Ach, Tereso, moja droga! — Głos Margery French brzmiał miło i spokojnie, nie było w nim śladu zdenerwowania. — Patryk jest trochę niezadowolony z rozkładówki prezentującej model firmy Monnier. Chciałabym usłyszeć twoje zdanie...

Drzwi zamknęły się za Teresą. Helena Pankhurst spojrzała na zegarek. Już wpół do dwunastej, a jeszcze ani jedna makieta nie gotowa. Na dworze, w blasku latarni na Mayfair Street, portier z restauracji „Oranzeria”, zgarbiony pod ogromnym czarnym parasolem, skinął na

taksówkę; zmęczony mężczyzna w zniszczonym brązowym płaszczu dygotał z zimna obok koszyka czerwonych róż w pąkach, niezwykłych o tej porze roku. Ulica lśniła w styczniowym deszczu jak czarny atlas.

Wpół do dwunastej, a w perspektywie cała długa noc. W domach po drugiej stronie ulicy wszystkie okna powyżej parteru były już ciemne z wyjątkiem jednego, dokładnie naprzeciw okna pokoju Heleny. Świeciło się tam jeszcze na jednym z górnych pięter. Wszystkie te budynki, niegdyś mieszkalne, zostały dawno zamienione na biura i parę minut po szóstej ostatnia sekretarka pospieszyła do domu kuląc się na deszczu i wietrze. Na całej ulicy tylko wysoki budynek w stylu georgiańskim, w którym mieściła się redakcja „Mody”, był oświetlony i wrzała w nim praca. W tę noc bowiem przygotowywano do druku numer poświęcony kolekcji paryskiej. Powtarzało się to dwa razy do roku, a niektórzy członkowie zespołu redakcyjnego mozolili się i spierali do świtu, aby czytelnicy w całej Anglii mogli delektować się w odpowiednim czasie zdjęciami i informacjami dotyczącymi mody w Paryżu, przedstawionymi w sposób kompetentny przez najświetniejszy ze świetnych magazynów.

Czytelnicy ci, na ogół dość naiwni, byliby zdumieni taką gorączkową pracą, bo do dnia ukazania się specjalnego numeru pozostawało jeszcze trzy tygodnie. Nie doceniali, tak jak Helena, ogromnego wysiłku, jakiego wymagało przygotowanie tych szesnastu stron na dwa tygodnie przed ukazaniem się ich w druku. Trudno było spodziewać się, że wiedzą, iż wspaniałe reprodukcje zdjęć, czyste kolory i piękny skład „Mody” są wynikiem tygodni cierpliwej pracy, która w tym

wyjatkowym wypadku musiała być skondensowana w sposób drakoński. Jednym z ironicznych aspektów całej sprawy, myślała Helena, jest fakt, że najistotniejsze w całym roku artykuły o modzie muszą zawsze powstawać w czasie tych morderczych nocy, gdy nie ma wcale lub prawie wcale czasu na poprawki czy namysły.

Zaledwie dziś po południu ekipa wysłana z „Mody” zasiadła w Paryżu na niewygodnych maleńkich połączanych krzeselkach, aby obejrzeć pokaz ostatniej kolekcji. Zaledwie o szóstej wyzwalacz aparatu fotograficznego Michała Healy trzasnął po raz ostatni przy wykonywaniu zdjęcia szczupłej i smukłej Weroniki Spence, obracającej się w kółko na najwyższej kondygnacji wieży Eiffla, a ubranej w wieczorową szyfonową suknię, zaprojektowaną w największej tajemnicy przez Monniera. Zaledwie o dziewiątej Teresa i Michał wysiedli zmęczeni z samolotu na lotnisku londyńskim, a za nimi sprawna, niewzruszenie spokojna Rachel Field, sekretarka naczelnego redaktora „Mody”. Zaledwie o wpół do jedenastej mokre jeszcze odbitki zdjęć Michała wyłoniły się z ciemni w biurach „Mody” i spoczęły w sąsiednim pokoju na biurku redaktora technicznego, Patryka Walsh.

Teraz było wpół do dwunastej, a w pokoju naczelnego jak zawsze szalał spór i, jak zawsze, znikąło opanowanie i słychać było podniesione głosy. Jakie zdjęcia należy wykorzystać i jakie zaprezentować? Co jest „bombą”? Które tendencje w nowej kolekcji są niewątpliwymi drogowskazami przyszłej mody, a które fiaskiem? Którzy, z młodych projektantów tworzą jakiś styl na łamach „Mody”? Teresa Masters, ładna, młoda blondynka, półanalfabetyczny produkt najlepszej angielskiej prywatnej szkoły, znała odpowiedzi na te pytania, bo

wyczuwała prąd mody w czubkach swoich smukłych palców, tak jak artysta wyczuwa barwy, a rzeźbiarz kształt i tworzywo. Teresa wiedziała, ale nie potrafiła tego dobrze wytłumaczyć. Patryk Walsh wiedział, co zafrapuje czytelników na wydrukowanej stronie. Margery French, jako naczelny redaktor, była za całość ostatecznie odpowiedzialna. Będą się spierali godzinami.

A tymczasem Helena mogła jedynie siedzieć i czekać. Jej zadanie było bardzo praktyczne. Po pierwsze, kiedy przychodziły gotowe makiety, układała podpisy, wymierzając je starannie, aby wypełnić przestrzeń, którą przeznaczył na to Patryk, i wyławiając z nabazgranych notatek Teresy opinie „Mody” na temat znaczenia nowej sylwetki Z, stworzonej przez Monniera, i przyszłości ząbkowanego obrąbka. Potem z wypisanych starannie na maszynie danych Racheli Helena wydobywała informacje o tym, że tkanina pochodzi od Garique'a, Rodiera albo z Zakładów Jedwabniczych Cumberlanda i że model ten będzie można kupić w marcu u Harrodsa lub Debenhamsa. Na koniec musiała się upewnić, że o siódmej rano burzliwa nocna sesja zakończy się przepisaniem na czysto podpisów, do których dołączone zostaną odpowiednie zdjęcia i makiety, sprawdzone i jeszcze dodatkowo skontrolowane, gotowe dla gońca mającego zawieźć je do drukarni. Była to ciężka nocna praca i Helena czuła wdzięczność dla losu, że zdarzało się to tylko dwa razy w roku.

Wytarła powtórnie nos i naląła sobie herbaty ze zniszczonego czerwonego termosu, który zawsze przynosiła do biura na taką noc. Z niezadowolaniem stwierdziła, że w termosie pozostało już tylko pół

filiżanki płynu. Ujęła słuchawkę wewnętrznego telefonu i połączyła się z ciemnią.

— Halo! — odezwał się ponury głos.

— Ernie, tu mówi Pankhurst. Przyjdź, proszę, weź mój termos i zrób mi trochę świeżej herbaty. Ale zaraz.

— Miałem właśnie osłabiać negatyw...

— Nie wykręcaj się! — powiedziała gniewnie Helena i rzuciła słuchawkę. Wiedziała, że ma opinię kobiety despotycznej, ale nie przejmowała się tym. Miało to swoje dobre strony. Oczywiście po dwóch minutach wszedł Ernie, rozczochrany i zły, i zabrał cenny termos do swego kącika obok ciemni, gdzie zainstalowany był elektryczny czajnik do „zaparzanek”.

Helenę bolała głowa i myślała z goryczą, że takie już ma szczęście, by do wszystkich tych nocnych kłopotów doszło jeszcze męczące przeziębienie. Czuła się nieskończenie starsza mając zaledwie trzydzieści cztery lata i marzyła o tym, żeby móc się położyć. Zamiast tego wypłała pół filiżanki herbaty i zaczęła przeglądać niezbyt gramatyczne, ale barwne sprawozdanie Teresy.

„Kapelusze jak głębokie talerze, to b. ważne... kolory przypominające walkę byków... wspaniałe, w stylu nakryć głowy służących na wychodnym... Mogą być miękkie główki, ale zasadniczo kapelusz staromodny... stary luźny płaszcz typu Balenciaga, obcięty u dołu jakby sekatorem...”

Brzmiało to żywo i prawdziwie i Helena pragnęłaby móc to w takiej formie wydrukować, ale było to oczywiście niemożliwe. Zaczęła przekładać tekst na język „Mody”.

„Kapelusze o kształcie dysku, płaskie jak latające talerze... Kolory: czerń mantyli i czerwień płaszcz pikadora, z dodatkiem złota, barwy

świeżo wybitej monety... Wspaniałe dla kobiety odważnej... klasyczne na sposób nowoczesny... Wąskie płaszcze, jakby obszarpane u dołu...”

Znowu wytarła nos i pożałowała, że nie wzięła z domu aspiryny. Była już blisko północ.

W sąsiednim pokoju Teresa i Patryk klęczeli na ciemnofioletowym dywanie, czołgając się wśród stosu zdjęć i próbnych makiet.

— Trzeba to powiększyć — grzmiał Patryk. — Powiększyć i wyrzucić ten kapelusz.

— Nie! — zaprotestowała Teresa. — Na miłość boską, nie. Nie chcę wyrzucać tego kapelusza.

— Moja kochana, co to ma znaczyć?

— To ważne. — Teresa wykonała ręką gest trochę bezradny. — Bez tego kapelusza nie ma tematu. W tym roku liczą się kapelusze.

— No, dobrze. — Patryk był zły. — Niech będzie. Jeden wielki paskudny kapelusz przez dwie strony. Nadaj temu jakiś charakter. Przytnij to zdjęcie tutaj...

Drzwi prowadzące do pracowni graficznej kierowanej przez Patryka otworzyły się cicho i stanął w nich Michał Healy. Był to szczupły, bardzo wysoki mężczyzna, cieszący się opinią eleganta. W danej chwili był w koszuli bez marynarki, włosy miał zmierzwione, a jego pociągła twarz była wymizerowana ze zmęczenia. Powiedział lekko zgryźliwym tonem:

— Wiem, że jestem tylko marnym cholernym fotografem, ale może zechcielibyście mi powiedzieć, co, u diabła, zamierzacie zrobić z tym zdjęciem?

Teresa szybko podniosła na niego wzrok.

— Tylko przyciąć je troszkę, kochanie. Żeby pokazać kapelusz.

— Istotą tego zdjęcia — odrzekł kwaśno Michał — jest linia sukni, którą podkreśla i uzupełnia kapelusz. Jeśli zamierzacie pociąć je na kawałki, będę wdzięczny za usunięcie spod zdjęcia mojego nazwiska.

— No, Michale. — Margery French wyprostowała się na swoim obrotowym krześle za dużym biurkiem. Czarny słomkowy kapelusz zaczynał nieprzyjemnie uciskać skronie, ale nie przyszłoby jej do głowy zdjąć go, tak samo jak rozebrać się publicznie. — Wyjaśnijmy sprawę. Teresa uważa, że w tym sezonie kapelusze są niestęchanie ważne.

— Owszem, są.

— Michał jest zdania, że to zdjęcie zostanie zepsute, jeśli się je przytnie. A ja się z nim zgadzam.

— Dziękuję ci, Margery.

— Może więc damy Diora na rozkładówce, zostawimy to zdjęcie kapelusza na całej stronie, a wyrzucimy szyfon Monniera?

Nastąpił moment pełnej skupienia ciszy.

— Czy bardzo ci zależy na szyfonie Monniera, Tereso?

Teresa zawahała się.

— Nie tak strasznie — odrzekła w końcu. — Najważniejszy jest Balmain. Usuńmy szyfon.

— Margery najdroższa, jesteś genialna! — Patryk wstał i ryknął: — Donald!

Jak królik z kapelusza wyjrzała z drzwi pracowni graficznej głowa ciemnowłosego młodzieńca.

— Zabierz te wszystkie przeklęte makiety i spal, ty nędzny Szkocie! — wrzasnął Patryk, nagle w świetnym humorze, zmiatając stos

papierów z podłogi. — Potem powiększ zdjęcie modelu Diora, zrobimy kolaż z...

Zniknął w drzwiach swojej pracowni. Margery French uśmiechnęła się ciepłym, młodzieńczym uśmiechem, który kazał prawie zapomnieć, że to kobieta blisko sześćdziesięcioletnia, o ogromnej inteligencji, mająca w swoim środowisku duży wpływ i znaczenie.

— Mamy chyba z dziesięć minut spokoju — powiedziała. — Myślę, że pójde nabrać sił w pokoju wypoczynkowym. Niech mnie pani zawoła, panno Field, gdyby mnie ktoś potrzebował, zanim wróci pan Walsh. — Wstała trzymając się bardzo prosto, jej włosy ufarbowane na kolor niebieskawy były starannie ułożone. — Mam nadzieję, że odesłałeś do domu Ernesta, Michale. Praca w ciemni jest już na pewno o tej porze skończona.

— Wyszedł dziesięć minut temu, Margery.

— Dobrze. Wygląda ostatnio na zmęczonego. — Margery znowu się uśmiechnęła, ale tym razem był to uśmiech nieco wymuszony. Zachwiała się lekko i oparła ręką o biurko, by nie stracić równowagi. — Zobaczmy się za dziesięć minut.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, Michał Healy powiedział:

— Mam w Bogu nadzieję, że ona nie jest chora. Nigdy nie widziałem, żeby...

Teresa ziewnęła i przeciągnęła się.

— Nie jest istotą nadludzką, mój drogi, choć wielu ludzi, zdaje się, tak uważa. Męczy się jak każdy, choć nie chce się do tego przyznać. Ostatnio spuszcza się w wielu sprawach na Helenę. Niestety...

Milczenie, które zapadło po tych słowach, przerwał ostry klekot

maszyny do pisania — konieczne dla Teresy i Michała przypomnienie, że nie są sami. Istotnie, można im było wybaczyć, że zapomnieli, iż w pokoju znajduje się trzecia osoba. Rachela Field była szczytem doskonałości, jeśli chodzi o to, czym powinna być, sekretarka. Schludna, nie rzucająca się w oczy, dokładna, cicha, bardzo sprawna. Teresa wiedziała, że panna Field (jak ją zawsze nazywała) uważana jest przez młodszych członków zespołu za straszliwą pedantkę, ale ona sama nigdy tego nie zauważyła. Panny Field po prostu nie było, chyba że ktoś jej potrzebował. Teresie nigdy nie przyszło do głowy, że jedynie jej uprzywilejowane stanowisko redaktora działu mody chroniło ją przed poznaniem przykrzejszych stron charakteru Racheli.

Sama Rachela traktowała pannę Masters (jak ją zawsze nazywała) ze starannie ukrywaną niechęcią i irytacją. Natomiast panna French to był ktoś, dla kogo warto pracować i można być z tego dumnym. Uprzejma, nieraz zbyt uprzejma w mniemaniu Racheli, ale operatywna, stanowcza, mająca właściwe podejście do kartotek i metodycznego systemu pracy biurowej. Ale panna Masters... Roztargniona, nieodpowiedzialna, rozpieszczona — takimi epitetami obdarzała ją w duchu Rachela. Uważała, że panna French okazuje wyjątkową wyrozumiałość, tolerując głupie przywary tych ludzi. I pomyśleć, że panna Masters i ten typ Michał Healy obgadywali pannę French za jej plecami w jej własnym gabinecie... Rachela uderzała ze złością w klawisze maszyny, wyrażając w ten sposób swój krytycyzm.

— No — powiedział Michał — jeśli chcecie wykorzystać duże zdjęcie kapelusza Paulette, muszę zrobić inną odbitkę. To jest za ciemne. — Podniósł z podłogi fotografię i przyglądał się jej. — Boże,

ta mała Weronika jest cudownie zbudowana. Mógłbym coś z nią zrobić.

— Tego jestem pewna — rzekła z lekkim szyderstwem w głosie Teresa.

— Nie to, o czym myślisz, kochanie — odpowiedział Michał. Pocałował ją w czubek głowy o popielato-złocistych włosach i wyszedł gwizdząc. W pracowni graficznej minął Patryka Walsha i Donalda MacKaya, uplątanych w festony pociętych zdjęć.

— Mam nadzieję, chłopcy, że nie zabawiacie się brzydko? — powiedział surowo.

— Niech cię piekło pochłonie! — odrzekł Patryk.

— Ciotuniu droga, tkwię w nim od lat — odparł niefrasobliwie Michał i wszedł w zakurzoną ciszę ciemni, swojego królestwa. Było w pół do pierwszej.

Margery French leżała w pokoju wypoczynkowym na tapczanie i walczyła z uczuciem starości, zmęczenia i choroby. Od lat — dłużej, niż chciała, by jej przypominano — znajdowała przyjemność w tych całonocnych sesjach. Jeszcze w zeszłym roku potrafiła bez wysiłku ganiać młodszy personel do upadłego i pojawiać się nazajutrz w pracy uśmiechnięta i pogodna. To zmęczenie przerażało ją bardziej, niż chciałaby przyznać.

Była wdzięczna losowi, że ma Helenę i Teresę. Biedna Helena. Bystry umysł, dobre pióro, ale żadnego wyczucia mody. Oczywiście, nieczęsto wyczucie mody i talent wykonawczy łączyły się w jednej osobie, jak na przykład w Margery French. Margery nie była głupia i bez zarozumiałstwa sama to przyznawała. Gnębiła ją teraz kwestia wyboru swego następcy. Była inteligentna i bystra i wiedziała, że

niebawem musi się wycofać. Kto zajmie jej miejsce — Teresa czy Helena? Jest oczywiste, że z Teresy nigdy nie będzie redaktor pisma. Jest nieudolna, nietaktowna, nieodpowiedzialna i dość leniwa — a jednak ma to, czego potrzebuje „Moda”. Zaletę, bez której taki magazyn zginie. Odpowiednią kandydatką jest Helena i Margery wiedziała, że rada nadzorcza wyróżnia ją, a jednak Helena nie wyczułaby instynktownie, że kapelusze są w tym sezonie takie ważne. Prawdopodobnie interesowałaby ją wyłącznie nierówna linia obrąbka, co było z pewnością zabawne i efekciarskie, ale co Teresa szybko porzuciła jako innowację godną jedynie wzmianki i jednego zdjęcia, ale niczego więcej. I jeszcze jedno. Margery wiedziała, że Helena jest oddana pismu i pracowałaby lojalnie i z radością pod kierownictwem Teresy; ale wiedziała również, że Teresa dała wyraźnie do zrozumienia, iż gdyby mianowano redaktorem naczelnym Helenę, ona odejdzie. Nie, redaktorem musi być Teresa ze wszystkimi swoimi wadami. Margery przymknęła oczy i odpoczywała, jak zalecił jej lekarz. Wtedy właśnie uświadomiła sobie uparty stukot maszyny do pisania gdzieś tuż obok.

Ocknęła się w jednej chwili. To nie mogła być panna Field — jej pokój był daleko. Stukot dobiegał zza sąsiednich drzwi. Z pokoju Olwen. Margery, zirytowana, wstała z tapczanu, włożyła kapelusz i wyszła na korytarz. Tak, nie ma wątpliwości. Pod drzwiami Olwen widać było smugę światła. Margery otworzyła drzwi i weszła.

Olwen Pippet, sprawozdawca teatralny „Mody”, przedstawiała dziwaczny widok. Ubrana w niegustowną jasnopomarańczową suknię wieczorową, siedziała przy maszynie do pisania, w wielkich

rogowych okularach na nosie, a jej raczej brzydka twarz pochylona była pilnie nad robotą. Nogi w samych pończochach były oparte mocno i mało wytwornie o podłogę, obok pary zrzuconych z nich brokatowych pantofli i ciśniętego niedbale białego mohairowego szala. Nawet nie usłyszała otwierających się drzwi i kiedy Margery ostrym głosem powiedziała: „Olwen!”, podniosła wzrok oszołomiona, jakby zbudziła się ze snu.

— Olwen! — Czarny kapelusz Margery chwiał się na jej głowie.
— Co tu robisz o tej porze?

Olwen zmieszała się.

— Przepraszam panią. Nie chciałam...

— Niektórzy z nas muszą tu być, bo przygotowują numer o kolekcji — powiedziała Margery — ale ty na pewno nie jesteś tak zapracowana, żebyś musiała przychodzić do biura po północy w tym niezwykłym stroju.

Olwen zaczerwieniła się.

— Nie... nie... oczywiście, że nie. Tylko... ja... Wróciłam właśnie z premiery Lucyfera... tej nowej sztuki, wie pani...

— Wiem — odrzekła szorstko Margery.

— To było pasjonujące... — Olwen zdjęła okulary. Miała krótki wzrok i bez szkieł wyglądała jakby trochę zagubiona. Zapomniała o swoim zakłopotaniu i promieniała entuzjazmem. — To wielka chwila w teatrze angielskim, proszę pani. Prawdziwy wyłom, który powinien rozpocząć zupełnie nowy kierunek. Musiałam tu przyjść i opisać to wszystko, póki jeszcze na świeżo pamiętam...

— Nie wyobrażasz sobie chyba, że umieści się to w numerze marcowym?

— O, nie! — Olwen nie spieszyła się. — Ale zamierzałam poprosić panią o więcej miejsca w numerze kwietniowym. Chciałabym, żeby Michał poszedł tam i sfotografował Johna Hartleya w drugim akcie, w tej cudownej charakteryzacji.

— Numer kwietniowy już jest zaprojektowany.

— Ależ, proszę pani, widziałam Hartleya po przedstawieniu i obiecał, że napisze dla nas artykuł na temat tej sztuki, przedstawiając swój punkt widzenia jako aktor szkoły antybrechtowskiej. Wie pani przecież, że dotąd zawsze odmawiał komentarzy na temat własnej pracy. Dzienniki proponowały mu tysiące i...

— Bardzo dobra robota, Olwen. Gratuluję. — Margery zmusiła się do tego, żeby jej głos brzmiał przyjacielsko i serdecznie. — Jestem pewna, że znajdziemy na to miejsce w numerze kwietniowym. Ale uważam, że powinnaś już iść do domu, moja droga. Zamęczysz się.

— O, nie. Ja kocham pracę.

Margery French popatrzyła na młodą, poważną twarz, na beznamiętnie zaniedbany strój — poplamiony w dodatku atramentem — i na duże, szerokie stopy uwolnione z modnego obuwia. W bolesnym momencie prawdy rozpoznała samą siebie jako dwudziestodwuletnią dziewczynę, świeżo upieczoną absolwentkę uniwersytetu w Cambridge, ze wspaniałym dyplomem, pogrążoną po uszy w odwiecznych sprawach sztuki. W dali, na ścianie, jej odbicie w lustrze szydziło z niej bezlitośnie. Niebieskawe włosy, elegancka, wygorsetowana, w kapeluszu na głowie w biurze.

— Moda to także sztuka — powiedziała głośno.

Olwen spojrzała na nią zdziwiona.

— Naturalnie, proszę pani — odrzekła grzecznie.

Margery nie odważyła się na uśmiech.

— Dobranoc, moja droga — powiedziała. Wyszła szybko na korytarz i ruszyła w kierunku swego gabinetu.

Wpół do drugiej. Napięcie minęło, ustępując miejsca wyczerpaniu. Niechętnie, wśród zgryźliwych uwag, ostatnie makiety zostały zaakceptowane, a fotostat ukrył przyzwoicie to, co pozostało z nocy. Donald MacKay otarł czoło i włożył marynarkę. Patryk Walsh pociągnął dobrze zasłużony łyk irlandzkiej whisky z butelki przechowywanej dyskretnie w dolnej szufladzie biurka i zagwizdał cichutko. Miał wspaniały wieczór, pełen wielkich, pompatycznych, niegłośnych starć, które uwielbiał; co więcej, w większości z nich odniósł zwycięstwo.

Teresa Masters przypudrowała swój śliczny nosek w pokoju wypoczynkowym. Michał Healy przycesał proste, jasne włosy i zauważył z zalem, że goździk w jego butonierce zwiądnął. Margery French poprawiła czarny słonkowy kapelusz i poprosiła Rachelę Field, żeby zatelefonowała po taksówkę. Potem z lekkim poczuciem winy weszła do pokoju Heleny.

Helena siedziała przy maszynie do pisania. Biurka nie było widać pod bezładnym stosem papierów i makiet. Jej ciemne włosy były potargane, a ostry, dość długi nos świecił się prawie tak samo mocno jak sztuczne diamenty w oprawce okularów.

— Doprawdy, nie lubię zostawiać cię tu samą, kochana Heleno — powiedziała Margery. — Czy na pewno nie wołałabyś, żebym została i pomogła ci?

— Czuję się doskonale, dziękuję ci, Margery — odrzekła Helena ostrym głosem, który znały i którego obawiały się jej sekretarki. —

Kiedy już wszyscy wyjdziecie, będę mogła w spokoju zabrać się do pracy.

Margery przyjęła te słowa nie jako nieuprzejmość, lecz jako proste stwierdzenie faktu.

— Bardzo dobrze — powiedziała — ale stanowczo żądam, żebyś jutro wzięła wolny dzień.

— Prawdopodobnie nie będę mogła. Pierwsza forma kwietniowa ma być na jutro gotowa.

— Damy sobie radę bez ciebie.

— Wolałabym tu być. Pójdę tylko do domu, wykąpię się, zjem śniadanie i wrócę.

— No... zobaczysz, jak się będziesz czuła rano...

— Dziękuję, Margery. Dobranoc.

— Dobranoc, Heleno.

Z pewnym ociąganiem Margery wróciła do swego gabinetu. Helena włożyła czystą kartkę do maszyny i pisała:

„Do miasta zjechała Opera Żebracza. Obdarty Robin przedziera się przez paryskie żywopłoty w najbardziej dziwnych łachmanach...”

Zmarszczyła czoło, przekreśliła wątek i zaczęła od nowa:

„Paryż dyktuje: Na wiosnę łachmany i strzępy. Ulicznicy i szlifi-bruki rzucają się w oczy na pokazach mody w orgii jaskrawych barw...”

W tym momencie przyjechał Godfrey Goring.

Godfrey Goring, prezes i główny akcjonariusz Spółki Wydawniczej „Moda”, był inteligentnym, miłym mężczyzną trochę po pięćdziesiątce. Siwy i wytworny, wyglądał na to właśnie, czym był, to znaczy na zwyczajnego businessmana. Parę lat temu kupił sobie nadzór i udział w zyskach „Mody”, kiedy magazyn ten znajdował się w poważnych tarapatach finansowych. Wiadomo było powszechnie, że

Goring utopił znaczną sumę próbując wyciągnąć pismo z letargu i postawić na mocnych nogach. Fakt, że mu się to udało, zawdzięczał głównie polityce nie krępowania swego zespołu pod żadnym względem. Wiedział, że moda to wielki interes, i szczyił się tym, że angażuje największych ekspertów w tej efemerycznej sztuce i pozostawia im pełną swobodę. Znosił ich chandry i nastroje i pozwalał na najbardziej błazeńskie pomysły. Oceniał sukcesy lub klęski tych ludzi w sposób bardzo prosty — wysokością dochodu z reklam, który dawali spółce najlepsi producenci, ci, których ubiory sprzedaje się w cenie powyżej dwudziestu gwinei. Jedynie wtedy, kiedy dochód spadał, Goring pozwalał sobie w sposób jak najbardziej dyskretny na zwrócenie uwagi swemu zespołowi redakcyjnemu.

Na szczęście bardzo rzadko okazywało się to potrzebne. Ogólne zainteresowanie dobrym smakiem i wytwornym życiem stale wzrastało — a to właśnie miał na sprzedaż. Niemniej jednak bez jego łagodnej, lecz stanowczej kierowniczej ręki magazyn mógłby popaść znów w niewłaściwy stan ekonomiczny, w jakim go zastał. Z wszystkich podwładnych Goringa jedna Margery French zdawała sobie w pełni z tego sprawy. Była ona, jak mawiał często, jednym z najcenniejszych elementów „Mody”. Miała trafne i bezbłędne wyczucie stylu; nie zahała się pozostawić w jej rękach spraw administracyjnych i finansowych, kiedy przed rokiem wyjechał do Ameryki, aby zapoznać się z metodami druku i reklamy za Atlantykiem. Godfrey Goring miał dużo szacunku i sympatii dla Margery.

Doceniał również bezinteresowne oddanie i obowiązkowość, które skłaniały zespół redakcyjny „Mody” do tych nocnych pracowitych

„posiedzeń”, a tego wieczoru poczuł wspaniałomyślnie chęć, by ich jako za to wynagrodzić. Omówił właśnie ostatecznie podczas obiadu w „Oranżerii” niezwykle korzystny interes z Horacym Barry, energicznym właścicielem firmy Barrimodes; udało mu się mianowicie sprzedać Horacemu miejsce na czterobarwne ogłoszenie reklamowe na pewnej liczbie stron w najbliższych numerach „Mody”. Przy kawie przyłączył się do nich Mikołaj Knight, młody, zdolny projektant strojów (uważany za prawdopodobnego kandydata do Wielkiej Dziesiątki), który miał salon, pracownię i prywatne mieszkanie nad „Oranżerią”, w domu naprzeciwko biur „Mody”.

O wpół do drugiej wszystko wskazywało na to, że restauracja zostanie niebawem zamknięta, więc Godfrey zaproponował dwóm panom, żeby pojechali z nim do jego domu przy Brompton Square na szklaneczkę wina przed snem. Kiedy szedł mokrym po deszczu chodnikiem, spostrzegł, że w gmachu „Mody” palą się jeszcze światła. Drzwi frontowe otworzyły się właśnie i wyszedł z nich Donald MacKay, podnosząc kołnierz nieprzemakalnego płaszcza. Wzdrygnął się przy tym.

Goring rozpoznał go od razu i podszedł do niego.

— No jak tam? — spytał.

— Bardzo dobrze, proszę pana. Właśnie skończyliśmy wszyscy z wyjątkiem panny Pankhurst, oczywiście. Poszło względnie gładko — dodał, niezupełnie zgodnie z prawdą.

— No to świetnie. Dobranoc, MacKay.

Donald odszedł spiesznym krokiem, a Goring wsiadł do swego wozu. Wtedy właśnie przyszło mu na myśl, że mógłby zrobić zupełnie nieszablonowy, serdeczny gest, zapraszając tych, którzy jeszcze

pozostali w biurze, aby przyłączyli się do ich towarzystwa. Duże, oszklone drzwi wejściowe zatrzasnęły się za Donaldem, ale Goring miał własny klucz. Wszedł i wjechał windą na czwarte piętro. Nie mógł wybrać lepszej pory na wejście do biura. Margery, Teresa, Michał i Patryk znajdowali się w gabinecie Margery, a panna Field oznajmiła przed chwilą, że nie powiodło, jej się na piątym z kolei postoju taksówek. Mówili właśnie o tym, że złapią prywatny samochód, który ich podwiezie, i podzielią się kosztami. Godfrey zjawił się jak deus ex machina.

— Moi drodzy ciężko pracujący ludzie — powiedział. — Pojedziecie wszyscy ze mną moim wozem na Brompton Square. Napijemy się szampana, a potem Barker odwiezie wszystkich do domu. Proszę bez żadnych sprzeciwów.

Obiegł szybko spojrzeniem pokój i policzył. Barry i Knight pojechali już przodem samochodem Knighta. To znaczy, że prócz niego... raz, dwa, trzy, cztery, pięć osób... Pięć?... Policzył jeszcze raz głowy i ze wstydem zdał sobie sprawę, że jak zawsze pominął pannę Field.

— I panna Field, oczywiście. Pojedzie pani, prawda? Wiem, czym jest dla pani praca nad kolekcją. Nasza cicha bohaterka.

— Chyba nie będę mogła, proszę pana. Bardzo dziękuję. Muszę wracać do domu. Przyjechałam tutaj prosto z lotniska. Mam tu jeszcze walizkę i dlatego...

— O, rety! — wykrzyknęła mało wytwornie Teresa. — Michał i ja też mamy tu walizki. Zupełnie o nich zapomniałam. Są w ciemni, prawda, kochany?

Godfrey Goring zmarszczył czoło.

— Na bagaże nie bardzo jest miejsce, gdy wszyscy wsiądą —

powiedział. — Bagażnik jest pełen psich koszyków i różnych innych rzeczy, które kazała mi kupić żona. Możecie przecież zostawić walizki tutaj i zabrać je jutro. Tak będzie najlepiej. Chodźcie już... Pani także, panno Field. Bardzo proszę. Nie ustąpię.

W parę minut później cała szóstka załadowała się, nawet dość wygodnie, do ciemnoszarego Bentleya, który stał z nie zgaszonym silnikiem przed wejściowymi drzwiami. Godfrey uruchomił go i ruszył gładko mokrą, lśniąca ulicą. Przedtem jeszcze zyskał dozgonną wdzięczność kwiaciarza kupując po wygórowanej cenie trzy bukiety czerwonych róż, które ofiarował Margery, Teresie i Racheli.

W „Oranżerii” zmęczeni kelnerzy zamykali lokal i liczyli napiwki. Olwen Pipper w swoim pokoju w biurze spojrzała na zegarek i nie mogła uwierzyć, że jest już dziesięć po drugiej. Wyciągnęła wielki słownik, sprawdziła dokładne znaczenie dwóch obcych słów i z zadowolaniem stwierdziła, że użyła ich poprawnie. To ciężka rzecz dla sprawozdawcy teatralnego wyszukiwanie słów, których się rzadko używa.

W drugim końcu korytarza Helena Pankhurst kończyła swoją notkę reklamową do numeru kolekcyjnego. Słyszała głos Godfreya Goringa i była bardzo wdzięczna losowi, że wszyscy poszli sobie zostawiając ją w spokoju. Zaczęła nowy akapit.

„Roger Leblanc z firmy Monnier bierze zwój zielonego jedwabiu (od Garique'a), dodaje drobne brylanciki (od Gartiera), robi z nich lekki jak piórko kapelusz w kształcie merengi...”

Pociągnęła nosem, wytarła go znowu i nagle zdała sobie sprawę, że jest jej bardzo zimno mimo centralnego ogrzewania. Obok biurka

stał piecyk elektryczny, wstała więc i włączyła go. Potknęła się przy tym o coś i z irytacją zauważyła, że to walizka — zniszczona, ale z dobrej skóry, z bładozłotym monogramem R.F., wytloczonym na wierzchu. Jeden z zamków odskoczył i z przepełnionego wnętrza wypadł kawałek bibułki. Helena sumiennie próbowała zamknąć zamek, ale w tym momencie otworzył się drugi. Wieko odskoczyło i z walizki wysypały się na podłogę różne rzeczy. Była najwyraźniej za pełna, ale Helena nie miała ani czasu, ani energii na jej zamykanie. Zostawiła walizkę otwartą i wróciła do lekkiego jak pianka kapelusza.

W jakiś czas później, zatrzymawszy się w połowie akapitu, żeby wymyślić synonim słowa „biały”, przypomniała sobie, że Ernie nie odniósł napełnionego powtórnie termosu, i poszła po niego do ciemni. Gdy weszła do małego składziku, zauważyła natychmiast dwie walizki, które stały w zupełnie nieodpowiednim miejscu, pod zlewem. Jedna z nich, z pięknej świńskiej skóry, miała inicjały M.H. Do drugiej, białej, przyczepiona była duża różowa nalepka, na której nabażgrolono: „Teresa Masters, Crillon, Paryż”. Helena zawahała się. Podejrzewała, że w jednej z tych walizek znajduje się coś, co szczególnie pragnęła mieć. Dotknęła szybko zamka walizki. Nie była zamknięta. Walizka otworzyła się. Znalazła to, czego szukała, i z powrotem zamknęła. Potem, zapomniawszy o termosie, wróciła do swego pokoju.

Wkrótce usłyszała na korytarzu czyjeś kroki i niezbyt zdziwiła się zobaczywszy przez otwarte drzwi swego pokoju, że to Olwen Pipper zmierza do windy.

Olwen zawołała:

— Dobranoc, Heleno, do jutra!

Helena nie odpowiedziała. Była właśnie pochłonięta oglądaniem pozornie prostej czarnej sukni z tkaniny jedwabno-mohairowej z firmy Monnier (projektu Aschera), która będzie na sprzedaż w końcu marca u Marshalla i Snelgrove'a. Chwilę później zdała sobie niejasno sprawę, że słyszy szum zjeżdżającej windy, i zarejestrowała w mózgu, że to Olwen pojechała w końcu do domu.

Po kilku godzinach, mając jeszcze wiele stron do napisania, Helena stwierdziła, że marzy o filiżance herbaty, i wyruszyła znów na poszukiwanie swego termosu. Przeszła sztywno korytarzem, czytając notatki, które trzymała w ręce, do składziku obok ciemni, gdzie stał termos obok elektrycznego imbryka. Wzięła go — pochłonięta wciąż notatkami — zaniósła do swego gabinetu i postawiła na biurku. Nalała sobie kubek herbaty.

W zamyśleniu wkręciła arkusz papieru w maszynę i zaczęła pisać. Zatrzymała się sekundę zastanawiając się nad jakimś słowem i nie podnosząc oczu znad roboty wyciągnęła prawą rękę po kubek. Wypiła chciwie. Było w pół do piątej.

Młody goniec, który przyjechał na motocyklu z drukarni Wydawnictw Ilustrowanych, niecierpliwił się. Był chmurny, dżdżysty, przygnębiający ranek, a on czekał przed gmachem „Mody” od siódmej, jak mu kazano. Teraz było już prawie kwadrans po siódmej, oszklone drzwi wejściowe pozostawały wciąż zamknięte, hall zaś ciemny i niewidoczny. Nacisnął znowu dzwonek. Nie wydawało się, że budynek jest pusty. W jednym z okien na czwartym piętrze paliło się światło. Chłopak był nie tylko zły, ale i zaintrygowany, bo od kilku lat

przyjeżdżał do „Mody” i praca szła tu zawsze jak w zegarku. Co więcej, musiała tak iść. Tam, w Syde, czekali zecerzy i byłaby awantura, gdyby materiał się spóźnił. Ósma to termin nieprzekraczalny, powiedział kierownik zecerni. Chłopiec nie wiedział, czy zdąży teraz przy porannym nasileniu ulicznego ruchu.

— Ta cholerna baba pewnie zasnęła — mrucał pod nosem. Próbował powziąć decyzję, co najlepiej zrobić. Wiedział, że portier Alf przychodzi dopiero parę minut przed ósmą, żeby wypuścić batalion rozgadanych sprzątaczek.

Zostawił motocykl na chodniku, cofnął się na jezdnię i zagwizdał przeraźliwie. Jedynym tego skutkiem było pojawienie się znudzonego, zmarzniętego policjanta, który podszedł i spytał uprzejmie:

— O co chodzi, kolego?

— Miałem odebrać stąd pilny materiał punktualnie o siódmej, a oni tam śpią.

— Mimo to nie trzeba budzić wszystkich dokoła — powiedział grzecznie policjant. — Wiesz, co ci powiem? Za domem jest budka telefoniczna. Idź i zatelefonuj stamtąd. To ich obudzi. Popilnuję twojego motoru.

— Dziękuję.

Młodzieniec zniknął jak węgorz w mglistej ciemności. Po chwili policjant usłyszał ostry dźwięk telefonu dzwoniącego wewnątrz budynku. Trwało to ze dwie minuty bez przerwy. Potem goniec wrócił zrozpaczony.

— Pewnie nie ma tam nikogo — powiedział policjant.

— Musi ktoś być. Pali się światło. Poza tym jest materiał do zabrania...

— Niestety, nie mogę ci pomóc, synu. — Policjant był szczerze

zmartwiony. — Zaczekaj, póki nie zjawi się ktoś z kluczem. — Uśmiechnął się i odszedł szukać zbrodni.

Czekanie przedłużało się. O wpół do ósmej goniec zatelefonował do Sydenham i poczuł się bardzo dotknięty, kiedy kierownik zecerni zwymyślał go zdrowo. Jakby to była jego wina.

Za dziesięć ósma, gdy cała ulica zaczynała się ruszać, żyć, zabierać sprzed drzwi butelki z mlekiem, zjawił się Alf narzekając na pogodę i na swój reumatyzm.

— Nie martw się — powiedział uspokajająco. — Wjadę na górę i zobaczę, co się tam dzieje. Wejdz i zaczekaj w ciepłym hallu. — Poszukał w kieszeni klucza, otworzył drzwi i wszedł do windy. — Za minutę wrócę — dodał.

W półtorej minuty później winda była już znowu na dole. Alf wyskoczył z niej jak królik z pułapki, twarz miał szarą jak popiół, trząsł się cały.

— Szybko! Policję! Doktora! Szybko!

— A co się stało?

— Panna... panna Pankhurst... coś strasznego... Ona chyba nie żyje...

— A gdzie koperta dla mnie?

— Do diabła z twoją kopertą! — Alf oprzytomniał. — Sprowadź policjanta, chłopcze! Mówię ci, że ona nie żyje!

Rozdział II

Hotel „Crillon”, Paryż

Poniedziałek

*Najdroższa ciociu Emmy,
Piszę te kilka słówek, by donieść Ci, jak straszliwie się tu męczą,
słowo daję, że nigdy jeszcze tak ciężko nie pracowałam! I pomyśleć,*

iz wyobrażałam sobie kiedyś, że praca modelki to tylko paradowanie we wspaniałych toaletach! Spędziliśmy większość dnia na Wieży Eiffa (całe szczęście, że nie mam lęku przestrzeni) i prosto stamtąd pojechaliliśmy do pracowni, w których panuje przeraźliwy bałagan. Jestem tak zmęczona, że ledwo stoję.

Ale co za zabawa! I co za stroje! Nie wyobrażasz sobie! Ja mam więcej szczęścia niż inne dziewczyny, bo ludzie pracujący w „Modzie” są przemili. Panna Masters nie onieśmiela mnie wcale, a Michał to KOCHANY CHŁOPAK. Pamiętasz, jak się bałam myśląc o pracy dla niego? Panna Field jest strasznie miła — to idealna sekretarka i z początku budziła we mnie nieprzytomny strach, ale jest wspaniałą organizatorką, bez niej nie wydostalibyśmy strojów z salonów, nieraz musi bić się o nie!

Wiesz, poznałam samego Pierre Monniera!! I powiedział, że może skorzysta kiedyś z mojej pomocy, jeśli nauczę się chodzić! O mało nie umarłam!

Chciałabym tu zostać i obejrzeć choć trochę Paryż, ale wracamy do domu jutro wieczorem i w środę rano mam już inne zajęcia w „Modzie” — pokaz paru młodzieżowych strojów z Beth Conolly na Hampstead Heath (lub w pracowni, jeśli będzie padało, a mam nadzieję, że będzie), a wieczorem ponowne zdjęcia w wieczorowych strojach z panną Masters.

Wiele serdeczności dla Ciebie i duży całus dla Wujka Henryka. Czy mogę przyjść Cię odwiedzić, jak wrócę?

Ronnie

Emmy Tibbett uśmiechnęła się czytając list. Zawsze szczególnie lubiła tę swoją chrześniaczkę — najmłodszą córkę swej siostry — i

obserwowała, jak Weronika z baryłkowatej pensjonarki wyrosła na prześliczną dziewczynę, serdeczną i ambitną. To Emmy wyciągnęła pomocną rękę, kiedy w dniu siedemnastych urodzin Weronika oznajmiła, że bardzo chciałaby zostać modelką.

Starsza siostra Emmy, Jane, wyszła za farmera, Billa Spence'a. Mieszkali na spokojnej wsi w hrabstwie Devonshire, gdzie największą sensacją roku było organizowanie przez pastora wystawy kwiatów. Zrozumiałe, że rodzice Weroniki, zaskoczeni niezwykłymi ambicjami córki, zwrócili się do Emmy jako do mieszkanki Londynu i najbardziej doświadczonej ze znanych im osób, aby „wybiła dziewczynie te wszystkie bzdury z głowy”.

Emmy nie zrobiła tego. Okazała się natomiast bardzo praktyczna.

— Posłuchaj, Jane — powiedziała. — Ronnie nigdy nie będzie wielką intelektualistką. Powiedzmy sobie szczerze: umysłowo jest dość przeciętna. Co ją czeka? Skończy kurs dla sekretarek, jak miliony innych dziewcząt, i będzie gniła w jakimś nudnym biurze, póki nie wyjdzie za mąż.

— Wiem, Emmy, ale praca modelki...

— Całkiem uczciwy zawód i ciężka praca — odparła Emmy, a oczy jej się śmiały. — Nie sądzisz chyba, że to oznacza pozowanie nago jakimś podejrzanym artystom?

Jane zaczerwieniła się.

— No, nie... ale jednak, nie wydaje się to całkiem...

— Niech przyjedzie do Londynu i skończy kurs — podsunęła Emmy. — U nas nie ma miejsca, żeby mogła zamieszkać, ale znajdę jej pokój w pobliżu i obiecuję czuwać nad nią. Jeśli nie będzie się nadawała do tej pracy, szybko się o tym przekona i odechce jej się

tego. A jeśli się nada, będzie miała wspaniałe życie i mnóstwo pieniędzy.

— Jeśli naprawdę tak uważasz, Emmy...

W ten sposób Weronika Spence rozpoczęła swoją karierę. W bardzo krótkim czasie okazało się, że doskonale sobie radzi w tej pracy. W ciągu pół roku jej notes wypełnił się całkowicie notatkami o umówionych spotkaniach w fotograficznych atelier, a teraz, mając lat dziewiętnaście, osiągnęła najwyższe wyróżnienie: została wybrana do prezentowania w Paryżu strojów dla „Mody”. W ostatnim półroczu przeniosła się z pokoju wynajmowanego na Sydney Street do ładnego mieszkania w Victoria Grove, które dzieliła z drugą modelką — Nancy Blake, dziewczyną o czarnych jak smoła włosach, największych w Londynie zielonych oczach i usposobieniu miłej, rozpieszczanej kotki.

Weronika, cała koloru miodu, miała złociste włosy, delikatną cerę, z której nigdy nie schodziła wiejska opalenizna, i duże orzechowe oczy. Była tak zwaną swojską dziewczyną, o jakiej każdy marzy, pachnącą prostym, świeżym wiejskim jabłkiem, sianem, powojem i pieczonym w domu chlebem. Uosabiała właśnie to, czego szukali fotografowie.

Mając lat dziewiętnaście zarabiała prawie dwa razy tyle, co jej wytworny wuj, Henryk Tibbett, nadinspektor w Urzędzie Śledczym dla Spraw Kryminalnych.

Przy tym wszystkim — ku radości Emmy — Weronika pozostała prosta, niezblazowana i niezepsuta. Nigdy nie zapominała, czyjej pomocy zawdzięcza swoją ciekawą egzystencję i dlatego w zwariowanym kołowrotku, w jakim żyła na pokazie paryskim, znalazła czas, żeby napisać list do ukochanej ciotki.

Emmy przeczytała go jeszcze raz. Wracamy we wtorek. Dziś jest środa, więc Weronika musi już być w domu. Zadzwoń do niej później i zaprosi ją na drinka. Myśli Emmy zostały przerwane telefonem. Gdy tylko zadzwonił, wiedziała, że to Weronika, i przeżyła krótką chwilę zdziwienia, że dziewczyna telefonuje o wpół do jedenastej rano, kiedy powinna być pochłonięta pracą w „Modzie”.

Emmy wiedziała, że to Weronika, ale nie była przygotowana na prawie histeryczny wybuch słów, które biegły po drutach i rozsadały jej bębni.

— Ciociu Emmy! Och, jak dobrze, że cię zastałam! Stało się coś okropnego! Naprawdę okropnego! Jest tu wuj Henryk i wszyscy szaleją, i to jest straszne, ale okropnie podniecające, i właśnie ją zabrali, i...

— O czym ty mówisz, Ronnie?

— Nie czytałaś? Jest wzmianka w „Standard” i wszędzie pełno policji i reporterów.

— Weroniko! Mów do sensu. Skąd telefonujesz?

— Z „Mody”, oczywiście. Chociaż właściwie nie, z automatu na sąsiedniej ulicy. Wuj Henryk powiedział, że mogę wyjść i...

— Henryk? Cóż on, na Boga, robi w „Modzie”?

— To naturalne, że jest tutaj, zupełnie naturalne...

— Dlaczego naturalne?

— Bo ona została zamordowana...

— Kto?

— Właściwie to nie znam...

— Ronnie!

— Chciałam powiedzieć, że właściwie jej nie znam, to znaczy, nie znałam. Panna Pankhurst była zastępczynią panny French, naszego

naczelnego redaktora. Mówią, że została otruta, i myślę, że nasza Ciotunia wie coś, czego nie chce powiedzieć wujowi... Oczywiście on nie wie, że to wuj Henryk...

— Myślę, że lepiej, żebyś wsiadła w taksówkę i zaraz tu przyjechała. Ta rozmowa przekracza moje siły.

— Uważasz, że mówię niedorzeczności? — spytała Weronika. — Och, ty przecież nic nie widziałaś. Przyjadę za dziesięć minut.

Nadinspektor Henryk Tibbett przyjechał do siedziby „Mody” tuż po dziewiątej. Na ulicy zebrała się już grupka gapiów, a paru uprzejmych, cierpliwych młodych policjantów starało się skłonić ich do rozejścia się. Poza tym wydawało się tu dość spokojnie. Henryk wszedł do osiemnastowiecznego hallu strzeżonego przez sierżanta o solidnym wyglądzie.

— Cieszę się, że pana widzę — powiedział on, jakby naprawdę tak myślał. — Będą tu kłopoty. Co do tego nie ma wątpliwości.

— Jak to?

— Kobiety to histeryczki — stwierdził pesymistycznie sierżant. — Modelki i te wszystkie inne.

— Nie widzę tu żadnej — powiedział Henryk. — Coście z nimi zrobili?

— Nie przyszły jeszcze, chwała Bogu. Jak dotąd, widziałem tylko parę sprzątaczek i portiera, który znalazł zwłoki.

— No to dlaczego jesteście tacy pewni, że...

— Wie pan, co się tu mieści, prawda? — Sierżant był w ponurym nastroju. — Redakcja „Mody”. Diabelski kurnik.

— O której godzinie przychodzą pracownicy? — spytał Henryk.

— Teoretycznie o wpół do dziesiątej. Ale portier mówi, że dziś pewnie się pospóźniają.

— Dlaczego?

— Wczoraj, o ile wiem, było tu coś w rodzaju nocnej sesji roboczej... — Przy drzwiach wejściowych powstało jakieś zamieszanie. Henryk odwrócił się i zobaczył, że tęgi policjant szamocze się z jakimś chłopcem w skórzanej kurtce. Sierżant westchnął. — Widzi pan inspektor? — Potem zwrócił się do chłopaka: — Mówiłem już dziesięć razy, żebyś się stąd wynosił!

— Moja koperta! — krzyknął tamten. — Nie rozumie pan? Muszę dostać kopertę! To z Paryża.

— Co z Paryża?

— No, ta koperta. Mieliśmy to drukować o ósmej!

— Wariat! — stwierdził flegmatycznie sierżant. — I to dopiero pierwszy spośród nich wszystkich.

— Zaraz — powiedział Henryk. Zwrócił się do chłopaka: — O ile zrozu miałem, czekasz na jakieś sprawozdania z Paryża, które miały się znaleźć w drukarni o ósmej?

Chłopcu błysnęła nadzieja.

— Czy może je pan dla mnie wydobyć? To naprawdę diabelnie pilne.

— Wydarzył się tu poważny wypadek — odpowiedział Henryk. — Ktoś nie żyje. Może zatelefonujesz do drukarni i powiesz, że wynika przymusowa zwłoka, a potem zaczekasz tutaj. Zrobię dla ciebie, co będę mógł.

— Dziękuję panu. Tę kopertę łatwo rozpoznać. Będzie w dziale wydawniczym z adnotacją: „Dla Wydawnictw Ilustrowanych”. I gdyby pan mógł załatwić to szybko, proszę pana...

Jego wyjaśnienia rozbrzmiewały jeszcze w hallu, gdy Henryk z sierżantem wsiadali do windy.

— A teraz przedstawcie mi sytuację.

Wyglądał drobny i niski obok potężnego sierżanta — nie wyróżniający się niczym czterdziestoletni mężczyzna o rudawoblond włosach, łagodnych niebieskich oczach, nieśmiałym zachowaniu i cichym głosem; ale jego łagodna ni jakość była tak samo zwodniczo prosta, jak każda z czarnych sukienek Monniera. Sierżant wiedział doskonale, że musi zdać zwięzły i pełny raport, i starannie dobierał słowa..

— O siódmej pięćdziesiąt sześć — zaczął — wezwał mnie post-runkowy Hutchins, dyżurny z tego obwodu. Podobno nasz znajomy od tej koperty z Paryża wybiegł pędem z domu i omal go nie przewrócił. Hutchins rozmawiał z nim już przedtem — mniej więcej kwadrans po siódmej — kiedy chłopak próbował obudzić kogoś w tym budynku, żeby dostać tę cenną kopertę. Jasne jest, że pani, która miała mu ją dać, leżała już wtedy nieżywa. Poszedł nawet zatelefonować, a Hutchins w tym czasie czekał przed domem i pilnował jego motocykla, ale oczywiście nikt na telefon nie odpowiadał. Portier Alfred Samson zjawił się chyba jak zwykle dziesięć przed ósmą i wszedł na górę zobaczyć, co się tam dzieje. Znalazł tę kobietę nieżywą. Nie ma wątpliwości, że została otruta cyjankiem. Doktor dokonuje teraz oględzin zwłok, ale pamiętam taki sam wypadek w zeszłym roku — to na pewno cyjanek. Bardzo przykra sprawa.

— Kto to jest... to znaczy była?

Sierżant zajrzał do notesu.

— Panna Helena Pankhurst, zastępca redaktora — odparł. — Mniej więcej wtedy, kiedy spotkałem się z Samsonem, zaczęły

przychodzić sprzątaczkę. Oczywiście nie pozwoliłem im wejść na górę. Zamknąłem wszystkie w sali przyjęć, jeśli chce je pan zobaczyć.

— Dobrze. Co jeszcze zrobiliście?

— Zatelefonowałem do naczelnego redaktora — odrzekł sierżant.
— To niejaka panna Margery French. Portier podał mi numer jej telefonu. Właśnie przyjechała. Wydawało mi się, że tak będzie najlepiej.

— Bardzo rozsądnie — pochwalił go Henryk. — Czy wiadomo o jakichś krewnych zamordowanej?

— Jak dotąd nie. Panna French będzie prawdopodobnie coś wiedziała. Uważałem, że najlepiej nie dotykać torebki denatki ani w ogóle niczego, zanim pan inspektor nie przyjedzie.

Winda zatrzymała się cicho na czwartym piętrze. Henryk wysiadł i rozejrzał się.

Osiemnastowieczny budynek, w którym mieściła się teraz „Moda”, starał się wyraźnie zachować swój dawny wygląd, choć nie było to łatwe. Na parterze ładny hall zachował styl epoki mimo oszklonych taflowym szkłem drzwi wejściowych i surowego neonowego oświetlenia działu finansowego w głębi: w głównym dziale wydawniczym na czwartym piętrze zachowano dawną fasadę w tej części budynku, która wychodziła na Earl Street i na „Oranżerię”.

Henryk stał w korytarzu, którego ściany wyłożone były jasnym drzewem, a podłoga przykryta ciemnoniliowym dywanem. Miał przed sobą dwoje drzwi z gzymsem i pilastrami naśladującymi boazerię, na których przybito tabliczki w pozłacanych ramkach. Na tabliczce z lewej strony widniał napis: „Helena Pankhurst, zastępca naczelnego redaktora”, na drugiej: „Teresa Masters, redaktor działu mody”. W

końcu korytarza, w miejscu, gdzie zakręcał on pod prostym kątem i biegł w głąb budynku, na podobnych drzwiach można było przeczytać: „Margery French, naczelny redaktor”, a drzwi naprzeciwko, po prawej ręce Henryka, oznaczone były zwyczajnie i prościej drewnianą tabliczką z jednym słowem: „Moda”.

Nawet stojąc przy windzie Henryk widział, że liliowy dywan kończył się nagle w tym miejscu, a dalej biegły korytarze o kamiennej posadzce i bielonych ścianach. Za pokojem naczelnego redaktora duża czarna strzałka i napis informowały: „Do pracowni”; pod spodem, na tekturowym kartoniku widniał groźny zakaz: „Dział graficzny. Wstęp surowo wzbroniony”. Na drzwiach z tabliczką: „Moda” dwa dalsze ogłoszenia przyklepione były gumowaną taśmą. Jedno informowało tajemniczo: „Posłańcy i modelki do zdjęć mogą wchodzić”. Drugie głosiło: „Proszę wchodzić bez pukania, bo nikt nie usłyszy”.

Sierżant odchrząknął i powiedział tonem z lekka skruszonym:

— Ona jest tam, panie inspektorze. W sąsiednim gabinecie.

— Powiedzcie mi coś o tej nocnej sesji roboczej. Przypuszczam, że brała w niej udział.

— Nie zdołałem się wiele dowiedzieć. Będzie pan musiał zapytać pannę French. Portier wiedział tylko, że mieli tu pracować do późna, bo przygotowywali specjalny numer o kolekcji paryskiej. On nie wie dokładnie, kto tu został, ale zwykle w takich wypadkach zostaje, jak się wyraził, „najwyższy sztab”. Widocznie ta biedna kobieta wykańczała jakąś pilną pracę, więc przy takich okazjach zostawała zawsze całą noc i przekazywała materiał naszemu młodemu znajomemu z dołu o siódmej rano. Inni szli do domu wcześniej. Tylko tyle mogę

panu powiedzieć.

— No, dobrze. Chodźmy ją zobaczyć. — Henryk otworzył drzwi i wszedł do pokoju Heleny.

Mało rzeczy tak przyciąga uwagę, jak zwłoki na środku niewielkiego pokoju. Jednakże kiedy wszedł, największe wrażenie zrobił na nim panujący tam bałagan. Wystarczył widok samych biurków. Było ich dwa: jedno Heleny, a drugie przypuszczalnie sekretarki; obydwa ginęły pod zwalami papierów, jakby jakiś wariat przetrząsnął zieloną szafkę z segregatorami stojącą w kącie i rozsypał jej zawartość jak płatki kwiatów po całym pokoju. Jeszcze gorszy i całkiem nieoczekiwany był wygląd podłogi za biurkiem Heleny, zasłanej białymi i różowymi częściami damskiej bielizny, oplecionej zwojami nylonowych pończoch; na wierzchu porozrzucone były koszule, swetry, korale, szcztotki do włosów — wszystko, co prawdopodobnie wyrzucone zostało z otwartej walizki, która stała teraz pusta pośrodku tego całego bałaganu. Z otwartego pudełka rozsypał się po całym pokoju różowy puder, a z rozbitej buteleczki paryskich perfum, leżącej na podłodze, wydobywał się silny zapach. Połączone działanie ciepła z kaloryferów i palącego się wciąż jeszcze elektrycznego piecyka potęgowało ich przenikliwą, duszącą woń. Henryk poczuł mdłości.

Pośród tego nieładu leżała w poprzek biurka Helena Pankhurst; jej wykrzywiona twarz opierała się o maszynę do pisania. Ofiary cyjanku są zwykle w takim stanie, że niemiło na nie patrzeć, ale mimo wszystko Henryk spostrzegł, że musiała to być kobieta zwracająca uwagę swoją urodą. Jej ciemne włosy ułożone były przez doskonałego fryzjera, a szczupła figura, w bardzo prostej popielatej spódnicy i puszystym

białym swetrze pod szyję, nosiła nawet po śmierci tajemnicze piętno elegancji, którą „Moda” nadaje w jakimś stopniu wszystkim swoim pracownikom. Pantofle Heleny wykonane były z ciemnoszarej zamkowej, miękkiej jak rękawiczka skóry i miały śmieszne cienkie obcasy; jeden z nich spadł z nogi i leżał pod biurkiem, obok szarej, dobranej kolorem torebki. Okulary na biurku w lśniącej oprawie miały jedno szkło zgniecione. Lewa ręka Heleny spoczywała na klawiszach maszyny; w prawej wciąż ścisnęła dno stłuczonego białoniebieskiego fajansowego kubka, z którego dawno już wyciekła herbata na fiołkowo-różowy prążkowany dywan, tworząc ciemną plamę. Na skraju biurka stał zniszczony czerwony termos, o niewinnym na pozór wyglądzie.

— Śmierdzi tu, co? — powiedział sierżant. — Myślę, że doktor z przyjemnością stąd wyszedł. Nie zdziwiłbym się, gdyby czekał na pana inspektora w pokoju obok.

Henryk skinął z roztargnieniem głową, nie bardzo słuchając. Patrzył na ręce zmarłej. Kontrastowały one z resztą jej postaci. Były kształtne, lecz silne, z obciętymi krótko, nie lakierowanymi paznokciami. Ręce ciężko pracującego człowieka. Zauważył, że kobieta nie nosiła żadnych pierścionków na lewej ręce, ale na czwartym palcu prawej miała mały złoty pierścionek, sentymentalnie ozdobiony splecionymi sercami — rodzaj świecidełka, które mogło kosztować parę szylingów w czasach królowej Wiktorii, a teraz jest sprzedawane po wygórowanej cenie w antykwariatach.

Inspektor skierował z kolei swą uwagę na maszynę. Klawisze jej pokrywała warstwa różowego pudru. Na wkręconej w nią kartce papieru przeczytał słowa: „Szafirowe róże rozsiane rzadko na

śnieżnobiałym muślinie sprawiają wrażenie...” W tym miejscu pismo urywało się. Nie ulegało wątpliwości, że chłopiec czekający na dole długo jeszcze poczeka na materiał do numeru paryskiego. Henryk bardzo ostrożnie wyciągnął korek z termosu; owinął go uprzednio w czystą chustkę, mimo że widniały na nim wyraźne ślady palców, odcinające się na warstwie pudru. Powąchał zawartość termosu i nie zdziwił się, że ciepła jeszcze herbata ma silny zapach gorzkich migdałów.

— No — powiedział — nie ma wątpliwości, co się tu stało. Cyjanek w termosie. Herbatę trzeba dać do analizy, oczywiście, ale czuję cyjanek. — Zakorkował z powrotem termos. — Czy fotograf i ci od odcisków palców zrobili już swoje?

— Tak, panie inspektorze.

— To można zabrać stąd tę biedaczkę, ale uważajcie, żeby niczego poza tym nie dotykać. Pójdę teraz zobaczyć się z lekarzem.

— Jest tam, w gabinecie redaktora. — Sierżant wskazał drzwi sąsiedniego pokoju.

— Dobrze. Kiedy zaczną się schodzić pracownicy, zatrzymajcie ich na razie na dole. Nie sądzę, byśmy mogli przerwać pracę w biurze na czas nieograniczony, ale nie możemy wpuścić ich tutaj, dopóki się dobrze nie rozejrzemy. I powiedzcie temu pechowemu chłopakowi na dole, że będzie miał szczęście, jeśli dostanie dzisiaj swoją paryską kopertę.

— Powiem mu, panie inspektorze — odrzekł sierżant z pewnym zadowoleniem. Henryk wszedł do sąsiedniego gabinetu.

Różnił się on wyraźnie od pokoju, z którego właśnie wyszedł. Był

znaczenie większy i nie przeładowany meblami, prezentował się pięknie z ciemnofioletkowym dywanem i ścianami pomalowanymi na ciepły jasnożółty kolor. Umeblowanie składało się z ogromnego biurka z blatem krytym skórą i drugiego, mniejszego z drewnianym blatem, na którym stała zamknięta maszyna do pisania, oraz paru krzeseł. Nieodczowna szafka na segregatory stała i tutaj, ale nie rzuciła się w oczy. Zwracały za to uwagę litografie nad biurkiem, przedstawiające wczesne dzieła Picassa, oprawiony szkic kostiumu, rysowany przez Bérarda, na którym artysta nagryzmolił: „Mojej drogiej przyjaciółce, Margery”, oraz karykatura Foraina. Wszystko to było nieskazitelnie czyste, utrzymane we wzorowym porządku, funkcjonalne, aż do nowych, świeżo zaostrzonych ołówków na biurku i leżących w równym rzędzie różnokolorowych długopisów. Pokój ten wyglądał tak, jak powinien wyglądać gabinet naczelnego redaktora, z miłym piętnem kobiecości na dodatku.

Za dużym biurkiem siedział policyjny lekarz. Był to wysoki, melancholijny mężczyzna z twarzą przypominającą zbitego z tropu ogara.

— A, to pan — powiedział smętnym tonem, jakby Henryk był ostatnią osobą, jaką spodziewał się zobaczyć. — To dobrze. Chciałbym niedługo stąd wyjść. Mam robotę.

— Jakie jest pańskie orzeczenie?

— Otrucie cyjankiem, oczywiście. Widać to na pierwszy rzut oka. Prawdopodobnie truciznę podano w herbacie.

— Prawie na pewno. Zastanawiam się, jak mogła nie poczuć zapachu, zanim napiła się herbaty. Byłbym prawie skłonny przypuszczać, że to samobójstwo.

Doktor potrząsnął z wolna swoją wielką głową.

— Samobójstwo czy nie — to już pana sprawa. Ja mogę tylko powiedzieć, że w chwili śmierci była silnie przeziębiona. Bardzo wątpię, czy mogła czuć jakiś zapach lub smak, i przypuszczam, że miała temperaturę. Trudno inaczej wytłumaczyć, dlaczego włączyła piecyk elektryczny.

— Kiedy nastąpiła śmierć?

— Nie miałem jeszcze możliwości dokładnego zbadania zwłok, mogę tylko zgadywać. Chyba między trzecią a szóstą rano. Czy ją stąd zabiorą?

— Sierżant już to organizuje.

— Dobrze. Do zobaczenia.

Doktor wykrzywił w uśmiechu swoją smutną twarz, wstał i ruszył ku drzwiom. Zanim je jednak otworzył, ktoś zapukał mocno z drugiej strony. Doktor popatrzył pytająco na inspektora, ten skinął głową. Otworzył drzwi, w których stanął sierżant.

— Przepraszam, że przeszkadzam, panie inspektorze — powiedział — ale przyszła panna Margery French.

— Ja już muszę iść. Zobaczymy się jeszcze... — wymamrotał doktor i ulotnił się nader zwinnie.

— Porozmawiam z nią od razu — powiedział Henryk. — Poproście tę panią na górę.

Rozdział III

Henryk nie bardzo sobie wyobrażał, jak powinien wyglądać naczelny redaktor „Mody”, ale w momencie, gdy Margery French weszła do pokoju, uświadomił sobie, że jest ona w tej roli znakomita.

Wszystko w niej było takie, jak należy — pięknie skrojony kostium, filcowy kapelusz z dużym rondem, delikatne ręce ozdobione jednym pierścionkiem z ogromnym topazem na czwartym palcu. Trudno było uwierzyć, że ta kobieta, zbliżająca się raczej do sześćdziesiątki niż, do pięćdziesiątki, pracowała do późna w nocy; a jeszcze trudniej pamiętać, że przed chwilą wyrwano ją z dobrze zasłużonego snu wiadomością o strasznym wydarzeniu. Przeczucia sierżanta co do rozhisteryzowanych kobiet były w tym wypadku z pewnością bezpodstawne.

— Dzień dobry, panie inspektorze — powiedziała żywo Margery. — Cóż za okropna i tragiczna sprawa. Proszę, niech mnie pan o wszystkim poinformuje i powie, w jaki sposób mogę panu pomóc. Sierżant podał mi kilka szczegółów, ale fakt, że pan tu jest, dowodzi między innymi, iż Helena nie umarła śmiercią naturalną. — Usiadła za dużym biurkiem i otworzyła wytłaczaną skórzaną papierośnicę. — Czy pan pali? Proszę, niech się pan poczęstuje i usiądzie.

— Dziękuję — odpowiedział inspektor, zwalczając narastające uczucie, że to z nim przeprowadza się wywiad. Przysunął krzesło i przyjrzał się dokładniej Margery French. Ręce jej drżały trochę, gdy zapalała papierosa. Dostrzegł również ciemne kręgi pod oczami, których nie zdołał przykryć całkowicie makijaż. Może odrobinę zbyt dobrze grała swoją rolę.

Henryk powiedział:

— Obawiam się, że panna Pankhurst została zamordowana, proszę pani.

— Jest pan tego pewny? — Margery French była zupełnie spokojna. — Wykluczył pan możliwość samobójstwa?

— Sądzi pani, że mogła mieć jakiś powód do...

— Nie należę do plotkarek — odpowiedziała wolno — i nigdy nie wtrącam się w prywatne życie moich współpracowników. Jednakże nie można czasem nie zauważyć pewnych rzeczy i uważam za swój obowiązek poinformować pana, że ostatnio bardzo się martwiłam Heleną. — Margery urwała na chwilę. Henryk miał wrażenie, że to, co mówiła, sprawiało jej niesłychaną przykrość, i że dosłownie spełniała tylko niemiły obowiązek. Dobierając starannie słowa ciągnęła dalej: — Każda instytucja zatrudniająca kobiety i mężczyzn musi liczyć się z faktem, że od czasu do czasu powstają między niektórymi z tych ludzi uczuciowe powiązania. I my nie jesteśmy wyjątkiem. Sprawy tutaj są może nawet bardziej skomplikowane, bo nasi pracownicy to ludzie dość nieprzeciętni. Mężczyźni — fotograficy i redaktorzy techniczni — to dusze artystyczne, ludzie o zmiennym usposobieniu. Dziewczęta są więcej niż przeciętnie ładne. A świat mody, z jakichś nie wyjaśnionych powodów, zawsze przyciąga ludzi o gorących temperamentach.

Henryk miał ochotę zapytać: „Jakim więc sposobem pani się w nim znalazła?”, ale milczał.

— W normalnych warunkach — mówiła dalej Margery — nigdy nie byłabym niedyskretna, ale okoliczności są wyjątkowe. Chodzi o to, że Helena przeżywała ostatnio dość burzliwy romans z jednym z naszych fotografów. Nazywa się on Michał Healy.

— Dlaczego miałyby ją to pchnąć do samobójstwa?

— Dlatego, że sprawy najwyraźniej źle się dla niej układały. Niestety, Michał to bałamut i nie wierzę, aby miał coś poważniejszego na myśli poza przelotnym flirtem. Byłam naprawdę niezwykle zdziwiona,

kiedy zaczęła krążyć pogłoska, że coś ich łączy — to była zdecydowanie niedobrana para. Helena, kobieta namiętna, uczuciowa, była o parę lat starsza od Michała. W ostatnich czasach wydawała się naprawdę zupełnie rozklejona, najwyraźniej w bardzo złym stanie nerwów i udręczona do ostateczności, bo — znów powtarzam plotki — Michał podobno próbował wyplątać się z tej sytuacji. Mówiąc między nami, zamierzałam wysłać go na parę miesięcy do Ameryki, aż się wszystko uspokoi. Oczywiście nie uzdrowiłoby to atmosfery w biurze, ale...

— Co pani ma na myśli?

Margery milczała chwilę. Zaciągnęła się głęboko papierosem i odpowiedziała wolno:

— Muszę wyjaśnić, że Michał Healy jest mężem Teresy Masters, redaktora działu mody.

— Naprawdę? A więc panna Masters i panna Pankhurst nie lubiły się?

— Wręcz przeciwnie. Były bardzo zaprzyjaźnione.

— W tych okolicznościach wydaje się to dość dziwne — powiedział inspektor.

— Wcale nie — zaprzeczyła ostro Margery.

— No, to dlaczego spodziewa się pani jakichś dalszych nieprzyjemności w biurze, gdyby pan Healy wyjechał?

Margery wpatrywała się ze skupieniem w swoje czerwone polakierowane paznokcie. Henryk miał wrażenie, że zdawała sobie sprawę, iż popełniła głupstwo, i była zdecydowana to naprawić. Powiedziała w końcu:

— Chyba się źle wyraziłam. Chodziło mi o to, że Helena potrzebowałaby oczywiście trochę czasu, żeby wyleczyć się z tego opętania. Przez pierwsze parę tygodni czułaby się na pewno gorzej niż kiedykolwiek.

— Wszystko to jest niezwykle interesujące, ale dla kilku powodów

jestem wciąż skłonny wykluczyć samobójstwo.

— W jaki sposób umarła Helena? — spytała poważnie Margery.

— Została otruta. Ktoś wsypał cyjanek do jej herbaty.

— Rozumiem. — Margery nie wydawała się wstrząśnięta, tylko zamyślona. — Biedna Helena. Ale może to ona sama ten cyjanek tam wsypała?

— Mogła to zrobić, ale nie sądzę, żeby zrobiła. Dla kilku powodów. Po pierwsze, nie zostawiła żadnego listu. Po drugie, pora i miejsce były jak najbardziej nieodpowiednie na popełnianie samobójstwa — w samym środku sesji roboczej. Po trzecie, jej pokój wygląda, jakby go przetrząsnęto, ktoś interesował się nie tylko papierami, ale i jej prywatnymi rzeczami...

— Jej prywatnymi rzeczami? — Margery podniosła wzrok. — Co pan chce powiedzieć, inspektorze?

— Zechce pani wejść do sąsiedniego pokoju i rzucić okiem. Może potrafi pani coś wyjaśnić...

— Oczywiście. — Margery wstała i podeszła do drzwi prowadzących do gabinetu Heleny. — Czy ona tam jeszcze jest?

— Nie — odparł Henryk. Zauważył, że nie okazała strachu ani smutku na myśl o zobaczeniu zwłok Heleny. Zadała po prostu pytanie.

Margery otworzyła drzwi i przez chwilę stała w milczeniu obserwując panujący tam nieład. Potem odwróciła się do Henryka z bladym uśmiechem.

— Myślę, że potrafię to częściowo wyjaśnić — powiedziała. — Na wstępie jestem skłonna zgodzić się z panem, że Helena została zamordowana.

— Dlaczego?

— Z powodu tego, co tu widzę. — Wskazała ręką bałagan. — Dlatego, że nie skończyła swojej pracy. Helena nigdy nie zostawiłaby nie dokończonego numeru paryskiego. Gdybym zastała uporządkowany pokój, wszystkie podpisy i makiety złożone starannie w kopercie i starannie przygotowany ich spis dla drukarni, skłonna byłabym sądzić, że popełniła samobójstwo. Byłoby to postępowanie zgodne z jej charakterem. — Margery urwała i popatrzyła na kartkę papieru wkręconą w maszynę. — Nawiasem mówiąc, panie inspektorze, będę musiała sama opracować do końca podpisy i ułożyć materiał dla drukarni, jak tylko się da najprędzej. Musi pan uświadomić sobie, że to nasz najważniejszy numer w roku, a termin jest już napięty do ostatecznych granic.

— Wiem o tym. Spieszę się, jak mogę. Proszę, niech pani mówi dalej. Co jeszcze może pani dodać?

— Mogę panu powiedzieć, że nikt nie przetrząsał tego pokoju. Papiery są porozrzucane jak zwykle przy tej pracy. Helena zawsze pracowała w bałaganie, zwłaszcza kiedy się spieszyła. Dopiero gdy skończyła, porządkowała wszystko jak najskrupulatniej. Może pan nie zdaje sobie sprawy, że jest to — Margery wskazała na stosy papierów na biurku — cała szesnastostronicowa forma drukarska, ze wszystkimi handlowymi szczegółami, i...

— A co może pani powiedzieć o tej walizce?

— To nie jest walizka Heleny. Należy do mojej sekretarki, panny Field. Była wczoraj w Paryżu i prosto z lotniska przyjechała do biura. Zostawiła tu walizkę, mając zapewne przesadne wyobrażenie o nietykalności tego gabinetu.

— Dlaczego nie zabrała jej do domu?

— Z powodu pana Goringa — odpowiedziała Margery.

— Pana Goringa?

— Może wrócimy do mnie? — Coś w głosie Margery sprawiło, że popatrzył na nią uważnie. Spostrzegł, że zbladła mocno i oparła się ręką o biurko, aby nie stracić równowagi. — Przepraszam pana, inspektorze, ale tak tu gorąco...

— Naturalnie. Wróćmy do pani gabinetu.

Margery przeszła doić pewnym krokiem przez drzwi. Wydawała się już zupełnie opanowana.

— Pan Goring to nasz prezes. Zjawi się tu niebawem. Naturalnie zatelefonowałam do niego, jak tylko usłyszałam, co się tu stało.

— Cieszę się, że go poznam — powiedział Henryk. — A tymczasem chciałbym się dowiedzieć, co on ma wspólnego z walizką pani sekretarki?

Margery szybko i dokładnie opisała przyjazd Goringa do biura nad ranem, jego zaproszenie i powód, dla którego bagaże pozostały na miejscu.

— Panna Pankhurst nie została zaproszona? — spytał Henryk.

— Oczywiście, że nie. Została tu, żeby pracować.

— Co się dalej działo? Pojechali państwo wszyscy do mieszkania pana Goringa...

— Tak. Było tam jeszcze dwóch jego znajomych: Mikołaj Knight, projektant strojów, i Horacy Barry, ich producent. Wypiliśmy po kieliszku czy po dwa szampana, a potem kierowca pana Goringa odwiózł nas wszystkich do domu.

— Wszystkich?

— Tak, z wyjątkiem Mikołaja Knighta i pana Barry'ego. Pan Knight

miał własny samochód. Aha, to on podwiózł pannę Field, bo jechał w tym kierunku, gdzie ona mieszka. Tych troje wyjechało trochę przed nami. Barker, kierowca, odwiózł najpierw do Chelsea Teresę i Michała, a potem mnie na Sloane Street. Następnie miał odwiedzić pana Walsha do Islington.

— Czy pamięta pani, która była wtedy godzina?

— Za dziesięć trzecia — odrzekła szybko Margery. — Kiedy wróciłam do mego mieszkania, spojrzałam na zegarek.

Henryk zastanawiał się przez chwilę. Potem powiedział:

— Niestety, muszę zadać pani jeszcze bardzo dużo pytań. Po pierwsze, czy może mi pani powiedzieć coś o przeszłości panny Pankhurst: czy miała rodzinę, gdzie mieszkała i tak dalej? Nie mieliśmy jeszcze możliwości zawiadomić...

— O ile wiem, nie miała żadnej rodziny — odrzekła Margery zapalając następnego papierosa. — Jej rodzice nie żyją. Zdaje mi się, że miała w Australii zamężną siostrę. Mieszkała w Kensington razem z Olwen Piper, moim sprawozdawcą teatralnym. Helena pracowała w „Modzie” od dziesięciu lat. Zaczęła jako sekretarka i doszła stopniowo do obecnego stanowiska. Była doskonałym pracownikiem, chyba najsumienniejszym.

— Czy miała jakichś wrogów wśród kolegów?

— Na pewno nie. Sekretarki bały się jej, bo potrafiła być bardzo wymagająca. — Margery uśmiechnęła się. — Muszę przyznać, że moim zdaniem to bardzo dobrze. Dzięki niej ja nie potrzebowałam być pedantką. Pisała dobrze, ale nie miała wyczucia mody. To oczywiście pana nie interesuje.

— Pomijając romans z Michałem Healy, co pani wie o jej życiu prywatnym?

— Helena nie miała prywatnego życia — odrzekła szybko i zdecydowanie Margery. — Była całkowicie pochłonięta pracą tutaj — biurem i ludźmi zatrudnionymi u nas. — Umilkła na chwilę. — Wiem, co mówię, inspektorze. Jeśli została zamordowana, zabił ją na pewno ktoś z tutejszego personelu. Kto i dlaczego — nie mam pojęcia.

— To pomówmy może o tym, „jak” się to stało — powiedział Henryk. — Skąd ktoś w tym biurze mógł wziąć cyjanek?

— To bardzo proste. W ciemni fotograficznej jest zapas cyjanku. Używają go przy osłabianiu zdjęć. Michał objaśni pana na ten temat.

— Czy to wskazuje na kogoś, kto pracuje w ciemni?

— Niekoniecznie. Wszyscy chodzimy ustawicznie do studio i do ciemni, a przyjęło się już, że każdego nowego pracownika ostrzega się przed cyjankiem, pokazuje, gdzie jest przechowywany, oraz wyjaśnia, jak wygląda butelka, w której się go przechowuje — wszystko dla uniknięcia wypadków.

— Czy cyjanek nie jest pod kluczem?

— Normalnie tak, ale w niektórych okolicznościach przepisów się, niestety, nie przestrzega. Jak na przykład tej nocy, gdy przygotowaliśmy numer o nowej kolekcji. Michał robił swoje odbitki i pamiętam, że szafa z materiałami była otwarta. Mogę też panu powiedzieć, że szafa ta znajduje się w pokoju, gdzie parzy się herbatę, i że przez cały wieczór wchodziliśmy do ciemni i wychodziliśmy stamtąd. Wszyscy z wyjątkiem panny Field i Heleny. Chyba żadna z nich nie

odeszła od swego biurka. Ale każda z pozostałych osób mogła bez trudu wsypać truciznę do termosu.

— Dziękuję pani — powiedział Henryk. Był urzeczony dokładnością i bystrością umysłu tej kobiety. Wybiegała naprzód, wyprzedzała go na każdym zakręcie. Mogła być nieocenionym sprzymierzeńcem albo straszliwym przeciwnikiem. Zastanawiał się, kim jest.

Jakby odpowiadając jego myślom, Margery powiedziała:

— Pragnę pomóc panu, jak potrafię, inspektorze. Dam panu do dyspozycji pokój. Przypuszczam, że zechce pan przesłuchać wszystkich, którzy byli tu wczoraj w nocy?

— Tak. — Henryk zerknął do notesu, który trzymał w ręku. — Może pani razem ze mną sprawdzi, kto tu był. Mam zanotowaną panią, Teresę Masters, Michała Healy i Patryka Walsha. A, i pani sekretarkę, pannę Field. Czy był jeszcze ktoś więcej?

— Donald MacKay. Pomocnik Patryka w dziale graficznym. Wyszedł tuż przed nami. Był tu także mniej więcej do północy Ernie, to znaczy Ernest Jenkins, chłopiec pomagający w ciemni. A, i Olwen! Byłabym o niej zapomniała.

— Panna Pipper? Ta dziewczyna, z którą mieszkała panna Panhurst?

— Tak. Przyszła po teatrze przepisać swój tekst.

— Czy wie pani, o której wyszła?

— Nie mam pojęcia — odrzekła krótko Margery. — Widziałam ją w jej pokoju, było po wpół do dwunastej, i powiedziałam, żeby szła już do domu, ale Bóg wie, jak długo została. — Urwała. — To wszyscy.

— Z wyjątkiem pana Goringa.

— Godfrey? Ale nie myśli pan przecież...

— Przypuszczam, że nie miał żadnych przeszkód, żeby wejść do ciemni, zanim wszedł do pani gabinetu?

— Nie... ale...

W tym momencie rozpętało się na korytarzu piekło. Henryk słyszał odgłosy jakiejś szamotaniny i tubalny głos sierżanta, który krzyczał: — Zabraniam panu... — ale słowa jego zagłuszał głośny ryk z akcentem irlandzkim:

— Zejdz mi z drogi, nędzniku! Coś tu się dzieje, na Boga, i nikt mnie nie zatrzyma. Chcę wejść do mego pokoju i nikt mi tego nie zabroni!

— Pan inspektor zakazał, proszę pana...

— Pan inspektor może iść do diabła! Jeśli nie zejdziesz mi z drogi, połamię ci kości, przysięgam, że to zrobię!

Margery French powiedziała spokojnie, z uśmiechem:

— Przyszedł Patryk.

— Słyszę — odrzekł Henryk odwzajemniając uśmiech. — Myślę, że pójde i zbadam, co się tam dzieje. Zdaje się, że sierżant potrzebuje pomocy.

Wydawało się, że cały korytarz wypełniają wymachujące ramiona odziane w szorstki tweed. Sierżant stał jak rozkrzyżowany, przyparty do drzwi z napisem: „Pod żadnym pretekstem wchodzić nie wolno”. Zakaz ten kwestionował najwyraźniej ogromny mężczyzna w sportowej marynarce, który jak byk atakował drzwi, nie przestając przy tym krzyzczeć. Szczęściem dla sierżanta pojawienie się Henryka oderwało na chwilę uwagę mężczyzny. Odwrócił się, by z flanki odeprzeć ten atak, i spytał:

— Kim pan jest, u diabła?

— Nadinspektor Tibbett — odpowiedział Henryk. — Przypuszczam, że pan Patryk Walsh.

— Cholernie dobrze pan przypuszcza — odpowiedział Patryk. — Może pan będzie uprzejmy powiedzieć temu swojemu chłystkowi, żeby mi zszedł z drogi i pozwolił wejść do mego własnego pokoju.

— Nie, nie zrobię tego — powiedział Henryk. Zaległa naładowana elektrycznością cisza. — Zostało tu popełnione morderstwo. Może zechce pan wejść do gabinetu pani French i porozmawiać spokojnie przez chwilek

— Morderstwo? — Cała wściekłość opuściła Patryka. Stał zupełnie spokojnie, jego duże ręce kołysały się wzdłuż boków. — Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Kogo zamordowano?

— Helena Pankhurst została w nocy otruta. Zmarła tu w biurze, kiedyście państwo wszyscy wyszli.

Nieoczekiwanie Patryk zaczął płakać. Oparł się o ścianę i zawodził z typowo celtyckim brakiem opanowania. Było to krępujące.

— Heleno kochana, Heleno, moja śliczna... To nieprawda... Heleno...

— Patryku! — Głos Margery French był ostry jak brzytwa. Patryk przestał zawodzić. Margery dodała łagodniej: — Opanuj się, mój drogi. Wejdz do mego gabinetu.

Uległy jak jagnię Patryk poszedł za nią. Sierżant otarł czoło.

— Nie mogłem go zatrzymać, panie inspektorze — powiedział kwaśno. — Pędził po schodach rycząc jak bawół. Odtrącił dwóch policjantów bez trudu, jak muchy. Przepraszam, panie inspektorze.

— Nic nie szkodzi — odrzekł Henryk. — Poradzę sobie z nim.

Margery wyszła ze swego pokoju i powiedziała:

— Będę piętro wyżej, w gabinecie pana Goringa, gdyby mnie pan potrzebował. — I znikła na schodach, pozostawiając za sobą nikły zapach drogich perfum. Henryk wszedł do jej gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Patryk Walsh już się opanował. Tylko twarz jego była bardziej czerwona niż zwykle. Nie poruszył się ani nawet nie obejrzał, kiedy wszedł Henryk.

Inspektor chrząknął.

— Panie Walsh — powiedział urzędowym tonem — obawiam się, że będę zmuszony prosić pana o złożenie zeznań.

Patryk odwrócił się z wolna od okna i podszedł do biurka. Opadł na krzesło wpatrując się w Henryka, przesunął ogromną ręką po twarzy i powiedział:

— Przepraszam.

— Zrozumiałe, że musiał to być dla pana szok.

— Tak. Szok.

— Czy zechce mi pan powiedzieć, co się tu działo ubiegłej nocy?

— Ubiegłej nocy? — Patryk przychodził pomału do siebie. — Było kilka małych starć.

— Starć?

— Teresa chciała wykorzystać szyfon Monniera i zrobione przez Michała powiększone zdjęcie modelu Diora, by pokazać kapelusz, a Margery...

— Mówił pan, że były starcia...

— Jedno na ten temat. Potem przedmiotem sporu były modele Balmaina. Margery uważała, że powinniśmy pokazać co najmniej trzy suknie, ale nie miałem zamiaru...

Henryk westchnął.

— To, co pan nazywa starciami, to były chyba zawodowe dyskusje na temat zdjęć, które chcieliście wykorzystać?

— Oczywiście. — Patryk miał zdziwioną minę. — O co innego moglibyśmy się spierać?

— Kiedy widział pan ostatni raz pannę Pankhurst?

— Nie widziałem jej przez cały wieczór. Ostatni raz widziałem ją w porze lunchu. Zabrałem ją do restauracji, żeby coś zjadła. Potrzebowała tego, biedactwo.

— Dlaczego pan tak mówi?

— Dlaczego? — Patryk znowu się zaperzył. — Mówię to, co mi się podoba, i nikt nie będzie pozwalał sobie na złośliwości w stosunku do Heleny, gdy biedaczka nie żyje...

— Kto był złośliwy w stosunku do niej?

Patryk miał minę chmurną i podejrzliwą.

— Nikt — odpowiedział. — Absolutnie nikt.

— Lubił pan Helenę?

— Kochałem ją — odpowiedział z prostotą.

— Czy zna pan kogoś, kto jej nie lubił?

Zaległo dłuższe milczenie. Potem Patryk powiedział nagle:

— Nie!

— Czy jest pan tego pewny?

— Oczywiście! Całkowicie pewny. Wszyscy ją kochali.

— Włącznie z Michałem Healym i Teresą Masters? — spytał łagodnie Henryk.

Patryk skoczył na równe nogi.

— Co ludzie opowiadają? — wrzasnął. — Co za wstrętne kłamstwa nakładli panu do głowy? Wiem. Mogę się domyślić. To nieprawda, słyszy pan? Ani jedno słowo z tego nie jest prawdą, żebym trupem padł, jeśli kłamię!

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi — powiedział Henryk, niezbyt szczerze. — Spytałem pana po prostu, czy Michał Healy i Teresa Masters lubili Helenę, to wszystko.

— To wcale nie wszystko i pan dobrze o tym wie! — krzyczał Patryk. — Nie powiem więcej ani słowa, nie zmusi mnie pan do tego!

— Doskonale — powiedział Henryk. — Pomówmy o czymś innym. Na przykład o cyjanku. Przypuszczam, że wie pan, gdzie jest przechowywany?

— Wiem, gdzie stoi w ciemni szafa z preparatami.

— Czy pokaże mi ją pan?

— Z przyjemnością.

Patryk wyszedł pierwszy z gabinetu Margery przez drzwi łączące go z pracownią graficzną. Był to duży, jasny pokój, pełen rysownic i przyozdobiony hojnie makietami, wycinkami z gazet i zdjęciami.

— Wszystkie te pokoje łączą się ze sobą — wyjaśnił Patryk. — Ze studia fotograficznego przez ciemnię i pracownię graficzną można dojść do gabinetu Margery w rogu gmachu. Stamtąd zaś wejść do pokoju Heleny, a z działu wydawniczego do dziupli Teresy i do działu mody. Wszyscy mamy drzwi na korytarz, oczywiście, i w ten sposób możemy zamknąć się i mieć spokój, a równocześnie pozostawać w kontakcie z ludźmi, którzy są nam potrzebni.

Otworzył drzwi w głębi pracowni graficznej.

— To jest ciemnia — wyjaśnił.

Zapach chemikaliów uderzył Henryka w nos, gdy wszedł do ciemnego, nie oświetlonego przedpokoiku, który prowadził do działu fotograficznego. Patryk zapalił przyćmione światła i Henryk zobaczył, że

znajdują się w małym pomieszczeniu, w którym stały rzędem szafy. Było tam troje drzwi — jedno do pracowni graficznej, skąd właśnie przyszli, drugie po ich lewej ręce, prowadzące na korytarz, i trzecie, zasłonięte grubą kotarą, na wprost nich, które prawdopodobnie wiodły do właściwej ciemni. Na czwartej ścianie znajdował się zlew, w którym moczyły się jeszcze jakieś odbitki, a na podłodze pod nim stał czajnik elektryczny.

Patryk zrobił niezdecydowany ruch ręką.

— To jest składzik — powiedział. — Przechowuje się tu wszystko — papier, chemikalia, mnóstwo różnych rzeczy. Niech mnie pan nie pyta, gdzie jest cyjanek, bo nie mam pojęcia.

Henryk sam go szybko znalazł. Wszystkie szafy były otwarte, a większość z nich wypełniały ustawione rzędem lśniące żółte pudełka z błonami fotograficznymi. Jedna z szaf zapchana była jednak ciemnobrązowymi butelkami i pękatymi papierowymi torbami. Rzuciła się tu w oczy butelka z czerwonym napisem na etykietce: „Cyjanek. Trucizna”. Była pusta.

— Będę musiał to zabrać, żeby zdjęto odciski palców — powiedział.

Patryk wzruszył ramionami.

— Nie widzę powodu, żeby się sprzeciwiać, skoro butelka jest pusta. Przypuszczam, że gdzieś jest tego więcej.

Henryk popatrzył na dwie walizki stojące na podłodze w rogu pokoiku.

— Czyje to walizki? — spytał.

— Teresy i Michała — odpowiedział Patryk. — Wrócili wczoraj wieczorem z Paryża. — Wydawało się, że stracił zainteresowanie rozmową. Powiedział nagle z irytacją: — Nie możemy tu tkwić cały

dzień. Mam mnóstwo roboty. Kiedy będziemy mogli zabrać się do pracy?

— Już niedługo — odrzekł Henryk. — Może pan wróci jeszcze do gabinetu panny French, dobrze?

Patryk nie odpowiedział, ale w milczeniu ruszył przodem przez pracownię graficzną do gabinetu redaktora naczelnego.

— Czy wie pan, jak wyglądał termos panny Pankhurst? — spytał.

— Oczywiście. Wszyscy go znali. To już była niemal tradycja — tej nocy, kiedy przygotowywaliśmy numer kolekcyjny, Helena nigdy nie rozstawała się z tym okropnym, zniszczonym, starym termosem.

— Czy zauważył pan, że stał w jakimś momencie nie pilnowany?

— Był tu w składziku przez cały wieczór — odpowiedział szybko Patryk. — Przypuszczam, że Ernie zaparzył dla Heleny trochę świeżej herbaty i zapomniał ją zanieść. — Uśmiechnął się smutno do Henryka. — Wszyscy jesteśmy podejrzani — dodał. — Wszyscy wchodziliśmy tu i wychodziliśmy stąd i każdy mógł niepostrzeżenie nasypać cyjanku. — Zamilkł na chwilę. — I proszę, niech mnie pan nie obrazi pytaniem: „Skąd pan wie, że ona została otruta cyjankiem w herbatcie?” Prawie mi pan sam to powiedział.

— Dobrze — rzekł Henryk.. — A teraz niech mi pan coś opowie o tym przyjęciu w domu pana Goringa ostatniej nocy.

Patryk prychnął.

— Co tu jest do opowiadania? Idiotyczny pomysł, jeśli jest pan ciekaw mego zdania. Byłbym się stamtąd ulotnił, gdyby to było możliwe. To dla mnie nic zabawnego pić wytworny szampan z pedałami

i ordynarnymi dorobkiewiczami.

— Co... czy kogo ma pan na myśli?

— Mikołaja Knighta i Horacego Barry — odparł Patryk z bezbrzeżną pogardą. — Nie wiem sam, którym z nich pogardzam bardziej. Może Godfrey musi być dla nich uprzejmy w imię wielkiego boga reklamy, ale nie wiem, dlaczego my mielibyśmy znosić...

— Niech mi pan powie, co się stało?

— Mówiłem już panu. Nic. Wypiliśmy po szklaneczce szampana i pogadaliśmy trochę o niczym, starannie unikając drażliwych tematów. Potem miałem już tego dość, tak samo jak Michał, i zaczęliśmy być dość nieuprzejmi w stosunku do Knighta i Barry'ego, choć robiliśmy to w sposób subtelny. Zdziwiłby się pan, jaki ja potrafię być grubiański, panie inspektorze.

— Myślę, że bym się nie zdziwił.

— W każdym razie wkrótce mieli tego dość i wyszli zabierając ze sobą Rachelę Field. My, pozostali...

— Co pan miał na myśli mówiąc o drażliwych tematach?

— Nic, co by mogło pana zainteresować.

— Interesuje mnie bardzo wiele rzeczy.

— Nie tego rodzaju. — Nagle Patryk wpał w złość. — Po co wścibia pan we wszystko swój cholerny nos? — wrzasnął. — Zamiast skoncentrować się na tym, żeby odkryć, kto zamordował tę kochaną dziewczynę, węszy pan, ryje, wtrąca się w prywatne sprawy ludzi...

Henryk westchnął.

— Porozmawiam z panem później — powiedział. — Jak pan będzie w jakimś spokojniejszym nastroju...

— Spokojniejszym! — zagrzmiął Patryk. — Ze wszystkich ludzi

w tym domu wariatów ja jeden jestem opanowany.

— Proszę, niech pan teraz wyjdzie — powiedział Henryk dobitnie. Zaczynał solidaryzować się ze swoim sierżantem.

— Ma pan cholerną rację. Wychodzę — oznajmił Patryk. Wszedł do pracowni graficznej i zatrzasnął za sobą drzwi.

Henryk patrzył za nim, pełen mieszanych uczuć. Potem wszedł po schodach na piąte piętro.

Była to wyraźnie handlowa część budynku — w przeciwieństwie do redakcyjnej części „Mody”. I tu podłogi wyłożone były dywanami, ale w kolorze ciemnogramatowym. Drzwi, naprzeciw których stał inspektor, znajdujące się w tym samym miejscu, co pokój Heleny na niższym piętrze, oznaczone były tabliczką: „Prezes”. Na drzwiach nad gabinetem Margery widniała kartka z drukowanym napisem: „Wstęp wzbroniony” i Henryk domyślił się, że to gabinet Goringa. Na innych drzwiach były tabliczki: „Szef reklamy”, „Główny księgowy” i „Kierownik kadr”. Panowała tu atmosfera męska, tchnąca dużym handlowym rozmachem. Henryk porównał to piętro z niższym piętrem i nabrał jeszcze większego szacunku dla Margery French. Ona najwidoczniej czuła się dobrze w obu tych światach. Podeszedł śmiało do drzwi z tabliczką: „Wstęp wzbroniony”, zapukał i wszedł nie czekając na odpowiedź.

Godfrey Goring i Margery French stali przy oknie, tyłem do drzwi. Twarze ich, gdy odwrócili się gwałtownie, żeby spojrzeć na Henryka, miały wyraz ludzi, którym przerwano ważną prywatną rozmowę i którzy są niespokojni, ile z tej rozmowy zostało usłyszane. Henrykowi

wydało się też, że Margery jest bardzo zdenerwowana. Było to jednak tylko przelotne wrażenie. Oboje odzyskali w jednej chwili spokój i Margery powiedziała:

— Godfrey, to jest pan nadinspektor Tibbett. A to, inspektorze, nasz prezes.

Goring zbliżył się z wyciągniętą ręką.

— Drogi inspektorze... — zaczął. Wyglądał, jak można się było spodziewać, na bardzo zmartwionego, ale równocześnie miał minę budzącego zaufanie człowieka interesów, który przetrwał w życiu gorsze kryzysy. — Margery opowiedziała mi tę okropną historię. Zdaję sobie sprawę, że będziemy musieli... — urwał — ...że pan będzie musiał mieć absolutnie wolną rękę, aby prowadzić dochodzenie, i niech pan będzie przekonany, że chcemy pomóc panu, w czym tylko się da. Prosiłbym jednak, aby pan tak wszystko ułożył, żeby normalna praca w biurze mogła się rozpocząć jak najprędzej. Jesteśmy wszyscy bardzo zajęci, wie pan.

— Wiem — odpowiedział Henryk. — To jedna ze spraw, którą chciałem z panem poruszyć. Niestety, do pokoju panny Pankhurst wstęp musi być na razie zakazany, ale jeśli pani French zechce zejść ze mną na dół, będzie mogła zabrać stamtąd te papiery, które są jej potrzebne do paryskiego numeru. Będę musiał także opieczętować na razie składzik i ciemnię fotograficzną. Gdy to zostanie załatwione, pańscy ludzie mogą wejść na górę i zacząć pracę. Pani French obiecała mi łaskawie jakiś pokój, gdzie będę mógł przeprowadzać rozmowy...

Goring skinął głową.

— Bardzo się cieszę, że mamy do czynienia z człowiekiem tak dobrze rozumiejącym sprawy handlowe — powiedział z uśmiechem trochę wymuszonym.

— Pan będzie tu jeszcze przez najbliższą godzinę, prawda? — spytał Henryk. — Chciałbym zamienić z panem parę słów.

— Niech się pan nie obawia, inspektorze. Nie ucieknę. — W głosie Goringa nie było ani urazy, ani humoru.

— No, dobrze — powiedział wesoło Henryk. — Zobaczmy się więc trochę później. Zejdziemy na dół, proszę pani?

Pokój Heleny był, tak samo duszny i przygnębiający jak przedtem, ale Margery tym razem nie okazywała śladu osłabienia. Posortowała szybko i sprawnie stopy papierów i na końcu powiedziała:

— Mam już wszystko, co mi potrzebne.

— Doskonale. A gdzie mogę założyć moją kwaterę główną?

— Jest pusty gabinet obok pokoju modelek. Zaraz tam pana zaprowadzę.

Pokój, do którego wprowadziła Henryka, był mały i ciemny, z podłogą krytą linoleum i niedużym oknem wychodzącym na jakieś zaniedbane tereny.

— Brzydko tu, ale zacisznie — stwierdziła krótko Margery. — Może pan wezwać telefonicznie, kogo pan zechce. Na biurku leży spis telefonów wewnętrznych. Będę u siebie, gdyby mnie pan potrzebował. — Uśmiechnęła się i wyszła, zanim Henryk zdążył jej podziękować.

Zasiadł za biurkiem i przestudiował swoje dotychczasowe zapiski w notesie. Potem zatelefonował na dół do sierżanta, pozwolił wpuścić pracowników przetrzymywanych od rana i poprosił, żeby przysłano do niego Ernesta Jenkinsa.

— Chyba go jeszcze nie ma — oznajmił sierżanta — Zaraz sprawdzę. A innych można puścić?

— Tak.

— Psiakość! — powiedział sierżant z głębokim przygnębieniem.
— Nic nie wiadomo.

W chwilę potem Henryk usłyszał jakiś narastający gwar. Chichot, biadolenie, piskliwe, podniecone głosy kobiece, wykrzykujące i rozbrzmiewające coraz głośniejsze, w miarę jak ich fala docierała do podestu schodów i rozpyływała się po różnych pokojach. Głosy te koncentrowały się głównie w pokoju modelek obok, a ponieważ Ernest Jenkins się nie zjawił, Henryk postanowił wyjść na korytarz i rozejrzeć się trochę.

Pierwszą osobą, jaką zobaczył, była siostrzenica jego żony, Weronika Spence. Wchodziła do pokoju modelek w towarzystwie drobnej, ślicznej dziewczyny w kostiumie z popielatej flaneli, który (choć Henryk nie wiedział o tym) był idealną kopią modelu Balenciaga. Dziewczyny paplały z ożywieniem. Weronika powtarzała:

— Ojej! Naprawdę, Beth? To niemożliwe! Naprawdę? Ojej!

— Weroniko! — zawołał głośno Henryk.

Weronika obróciła się na pięcie.

— Wuj Henryk! — wykrzyknęła. — Oj, Betty, to musi być prawda, bo inaczej nie byłoby tu wuja Henryka. Prawda, kochany? — dodała i objęła go za szyję. — Och, to było okropne, kiedy zamknęli nas tam na dole. Cieszę się, że cię widzę.

Henryk zdjął zdecydowanym ruchem rękę Weroniki ze swojej szyi. Na korytarzu było już teraz pełno kobiet najelegantszych, jakie widział w życiu — poza, oczywiście, stronicami „Mody”. Podniesione głosy mieszały się w wielkim podnieceniu.

— Wszystko mi jedno, co powie Ciotunia. Te makiety są...

— I to Helena! Zawsze myślałam...

— Będą z nas wymuszali zeznania...

— Sądzę, że biała i różowa bawełna będzie tu właśnie pasowała...

— Cokolwiek ma się na sobie w czasie przesłuchania, myślę, że dobrze się prezentujący podejrzany powinien się skoncentrować na...

— A mnie potrzebny tylko czerwony Jaguar i dwa rosyjskie charty na pokaz dziś po południu...

— Nancy w bieli z mnóstwem nefrytowych paciorków, a Ronnie w...

— Kto robi teraz numer? My z Heleną miałyśmy...

— No, jeśli Teresa zajmuje takie stanowisko, będę musiała znów zacząć deptać po Poland Street. Jak ona sobie wyobraża...

— Kochanie, przepraszam, ale nie mam zamiaru zabijać norki. Powiedziałam Ciotuni...

— Helena! Gdyby to było...

Weronika zadyszana powiedziała:

— Beth, to mój wuj, Henryk Tibbett.

Bardziej szorstko, niż zamierzał, detektyw spytał:

— Co ty tu robisz, Ronnie?

— Pracuję, oczywiście — odrzekła Weronika. — Powtórzenie zdjęcia z panną Masters, a potem przymiarka bawełnianych sukienek z Beth dla „Młodej Mody”. To jest Beth Connolly, redaktor „Młodej Mody”.

— Dzień dobry panu — powiedziała Beth Connolly, marszcząc małą noskę i patrząc z dołu na Henryka niczym mała laleczka. — Niestety, trafił pan na zły dzień u nas. Jeszcze większy tu bałagan niż zwykle.

Uśmiechnęła się uroczo, a Henryk poczuł, że opuszcza go odwaga. No, bardzo trudno będzie prowadzić poważne dochodzenie wśród tych trzpiotek, choćby najbardziej czarujących. W chwili gdy ta myśl przebiegła mu przez głowę, Beth Connolly odwróciła się i powiedziała szorstko do wysokiej jasnowłosej dziewczyny:

— Marilyn, zatelefonuj zaraz do firmy Barrimodes i odwołaj zamówienie na tę białą koronkę. Poślij gońca Gardella po niebieski jedwab numer osiemset siedemdziesiąt dwa i każ kupić dla mnie dużo złotych bransoletek i kilka sztucznych pereł. Pan Howard i sklep jubilerski na Mayfair są o tym powiadomieni — rozmawiałam już z nimi. I potrzebne nam też będą niebieskie pantofle z gładkiej skóry z „Pięknej Stopy” — numer nogi Weroniki. Powiedz w studio, że nie zaczniemy zdjęć wcześniej niż w południe, i upewnij się, czy Michał jest wolny po lunchu. Jeśli nie, zamów go, jak się da najprędzej, i ustaw manekiny. — Zwróciła się znów do Henryka: — Ogromnie przepraszam — powiedziała. — Musiałam porozmawiać z sekretarką. Wszystko mi się zdezorganizowało z powodu Paryża.

Henryk zawstydził się swojej poprzedniej oceny. Ta dziewczyna, choć taka młoda, była specem w swojej dziedzinie i daleko jej było do trzpiotki.

— Czy mogę wypożyczyć na parę minut Weronikę? — spytał.

— Naturalnie. Nie będzie mi potrzebna do południa.

— Dziękuję pani.

Beth uśmiechnęła się i weszła do pokoju modelek. Henryk i jego siostrzenica zasiedli naprzeciw siebie po obu stronach biurka w ciemnym pokoju.

— Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałem się tutaj zastać — powiedział inspektor.

— Dlaczego? Pracuję teraz dużo dla „Mody”. Wuju, czy to prawda, że ona nie żyje?

— Niestety, tak.

— Zamordowana? — Oczy Weroniki były wielkości spodków.

— Tego jeszcze nie wiemy na pewno — odparł dyplomatycznie.

— Ty, Ronnie, możesz chyba pomóc mi trochę.

— Ja?

— Znasz tu ludzi osobiście.

— Nie wszystkich. Nigdy nie widziałam panny Pankhurst — mówią, że to była nieprzystępna kobieta. Ale to samo mówili o paninie Field, która okazała się w końcu bardzo miła. Naprawdę to znam tylko Beth, pannę Masters i Michała.

— Michała Healy, fotografa?

— Tak. Byliśmy wszyscy w Paryżu aż do wczoraj. No i naturalnie znam trochę Ciotunię — wszyscy go znają.

— Kto to jest Ciotunia?

— Patryk Walsh, kierownik działu graficznego. Bardzo miły. Wszyscy nazywają go Ciotunia, oczywiście nie w oczy. Bo on ryczy na ludzi — dodała Weronika.

— Wiem o tym — powiedział Henryk z przekonaniem. Zajrzał do swoich notatek. — Czy znasz jego zastępcę, Donalda MacKaya?

Ku zdumieniu Henryka Weronika zaczerwieniła się.

— Tak — odrzekła i nie wiadomo czemu zaczęła wpatrywać się bardzo pilnie w wydłużone noski swoich pantofli.

— A co...

Zadzwonił telefon, Henryk podniósł słuchawkę.

— Jest Ernest Jenkins — oznajmił sierżant. Głos jego brzmiał tak, jakby był bardzo zmęczony.

— Dobrze — powiedział Henryk. — Przyślijcie go tu zaraz. — Położył słuchawkę i powiedział do Weroniki: — Chcę zaraz pomówić z tym chłopcem. Lepiej wyjdź stąd. Zobaczymy się później.

— Czy mogę wyjść z gmachu?

— Oczywiście. Ale musisz być z powrotem o dwunastej na te zdjęcia, co?

— Będę wcześniej. O wpół do dwunastej. Muszę zrobić makijaż.

— Masz już twarz dostatecznie upacykowaną — zauważył dość sztywno Henryk.

Weronika uśmiechnęła się z politowaniem.

— Wszystkie dziewczyny w Paryżu mają trupio blade twarze, podczernione oczy i brązowe wargi obrysowane czarną kreską. Przywiozłam sobie parę nowych szminek.

— Brzmi to odrażająco.

— To jest cudowne. Zaczekaj, a zobaczysz.

— Jeśli myślisz, że staniesz się przez to bardziej atrakcyjna dla... — zaczął Henryk, przybierając uroczysty ton wuja, i zaraz tego pożałował. Nie powiedział jednak już nic więcej, bo w tej chwili na korytarzu wybuchł okropny harmider.

Poprzedziło go ostre pukanie do drzwi. Zanim Henryk zdążył powiedzieć: „Proszę”, gdzieś z głębi korytarza rozległ się wrzask Patryka:

— Olwen! Co ty, u diabła, chcesz zrobić?

— To Ciotunia — powiedziała Weronika.

— Wiem — stwierdził ponuro Henryk.

Niski głos dziewczęcy z walijskim akcentem odpowiedział Patrykowi:

— Idę do inspektora, żeby mu powiedzieć...

— Nie pójdziesz, do cholery!

— Proszę! — zawołał Henryk.

Drzwi uchyliły się i natychmiast zostały zatrzaśnięte z zewnątrz przy akompaniamencie odgłosów szamotaniny,

— Puść mnie, ty brutalu! — Głos dziewczyny zabrzmiał teraz głośniej, była bliska łez. — Odejdź ode mnie! Wejść tam!

— Nie wiesz, co robisz, idiotko!

— Owszem, wiem. To ty...

— Posłuchaj mnie, głuptasie!

— Puść! To boli!

Drzwi otworzyły się i znowu zatrzasnęły. Teraz, jak można było oczekiwać, inne drzwi zaczęły się otwierać i korytarz wypełniły głosy — gniewne, rozhisteryzowane, pojednawcze.

— Myślę — powiedział Henryk do Weroniki — że pójde zobaczyć, co się tam dzieje. Zaczekaj tutaj.

Ujął klamkę, obrócił ją i pchnął drzwi ze wszystkich sił. Jego ciężar przeważał widocznie nacisk z zewnątrz i pokonał siłę Patryka. Drzwi otworzyły się na oścież i Olwen Pipper dosłownie padła Henrykowi do stóp. Za nią, trzymając ją jeszcze za rękę, stał Patryk, ogromny i zły. A za nim majaczyły zamazane twarze i rozlegał się gwar głosów, wśród których Henryk rozróżniał wysoki, wytworny kobiecy głos, który powtarzał:

— Nie zniosę tego! Zatrzymaj ją, Ciotuniu! Nie zniosę tego!

Słysząc było wyraźnie jeszcze drugi głos, młody, męski, z gwarowym akcentem londyńskim, który powtarzał:

— Sierżant kazał mi wejść na górę. Kazał mi wejść. Mówię, że kazał...

— No — powiedział Henryk służbistym tonem — o co chodzi?

— Próbuję tylko powstrzymać tę zwariowaną dziewczynę, żeby nie robiła z siebie kompletnej idiotki — wyjaśnił Patryk.

— Proszę, żeby pan przestał się w to wtrącać — powiedział Henryk i pomógł Olwen wstać. — Pani jest chyba panną Pipper, sprawozdawcą teatralnym?

— Tak — odrzekła buntowniczym tonem Olwen, jakby obawiała się, że to stwierdzenie zostanie zakwestionowane.

Henryk przyjrzał się jej. Zobaczył tę samą poważną młodą twarz, te same okulary, przekrzywione trochę w niedawnej szamotaninie, tę samą kręłą nieszykowną figurę, z powodu których ubiegłego wieczoru Margery French przeżyła bolesny moment uświadomienia sobie prawdy. Zobaczył także, że Olwen płakała i zaraz niewątpliwie znacznie znowu płakać.

Uczepiła się jego ramienia.

— Musi pan pozwolić mi porozmawiać ze sobą, inspektorze — powiedziała.

— Oczywiście, że może pani porozmawiać ze mną.

— Olwen! — odezwał się Patryk. — Ostrzegam cię. Jeśli powiesz...

— Panie Walsh! — przerwał mu Henryk. — Skąd pan wie, co panna Pipper chce mi powiedzieć?

— Domyślam się.

— Czego?

— Kupy cholernych łgarstw!

— Nie! — krzyknęła Olwen. — Nie!

— Nie rozumiesz...

— Porozmawiam teraz z panną Pimper — oświadczył stanowczo Henryk. — A jeśli pan nie odejdzie stąd, będę zmuszony wezwać moich ludzi i usunąć pana siłą. Czy jest tam Ernest Jenkins?

— Jestem — rozległ się piskliwy głos. — Sierżant kazał mi...

— Wiem — odpowiedział Henryk. — Przepraszam, zobaczymy się później. Zaczekaj w ciemni, aż cię wezwę. A teraz proszę się rozejść!

Przez chwilę Patryk stał wpatrując się w Henryka, jego duża głowa była niebezpiecznie pochylona. Inspektor był pewien, że go zaatakuje. Moment ten minął jednak. Patryk podniósł głowę i powiedział:

— Nie mów potem, że cię nie ostrzegałem. — Obrócił się na pięcie i odszedł korytarzem. Zebrany tłum, uległe i w milczeniu, wycofał się do pokoi.

Henryk zawrócił do swego gabinetu.

— Ronnie... — zaczął, ale jego siostrzenica znikła.

Rozdział IV

Olwen Pimper usiadła na krześle naprzeciwko Henryka i wybuchnęła płaczem. Henryk, któremu było żal dziewczyny, podał jej swoją chustkę. Potrząsnęła energicznie ciemną głową i wyciągnęła własną chustkę z dość zniszczonej torebki. Wytarła głośno nos i powiedziała:

— Strasznie przepraszam.

— Wszystko w porządku — odrzekł. — Czy czuje się pani na siłach, żeby teraz porozmawiać?

- Tak — odpowiedziała trochę niepewnie Olwen.
Zaległo milczenie.
- To wszystko musiało być dla pani okropne — ciągnął Henryk.
- Pani mieszkała z Heleną Pankhurst, prawda?
Olwen w milczeniu skinęła głową.
- Żyłyście w przyjaźni?
— O tak. To znaczy... przeważnie.
— Nie zawsze?
— Nie, od kiedy Michał... — zaczęła Olwen i rozplakała się znowu.
- Dlaczego chciała pani przyjść i koniecznie zobaczyć się ze mną? Co chciała mi pani powiedzieć?
Nie otrzymując żadnej odpowiedzi prócz szlochów i siąkań nosem, oznajmił twardym tonem:
- Proszę posłuchać. Dobrze wiem, co łączyło Helenę z Michałem Healy.
- Olwen ze zdumienia kompletnie oniemiała. Przestała płakać i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w inspektora. W końcu spytała:
- Wszystko pan wie? Skąd?
— Mniejsza o to. Grunt, że wiem. Nie wiem tylko, czy miało to jakiś związek z jej śmiercią. Czy może mi pani pomóc?
— Oczywiście, że miało. — Słowa popłynęły gwałtownie. — To on ją zabił! Zabił ją tak, jakby naprawdę zamordował!
— Co to ma znaczyć?
— Chcę powiedzieć, że zachowywał się jak cham i świnia i że Helena była w skrajnej rozpacz. Dlatego to zrobiła. Słyszałam, jak mówiła, że się zabije...

— Pani przyjaciółka prawie na pewno nie popełniła samobójstwa. Została zamordowana.

— Zamordowana? — wyjąkała Olwen. — O, nie! To niemożliwe. Kto mógłby chcieć zamordować Helenę?

— Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Niech mi pani powie, proszę, co pani wie o Helenie i Michale Healy?

— To się zaczęło jakieś pół roku temu. Helena zaczęła, wychodzić wieczorami nic mi nie mówiąc — nigdy przedtem tego nie robiła. Oczywiście, bywam często służbowo w teatrze, więc z początku nie spostrzegłam tego. Ale potem zaczęło się to zdarzać coraz częściej... Byłam bardzo zaniepokojona. Widzi pan, podziwiałam Helenę więcej niż kogokolwiek na świecie i zawsze tak blisko przyjaźniłyśmy się...

— Była trochę starsza od pani, prawda?

— Tak. Przeszło dziesięć lat, ale to nie miało znaczenie.. To była cudowna osoba... zanim się to wszystko zaczęło.

— Kiedy poznała Michała Healy?

— To bardzo dziwne — powiedziała Olwen. — Znała Michała i Teresę od lat, o wiele dłużej niż mnie. Kiedy spytałam ją pierwszy raz, dokąd wychodzi wieczorami, odpowiedziała, że na obiad z Teresą i Michałem. I chociaż byłam trochę zła i czułam się samotna i nieszczęśliwa, niczego nie podejrzewałam. Byłam tylko wściekła na nich, że ją tak dla siebie zagarniają. A potem pewnego wieczoru, kiedy rzekomo wyszła z nimi na obiad, zobaczyłam w teatrze Teresę w jakimś towarzystwie. Wiedziałam od razu, że Helena jest gdzieś sama z Michałem. — Olwen pociągnęła nosem. — Kiedy tej nocy wróciła do domu, napomknęłam coś o Teresie, dopytując o nią, a Helena

odpowiedziała: „O, ma się doskonale. Podąła nam wspaniały obiad”. Spytałam, co robili, a ona odrzekła: „Nic. Jedliśmy obiad i rozmawialiśmy we trójkę”. To było straszne! Mówiła tak naturalnie... Uświadomiłam sobie, że okłamywała mnie od kilku miesięcy.

— Czy pani Healy... panna Masters wiedziała, co się dzieje?

— Ja... ja nie wiem. Czasami myślę, że musiała wiedzieć, ale kiedy widziałam je w takich przyjaznych stosunkach w biurze, nie mogłam uwierzyć, by wiedziała... — Olwen urwała i znowu wytarła nos. — Pan nie wie, jaka cudowna była Helena! Jeśli nie zostawiła żadnego listu, to dlatego, że nie chciała martwić Teresy.

— Mam wrażenie — powiedział uprzejmie Henryk — że wszystkie plotki dotyczące Heleny i Michała, które krążyły po biurze, pochodziły od pani.

Olwen nie próbowała zaprzeczać.

— Dlaczego nie miałabym o tym mówić? Uważałam, że Teresa powinna wiedzieć i położyć temu kres. Ale wydaje mi się, choć nie wiem czemu, że ta historia nigdy do niej nie dotarła. Nie mogłam przecież pójść i powiedzieć jej wprost. Zresztą to nie ma teraz znaczenia. Nie wie pan, co to za piekło...

— Co?

— Widzieć Helenę tak nieszczęśliwą, zrozpaczoną, jak była w ostatnim miesiącu. Michał znudził się nią. Wiem o tym. Wiedziałam, że w końcu tak będzie.

Henryk spostrzegł, że Olwen całkowicie zlekceważyła jego sugestie morderstwa. Zaczął się sam zastanawiać, czy w końcu nie było to samobójstwo. Margery French nie wierzyła w nie. Poza tym istniał inny dowód. Gdyby nawet w końcu okazało się, że to samobójstwo,

sprawy nie wyglądała wcale prosto. Zdał sobie sprawę, że Olwen mówi znowu.

— Nie powiedziałam panu jeszcze najgorszego, ale oczywiście doktor to odkryje. Już zresztą pewnie o tym wie.

— Chce pani powiedzieć, że Helena była w ciąży?

Olwen z nieszczęśliwą miną potaknęła.

— Czy ktoś inny wie o tym?

— Tak.

— Kto?

— Nie wiem. Nie Michał. Choć myślę, że musiała mu powiedzieć. Ale powiedziała także komuś innemu. A mnie nic nie powiedziała! — Był to krzyk bólu i rozpaczy. — Dlaczego mi nie powiedziała?

— To skąd pani wie?

— Wczoraj — opowiadała Olwen — Helena wyszła z biura wcześniej, zaraz po lunchu, bo miała pracować całą noc. Wróciłam do domu około wpół do siódmej, żeby się przebrać do teatru, a ona właśnie rozmawiała z kimś przez telefon. Usłyszałam, jak mówiła: „Doktor mówił, że to zupełnie pewne. Nie wiem, co zrobię. On nigdy jej nie porzuci, wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Słowo daję, że chciałabym umrzeć”. Kiedy usłyszała, że weszłam, rzuciła w telefon: „Nie mogę teraz rozmawiać. Do widzenia” — i położyła słuchawkę. Weszłam i próbowałam coś powiedzieć... to znaczy, spytałam ją, czy dobrze się czuje, a ona uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała: „Doskonale, tylko jestem okropnie przeziębiona”. Wyszła do biura, a potem dowiedziałam się, że...

Chcąc zapobiec następnemu potokowi łez, na który się wyraźnie zanosilo, Henryk spytał:

— Czy wtedy widziała ją pani po raz ostatni? Zdaje się, że pani

też przyszła do biura, żeby pracować?

— Tak. Zobaczyłam Helenę w przelocie. Powiedziałam jej dobranoc idąc do windy. Drzwi do jej pokoju były otwarte. Nie przeszkadzałam Helenie. Nikt nie śmiał jej przeszkadzać, kiedy pracowała.

— Która była wtedy godzina?

— Naprawdę nie wiem. Późna. Myślę, że po trzeciej. Wszyscy już wyszli.

— Więc była cała i zdrowa po trzeciej. Czy zauważyła pani termos w jej pokoju?

— Nie widziałam go. Pamiętam, że zastanawiałam się, gdzie jest. Zawsze miała go na biurku, kiedy pracowała w nocy.

— Jak dostała się pani do domu o tej porze?”

— Poszłam piechotą.

— Aż do Kensington, w deszczu?

— Czułam się tak nieszczęśliwa — odrzekła po prostu Olwen. — Chciałam trochę pomyśleć. Wieczór w teatrze był taki podniecający, że prawie zapomniałam o Helenie. Ale przypomniałam sobie o wszystkim, kiedy ją zobaczyłam. Pragnęłam powziąć decyzję, co zrobić... jak jej pomóc...

— W jaki sposób weszła pani do biura po teatrze? Czy drzwi frontowe nie były zamknięte?

— Mam klucz. — Olwen pogrzebała w torebce i pokazała duży srebrny klucz typu Yale. — Oto on. Często pracuję późno w nocy.

— Kto jeszcze ma klucze?

Olwen zastanawiała się chwilę.

— Panna French, oczywiście. Teresa i Patryk, i panna Field. I Helena miała swój.

— Nikt więcej?

— Chyba nie.

— Dziękuję. Miała pani rację, że chciała mi pani to wszystko powiedzieć. Na razie proszę to zatrzymać przy sobie.

— Oczywiście.

Henryk uśmiechnął się do niej zachęcająco.

— Wyobrażam sobie, jakie to musi być dla pani smutne.

— Muszę się jakoś trzymać. Mam dużo pracy.

Wstała, a Henrykowi pozostało wrażenie młodzieńczej wrażliwości i nieugiętej woli. Olwen Pippet miała żywe i szybkie reakcje uczuciowe, a także siłę.

— Dzielna dziewczynka — powiedział z uśmiechem. — Później, prawdopodobnie wieczorem — dodał — chciałbym zobaczyć pani mieszkanie, jeśli można.

— Oczywiście, panie inspektorze. O której godzinie?

— Trudno mi wyznaczyć dokładny czas. Czy mogę przedtem zadzwonić?

— Doskonale. Będę w domu mniej więcej od piątej aż do momentu, gdy wyjdę do teatru.

Energicznym, starannym pismem wypisała numer swego telefonu i wyszła z pokoju, pozostawiając Henryka, który zamierzał przebadać teraz Ernesta Jenkinsa.

Był to wysoki, szczupły młodzieniec o bladej twarzy i zabawnie ostrych rysach. Przyznał wesoło, że jest w „Modzie” jednym z laborantów pracujących w ciemni fotograficznej i że poprzedniego wieczora pracował tam pomagając Michałowi Healy.

— Niewiele miałem do roboty. Pan Healy lubi sam robić odbitki, jeśli to coś ważnego. Nawet nie wpuszcza nikogo do ciemni, kiedy pracuje.

Przyznał, że przygotował termos świeżej herbaty dla Heleny o

wpół do dwunastej, ale nie zaniósł do jej pokoju. Wyjaśnił, że Michał Healy był zły, ponieważ on, żeby zrobić tę herbatę, zostawił zdjęcie, które osłabiał, więc zawołał go z powrotem do roboty. Słowo „osłabiał” przypomniało coś Henrykowi.

— Czy do tego używa się cyjanku?

— Tak.

— Co dosłownie znaczy „osłabiać”?

— Rozjaśniać zdjęcie — odpowiedział Ernie. — Jeśli negatyw jest bardzo kontrastowy, nie można wydobyć jasnych części zdjęcia na odbitce przy innych zbyt ciemnych. Więc się je rozjaśnia.

— W jaki sposób?

— Smarując ciemne miejsca cyjankiem.

— Ile było w butelce tego cyjanku, kiedy go używałeś?

— Więcej niż pół butelki — odrzekł Ernie bez wahania.

— W jaki sposób dostaje się cyjanek z szafy?

— Całkiem zwyczajnie. Fred ma klucz — Fred to magazynier. Prosimy go o to, co nam potrzeba, i dostajemy za pokwitowaniem. Ale wczoraj wieczorem przygotowywaliśmy numer o kolekcji, wie pan.

— I kto miał klucz?

— Pan Healy. To znaczy szafy były otwarte, więc wziąłem, co mi było potrzebne.

— A on nie zamknął szaf, gdy wychodził?

— Nie wiem, kiedy wyszedł. Mnie odesłał do domu około północy.

— W jaki sposób wyszedłeś z tego budynku? Miałeś klucz?

— Ja? Skądże? Ale łatwo stąd wyjść, bo można zawsze otworzyć

zamek od wewnątrz i zatrzasnąć za sobą drzwi. To taki zamek Yale.

— Rozumiem — powiedział Henryk. — Dziękuję, Ernio. Na razie wystarczy. Ale mogę cię jeszcze później potrzebować.

— Będę w ciemni, szefie. Co robić! — powiedział wesoło Ernio i wyszedł.

Henryk został sam i próbował zebrać chaotyczne myśli. Zdał sobie sprawę, że w gorącej atmosferze wybuchowych temperamentów śledztwo toczy się nie tak, jak trzeba. Zatelefonował do sierżanta i poprosił go o przyniesienie torebki zamordowanej kobiety. Sierżant zapewniał, że zbadano ją dokładnie szukając odcisków palców, ale — tak samo jak na termosie — nie było na niej śladu, że dotykał ją ktośkolwiek poza Heleną. Butelka po cyjanku, dodał sierżant, nie miała też na sobie żadnych śladów.

Zawartość torebki Heleny niewiele powiedziała inspektorowi. Była tam złota puderniczka i droga szminka; dwie duże brudne chustki do nosa i dwie czyste; grzebień, wieczne pióro i kółko z trzema kluczami, jeden z nich rozpoznał Henryk jako identyczny z kluczem Olwen. Portfel-portmonetka ze świńskiej skóry zawierał osiem funtów i trochę drobnych, a także kilka odcinków biletów teatralnych, kwit na parę obuwia, bilety wizytowe i nie wykorzystany ważny na pół dnia bilet powrotny z Londynu do Hindhurst w hrabstwie Surrey. Pudełeczko z kości słoniowej wypełnione było urzędowymi biletami wizytowymi Heleny, takimi samymi, jak przybity na drzwiach jej gabinetu. W torebce znajdował się także notesik, który Henryk otworzył pełen nadziei, lecz rozczarował się, bo były tam tylko krótkie zapiski

dotyczące spotkań w sprawach służbowych. Dwie notatki zwróciły jego uwagę — jedna z datą sprzed miesiąca i druga z ostatniego dnia życia Heleny. W obu wypadkach napisane tam było tylko jedno słowo — „Doktor”. Henryk obejrzał jeszcze raz bilet kolejowy. Data jego wydania zgadzała się z datą pierwszej wizyty u lekarza — w jakąś sobotę. Oto ślad, którym można by pójść, ale biorąc pod uwagę to, co powiedziała Olwen, wyjaśnienie wydawało się smutnie oczywiste. Henryk westchnął, włożył rzeczy Heleny do torebki i wezwał Teresę Masters.

Weszła spokojnie do pokoju, a gdy powiedziała: „Dzień dobry, panie inspektorze”, Henryk rozpoznał wysoki, miły głos, który słyszał uprzednio na korytarzu.

Nawet on uświadomił sobie od razu, że Teresa posiada to, co Margery French określiła jako „zmysł mody”. Dopiero przyjrzawszy się jej z bliska stwierdził, że nie była bardzo piękna, ale wrażenie, jakie wywoływała, było oszałamiające. Bardzo wysoka, z figurą modelki, miała na sobie suknię z czerwonego jerseyu, która sprawiała wrażenie zupełnie prostej, lecz była skrojona i uszyta w sposób najwymyślniejszy. Szyję Teresy owijało chyba z dziesięć długich złocistych łańcuchów różnego rodzaju, a przegub szczupłej ręki otaczała równie duża ilość złotych bransoletek. Jej rozjaśnione włosy ułożone były prześlicznie, makijaż gładki i bez skazy. Fakt, że jej twarz była nieco za okrągła i za pełna, oczy zbyt blisko osadzone, a czoło za niskie, po prostu się nie liczył. Usiadła i skrzyżowała piękne nogi.

— Czy mogę zapalić, inspektorze?

— Oczywiście.

Teresa wyjęła ze swojej ogromnej torby z krokodylowej skóry

złotą papierośnicę. Miała delikatnie zarysowane kostki u nóg i równie delikatne przeguby rąk, a przy tym gwałtowne, nerwowe ruchy, czym przypominała Henrykowi rasowego konia. Najwyraźniej z dużym wysiłkiem starała się opanować.

Zgodnie z porównaniem, jakie mu się nasunęło, przeprowadził ją delikatnie przez pierwszą przeszkodę. Potwierdziła znane mu już szczegóły dotyczące ubiegłej nocy — roboczą sesję w biurze, przyjazd i zaproszenie Goringa, krótkie przyjęcie z szampanem, odwiezienie gości do domu. Przyznała lękliwie, że była w ciągu nocy parę razy w ciemni, żeby porozmawiać z Michałem, i że zauważyła termos stojący w magazynie.

— À propos, inspektorze — dodała — czy możemy z Michałem zabrać dziś do domu nasze walizki? Bardzo nam bez nich niewygodnie. Michał przyniósł wczoraj do domu szczotkę do zębów w teczce, ale wszystkie moje kosmetyczne drobiazgi i tak dalej są...

— Doskonale rozumiem — powiedział Henryk. — Mogą państwo zabrać swoje walizki.

— Dziękuję.

Henryk zacerpnął tchu i przystąpił do delikatnej części przesłuchania. Poszło to nadspodziewanie łatwo.

— Sądzę, że pani przyjaźniła się z panną Pankhurst?

— Tak.

— I pani mąż także?

— Tak. Oboje przyjaźniliśmy się z nią — powiedziała bez wahania. Potem nieoczekiwanie dodała: — Zwłaszcza Michał, oczywiście.

Henryk był zaintrygowany.

— Dlaczego pani to mówi?

Teresa zastanawiała się przez chwilę.

— Nie wiem, co powiedziała panu Olwen Pippier?...

Henryk milczał. Teresa ciągnęła dalej bardzo szybko:

— Krążyło mnóstwo idiotycznych plotek na temat Heleny i Michała. Niektóre z nich dotarły może do pana? To nieprawda. A w każdym razie tylko częściowa prawda. Helena była genialna, a ja nie jestem mądra, każdy to panu powie. Mieli bardzo dużo wspólnego z Michałem. Często jadali razem obiady. Chodzili do teatru, na koncerty i tak dalej. Może był to nawet jakiś niegroźny flirt. Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Jeśli był, nie miałyby to znaczenia dla nikogo z nas. W takim małym światku jak nasz wyolbrzymia się różne sprawy. Moje małżeństwo jest bardzo szczęśliwe i zawsze było takie. Helena była moją przyjaciółką. — Rzuciła krótkie, urywane zdania, robiąc między nimi pauzy niczym wykrzykniki.

— Skoro pani tak dobrze ją znała, czy może mi pani powiedzieć coś o jej prywatnym życiu, o jej przyjaciółkach... poza panią i mężem pani?

Teresa wydawała się trochę przestraszona.

— Nie — odpowiedziała. — Helena nie miała przyjaciół poza biurem, o ile mi wiadomo. Ciotunia... to znaczy pan Walsh uwielbiał ją od lat na swój zabawny sposób. I oczywiście Olwen kochała się w niej po pensjonarsku.

— Te dwie osoby dziwnie nie pasują do wspólnego mieszkania.

— Istotnie. Stało się tak dlatego, że Helena była zbyt dobra. Olwen przyjechała przed rokiem prosto z uniwersytetu i została zastępcą naszego sprawozdawcy teatralnego. Nie miała gdzie mieszkać i nie znała w Londynie nikogo. Siostra Heleny, która z nią mieszkała, wyszła za mąż i wyjechała do Australii. Więc Helena ulitowała się nad

Olwen, wyciągnęła ją z jakiegoś okropnego hotelu i dała jej pokój we własnym mieszkaniu. Miała to być rzecz tymczasowa, póki Olwen nie znajdzie sobie czegoś innego — w każdym razie byłoby to mieszkanie za drogie dla niej. Ale potem umarł nagle nasz sprawozdawca teatralny, Olwen awansowała na jego miejsce i mając większe wynagrodzenie stwierdziła, że może płacić Helenie za pokój. Błagała, żeby pozwoliła jej mieszkać dalej u siebie, a Helena miała miękkie serce i poza tym uważała, że to duże obciążenie opłacać samej takie mieszkanie. Więc mieszkały razem.

— Czy przyszło pani do głowy, że Helena mogła popełnić samobójstwo? — spytał nagle Henryk.

Zaległo głucho milczenie. Pytanie to najwidoczniej kompletnie zaskoczyło Teresę i nie mogła się zdecydować, jak na nie odpowiedzieć. Henryk podejrzewał, że jej wahanie nie jest wynikiem wątpliwości, czy to słuszny wniosek, lecz rozmyślania, jaką dać najwłaściwszą odpowiedź. Powiedziała w końcu:

— Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym. Wszyscy byli, zdaje się, przekonani... — Urwała. — Teraz, gdy pan wspomniał o tym, myślę, że to możliwe...

— Dlaczego?

— Nie wiem dlaczego. Ludzie popełniają samobójstwa z najdziwniejszych powodów. Jeśli pan mówi, że ona to zrobiła...

— Nic takiego nie powiedziałem. Spytałem o pani zdanie.

Teresa uniosła ręce i opuściła je w geście zakłopotania.

— A skąd ja mogę wiedzieć?

— Była z nią pani bardzo zaprzyjaźniona.

— Nie mówiła mi z pewnością nic takiego, co mogłoby...

— Już parę osób powiedziało mi, że ostatnio była zdenerwowana i roztrzęsiona. Czy pani to zauważyła?

Teresa sama wyglądała na bardzo zdenerwowaną L roztrzęsioną.

— No... to znaczy... wydawała mi się trochę zmęczona... tak... zmęczona...

— Czy nie sądzi pani, że jej przyjaźń z mężem pani mogła być głębsza, niż pani sądziła? Że ona mogła przeżywać głęboko konflikt lojalności w stosunku do pani i uczucia, które żywiła dla niego?

— Tak, to zupełnie możliwe. — Teresa powiedziała to głosem stanowczym i jakby z ulgą. Wydawało się, że powzięła decyzję. — Im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje się to prawdopodobne. To nie była oczywiście wina Michała. Skąd mógł wiedzieć? Helena nie była osobą z sercem na dłoni, ale głęboko odczuwała wszystko i była ostatnio naprawdę przygnębiona i zdenerwowana. Kiedy mi to pan wytłumaczył, jestem pewna, że tak się stało.

Henryk przyglądał jej się z dużym sceptycyzmem. Nie po raz pierwszy tego ranka miał wrażenie, że działa tu niezorganizowana konspiracja, mająca na celu ukrycie przed nim jakiegoś kłopotliwego faktu. Patryk ukazał to wyraźnie z typowo aktorską agresywnością; Margery French załatwiła rzecz zręcznie; Teresa Masters robiła, co mogła, ale nie posiadała ani inteligencji, ani sprytu, by coś improwizować, gdy się ją zaskoczyło. Zagadnienie polegało na tym, żeby zdecydować, które z tych trojga można by najłatwiej nakłonić do powiedzenia prawdy i jaka jest najlepsza wobec nich metoda. Na razie Henryk postanowił nie przyspieszać biegu wypadków. Ostatecznie, musiał jeszcze pomówić z Michałem Healy.

Emmy patrzyła na swoją piękną siostrzenicę z pewną troską.

— Nie podoba mi się, że mieszasz się do tego wszystkiego, Ronnie.

— Wuj Henryk powiedział, że mogłabym mu pomóc.

— Nie miał prawa tak mówić — odrzekła surowo Emmy. — Trzymaj się od tego z daleka. Morderstwo to sprawa Henryka, nie twoja.

— Ale czy nie rozumiesz, ciociu... Wszyscy wiedzą, kim jest Wuj Henryk, i jeśli ktoś ma coś do ukrycia, to nigdy nie zdradzi się przed nim. A ja jestem zerem, nikt nie będzie się zastanawiał, co przy mnie mówi. Mogę wykrzyć wiele rzeczy, których on nie może.

— Wszyscy już teraz na pewno wiedzą, że jesteś jego siostrzenicą.

— Nie. Tylko Beth, a ona obiecała, że nie piśnie słówka. Beth to anioł.

— Anioł czy nie anioł, opowie o tym na pewno wszystkim — zauważyła Emmy z ulgą. — Więc widzisz, że nic tu nie pomożesz. Nie chcę, żebyś bawiła się w detektywa. Zrozum, morderstwo to nic fascynującego. To wstrętne, przykra, niebezpieczna rzecz. Nie wiem, co powie twoja matka.

— Będzie udawała przerażoną czekając w napięciu na najświeższą porcję wiadomości — powiedziała Weronika z brutalną szczerością. Spojrzała na zegarek. — Och, muszę już iść. O dwunastej mam pozować do zdjęć. Przyjdę wieczorem i opowiem wujowi Henrykowi, czego się dowiedziałam.

— Naturalnie, że chętnie zobaczymy cię wieczorem, moja droga, ale...

— Czy widzisz nagłówki w gazetach? — spytała radośnie

Weronika. — „Modelka rozwiązuje zagadkę morderstwa”. „Poculiśmy się zawstydzeni, przyznaje nadinspektor Scotland Yardu...”

— Ronnie! — wykrzyknęła Emmy, naprawdę wstrząśnięta. — Nie odważysz się...

— Muszę już iść. Zobaczymy się wieczorem.

— Ronnie...

Weronika przesłała ciotce całusa.

— Zobaczysz — powiedziała złowieszczym tonem.

I znikła.

Gdy Henryk zakończył formalne, lecz jałowe przesłuchiwanie Alfa Samsona, które potwierdziło jedynie to, co już wiedział, zegar biurowy wskazywał dziesięć minut po dwunastej. Nakręcił numer studia. Ernie powiadomił go cierpko, że pan Healy robi właśnie zdjęcia i nie można mu przeszkadzać.

— Doskonale — odrzekł polubownym tonem Henryk. — Przyjdę do studia.

— Nie wolno wchodzić żadnym gościom — odparł stanowczo Ernie.

— Ja nie jestem gościem. Jeśli ty czy pan Healy macie zamiar spierać się ze mną na ten temat, proszę zapytać o zdanie pana Gorin-ga.

Wzmianka o prezie wywarła natychmiastowy skutek.

— No, dobrze — powiedział z rezygnacją Ernie i dodał: — Mówię panu, że pan Healy nie będzie zadowolony.

— Trudno — odrzekł Henryk. Odłożył słuchawkę i ruszył korytarem do studia.

Był to wielki jak stodoła i wysoki pokój. Najwyraźniej ta część

domu została kompletnie zniszczona i przebudowano ją stosownie do potrzeb. Lamy, ekrany, przewody i skrzynki łączeniowe sprawiały, że wejście tam przypominało bieg z przeszkodami.

W pokoju było ciemno, z wyjątkiem jasno oświetlonej przestrzeni w jednym rogu, gdzie dziewczyna, w której Henryk rozpoznał z trudem swoją siostrzenicę, stała w kręgu oślepiającego światła na tle kotary z wytłaczanego srebrnego papieru. Jej złocista twarz pokryta była grubym bladym makijażem, a oczy mocno zaznaczone ciemno-brązową szminką. Zgodnie ze swoją pogróżką taką samą szminką umalowała wargi na kolor sepii. Miała na sobie długą, gładką czarną suknię i przesadnie dużo brylantów i wyglądała na dobre dziesięć lat więcej, niż miała. Najbardziej zaskakującą jednak rzeczą było to, że w prawej ręce trzymała cienki łańcuch, a na nim dużego, groźnie wyglądającego lamparta. Zwierzę węszyło i z wyraźnym niezadowoleniem drapało łapami podłogę.

Naprzeciwko Weroniki stał wysoki, szczupły mężczyzna bez marynarki, z głową pochyloną w uroczystym skupieniu nad małym aparatem fotograficznym stojącym na statywie. W ciemnej głębi Henryk dojrzał jeszcze dwie kobiece postacie — Beth Connolly i Teresę Masters.

Nie podnosząc wzroku szczupły mężczyzna spytał:

— Jaki jest pomiar, Ernie?

Ernie wyskoczył z mroku z lekką miarką w ręce. Z ociąganiem zbliżył się do siedzącej Weroniki i lamparta i prawie dotknął miarką nosa dziewczyny.

— Jedna setna na pięć i sześć dziesiątych — powiedział.

— A pomiar lamparta?

Ernie wyciągnął ostrożnie rękę i dotknął nosa drapieżnika miarką. To się wyraźnie nie podobało zwierzęciu, które usiadło na zadzie i groźnie zawarczało. Ernie odskoczył do tyłu jak żaba, a Teresa pisnęła cicho. Weronika nie poruszyła się, okazując wyraźnie obojętność. Fotograf podniósł wzrok, zirytowany, i spostrzegł Henryka

— No, jest pan wreszcie — powiedział ze zniecierpliwieniem. — Niech pan, na litość boską, zrobi coś z tym swoim zwierzakiem.

— Ale...

— Niech pan każe mu wstać i podejść do aparatu.

— Nie jestem...

— Ernie! — ryknął Michał. — Zmusz tego przekłętego bydlaka, żeby wstał i podszedł do aparatu!

— Proszę pana, ja się... — zabrzmiał cienki jęk z ciemności.

— No, kotku, chodź — powiedziała łagodnie Weronika. Nie zmieniając pozy szturchnęła lekko lamparta w zad wydłużonym nosem aksamitnego pantofelka. Lampart przewrócił się na wznak i zaczął mruzczyć.

— Cudownie! — wykrzyknął Michał. — Utrzymaj go w tej pozie! Uśmiechnij się, Weroniko! Głowa trochę w lewo... o tak! Cudownie! Fantastycznie! Kopnij znowu tę bestię! — Aparat trzaskał jak telegraf.

Weronika znowu wyciągnęła stopę i szturchnęła zwierzę, jakby chciała zbadać, co z tego wyniknie. Tym razem lampart, znudzony i rozgrzany gorącymi lampami, ułożył się po prostu do snu.

— Zasnął — powiedziała Weronika, gotowa do okazania dalszej pomocy.

— Nic nie szkodzi — odrzekł Michał. — Zostaw go na razie w spokoju. Przynajmniej się nie rusza, a ja muszę założyć nowy film.

Ernie! Załóż nowy film! Będzie parę ślicznych zdjęć. — Zwrócił się znowu do Henryka: — Do następnych zdjęć on musi stać. Czy potrafi stanąć na tylnych łapach?

Henryk nie musiał już odpowiadać na to kłopotliwe pytanie, bo nagle wpadł zdyszany niski, czerwony na twarzy mężczyzna w sztrukturalnych spodniach i brudnym zielonym swetrze. Miał na plecach stary brezentowy plecak.

— O Boże! — wykrzyknął. — Szukałem wszędzie! Czy wiecie, że na dole stoi policjant? Jak tam moja ślicznotka? — Ukłąkł obok lamparta, który głośno chrapał. — Mam nadzieję, że jest grzeczna? Ostatnio była trochę nieposłuszna... Cierpiała na obstrukcję i pozostawała na diecie. — Wyjął mało apetyczną kość z plecaka. — Zjedz to, ślicznotko. No, kto chce kość? — Nos lamparta drgał. Po chwili przeciągnął się powoli, usiadł i zaczął hałaśliwie ogryzać kość. — No, proszę! — powiedział mały człowieczek z dumą. — Tak, policjant, mogą mi państwo wierzyć! Ślicznokę wprowadzili widocznie bez kłopotów tylnym wejściem, ale gdy ja wszedłem przez drzwi frontowe, zatrzymali mnie. Nie mogłem wytłumaczyć temu policjantowi takiej prostej rzeczy, że szukam mojego lamparta, który jest tu fotografowany...

Henryk, wyobrażając sobie sierżanta, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zainteresowała go wzmianka o tylnym wejściu i zanotował sobie w myśli, że je obejrzy.

— Była grzeczna jak anioł — powiedziała Weronika. — Prawda, kotku? — Pochyliła się i polectała uszy lamparta.

— To dobrze — rzekł właściciel zwierzęcia. — Tego bym nie robił, proszę pani.

Ernie wrócił z aparatem, w który założył nowy film.

— Dobra — powiedział Michał. — Bierzmy się do dalszej roboty. Weroniko, posuń się trochę w prawo.

— Chyba będziesz mnie musiał przenieść — odpowiedziała wesoło. Zaczęła kuśtykać pomalutku przez studio i Henryk z pewnym rozczarowaniem, spostrzegł, że gładka, obcisła jak skóra czarna suknia została udrapowana w ten sposób, że spięto ją z tyłu mocno wielkimi papierowymi klamrami, co paraliżowało wszelkie ruchy.

— Wystarczy — powiedział Michał. — Teraz chcę, żeby lampart stanął na tylnych łapach, jak heraldyczne zwierzę, i patrzył w lewo.

— No, to trochę zbyt wygórowane żądanie — zaprotestował mężczyzna w zielonym swetrze.

— Ja zawsze żądam trochę za dużo — odrzekł z wdziękiem Michał — i zwykle to otrzymuję.

— Myślę, że mogę spróbować — powiedział z powątpiewaniem zielony sweter. — Może gdybym stanął na drabinie i trzymał wysoko w powietrzu kość...

— Obojętne mi, co pan zrobi, aby tylko nie wyszedł pan na zdjęciu — Michał przegarnął ręką włosy. — I chciałbym, żeby tren sukni zamiatał podłogę z prawej strony, tak jakby się wydymał. Tereso, przywiąż do niego nitkę i trzymaj ją w górze, a kiedy ci powiem, potrząśnij nim. Ernie, potrzebny mi tu reflektor, żeby uchwycić twarz Weroniki...

— Najpierw musimy mu odebrać kość — powiedział zielony sweter bez entuzjazmu. — Zwierzęta potrafią być na tym punkcie wrażliwe. Nie chcemy tu żadnych nieporozumień, prawda?

Udało się to w końcu załatwić. Lampart był cierpliwie kuszony

smacznymi kąskami wyjmowanymi z plecaka, póki nie oddał kości. Henryk trzymał chwiejną drabinę, gdy zielony sweter, siedząc nie pewnie na najwyższym stopniu, machał zachęcająco kością nad głową ślicznotki. Teresa trzymała na nitce tren i szarpała nim na rozkaz Michała. Ernie stał na krześle i wymachiwał kawałkiem kartonu oklejonym srebrnym papierem w ten sposób, żeby odbijał dodatkowe światło na bladej twarzy Weroniki. Beth kręciła się z tyłu wśród elektrycznych przewodów i lamp, poprawiając papierowe klamerki na plecach Weroniki. Była to dziwaczna, wręcz niedorzeczna scena; ale kamera chwyciła i utrwalała wspaniałe zwierzę, stojące na tylnych łapach, bladą dziewczynę w dumnej postawie, udrapowaną suknię z wydymającym się trenem i tło połyskujące niczym światło księżyca odbite na wzburzonym morzu. Było to jedno ze zdjęć roku.

Kiedy się to wszystko skończyło, a Weronika, Beth i Teresa poszły się przebrać do garderoby, Henryk zbliżył się do fotografa i spytał:

— Czy może mi pan poświęcić chwilę czasu?

— Jeżeli chodzi o lamparta — odpowiedział Michał — proszę się zwrócić do panny Field. To ona go zamawiała. — Otarł czoło chustką.

— Nie chodzi o lamparta. Nie widziałem go nigdy przedtem.

— A, to pewnie przysłał pana Mikołaj Knight w sprawie sukni? Te sprawy załatwia panna Masters. Proszę mnie nie nudzić. — Michał usiadł na dolnym stopniu drabiny i zapalił papierosa. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

— Nie przyszedłem od Mikołaja Knighta, tylko ze Scotland Yardu.

— Wielki Boże! — powiedział Michał, ale w tonie jego nie było zdumienia. — Pewnie w sprawie Heleny?

— Tak.

— Teraz nie możemy rozmawiać. Jestem w połowie seansu. Robię zdjęcia.

— Mamy co najmniej pięć minut, a to pilne. Chcę znać prawdę na temat pana stosunków z panną Pankhurst.

Michał wpatrywał się w czubek swego papierosa.

— Czy to urzędowe przesłuchanie? — spytał wreszcie.

— Tak — odpowiedział Henryk. — Jestem tutaj urzędowo o tyle, że wszystko, co pan mi powie, mogę wykorzystać według własnego uznania. A nieurzędowo w tym sensie, że nie ma nikogo, kto by zapisywał pańskie zeznanie, które by pan musiał podpisać.

— Co pan chce wiedzieć?

— Powiedziałem przecież.

— Helena — zaczął wolno Michał — była kobietą trochę przerażającą. Z pozoru zdecydowana i nie dbająca o nic i nikogo, w rzeczywistości była wrażliwa jak pensjonarka i przeżywała wszystko tragicznie. Można ją było nieświadomie łatwo zranić. Nigdy nie krzyczała, nie płakała, nie ciskała przedmiotami, jak Teresa. Kryła wszystko w sobie do momentu eksplozji. Przypuszczam, że słyszał pan plotki na jej i mój temat. Mogę tylko panu powiedzieć, że są one przesadzone. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, niczym więcej. Nie wiedziałem, co się kryło pod tą intelektualną maską.

— Oczywiście musiał pan wiedzieć, że była w ciąży? — oznajmił spokojnie Henryk.

Uwaga ta wywarła na Michale wrażenie piorunujące. Upuścił papierosa i zerwał się na nogi.

— To niemożliwe! — wykrzyknął. — To kłamstwo. Nie mogła być w ciąży.

— Była — powiedział Henryk.

— Boże! — Michał zbladł mocno. — Nie mogę uwierzyć... a jednak... Sądzę, że to możliwe. Nigdy o tym nie pomyślałem. To straszne!

— Jak pan sam widzi, nie może pan żądać, żebym uwierzył, iż sprawy między wami nie zaszły bardzo daleko.

Michał sprawiał wrażenie, jakby tych słów nie słyszał. Usiadł znowu i kręcił głową, jakby wciąż usiłował pojąć to, czego się dowiedział.

— Przypuszczam, że nie powiedziała panu? — mówił dalej Henryk.

— Mnie? Oczywiście, że nie. To znaczy... nie! Brak na to słów. Biedna kochana Helena!

— Nie będzie się pan chyba upierał przy twierdzeniu, że nie byliście kochankami?

Michał zdobył się na blady, bolesny uśmiech.

— Nie ma chyba sensu zaprzeczać, co? — spytał.

— Dobrze. Zmierzamy już do czegoś. Czy to prawda, że ostatnio był pan nią zmęczony i próbował wypłatać się z tego?...

— Nie było się z czego wypłatywać...

— Proszę pana! Po tym, do czego się pan przyznał...

Trochę bezradnie Michał powiedział:

— Sądzę, że ona brała tę sprawę poważniej niż ja.

— Pan nie uważał tego za rzecz ważną?

— Nie...

Henryk nie wyraził swego zdania na ten temat, ale rzekł:

— Niech mi pan teraz powie coś o cyjanku i o kluczach od szaf w magazynie.

— O co chodzi z tymi kluczami?

— Powierzono je panu ubiegłej nocy.

— Były w mojej kieszeni — odrzekł Michał — i są tam jeszcze.

— I poszedł pan do domu zostawiając szafy nie zamknięte?

— Przyznaję się do winy, inspektorze.

— Nie uważa pan, że było to więcej niż nieostrożne?

— Drogi inspektorze — odparł Michał z lekką ironią — gdyby pan musiał oddawać do druku numer paryski natychmiast po tygodniu ciężkiej pracy na pokazie w Paryżu... W każdym razie trudno było spodziewać się wśród kolegów i w takim miejscu gwałtownej śmierci.

Henryk pominął te słowa.

— Kiedy pan widział po raz ostatni butelkę z cyjankiem?

— Kazałem Erniemu osłabić zdjęcie około północy. Pewnie wtedy użył cyjanku.

— Ale kiedy pan widział tę butelkę?

— Nie widziałem jej. W każdym razie nie przypominam sobie tego. Stoi tam zawrze. Sam jej nie używałem.

— Nie ma pan pojęcia, ile w niej było tego cyjanku?

— Najmniejszego.

Michał cisnął papierosa i wstał.

— Trzeba wracać do roboty — powiedział jakby z ulgą.

Henryk odwrócił się i zobaczył, że Weronika wyszła z garderoby. W jej wyglądzie nastąpiła niezwykła zmiana. Wymyślny makijaż zniknął, była znowu zwyczajną dziewczyną — prostą, młodą, szczerą.

Złociste włosy, oswobodzone ze zwiniętego koka, rozsypały się w sposób rozbrajający na opalonych policzkach. Ubrana była w bawełnianą sukienkę w biało-różowe paski i sandały na płaskich obcasach. Za nią szła Beth Connolly, niosąc ogromny wiklinowy kosz pełen świeżych kwiatów.

Weronika przechodząc obok Henryka trąciła go łokciem, szepnęła: — Zobaczmy się wieczorem — i zajęła swoje miejsce w blasku reflektorów.

— Że też, u diabła, musi dzisiaj padać — zalił się Michał. — Potrzebna mi do tego zdjęcia przestrzeń pod gołym niebem i staw z pływającymi kaczkami.

— Wiem — powiedziała Beth. — Zrobiłam, co mogłam. Nie masz pojęcia, jak trudno zdobyć wiosenne kwiaty w styczniu.

Michał przenosił krytyczny wzrok z Weroniki na kwiaty i z powrotem. W końcu powiedział:

— Możesz zdobyć cielę i bramę o pięciu prętach?

Łagodnie, lecz stanowczo Beth odpowiedziała:

— Nie, drogi Michale. Nie mogę.

— Muszę mieć jakiegoś młodego zwierzaka. A może kotka?

Beth westchnęła.

— To zajmie pół godziny jazdy taksówką z Knightsbridge.

— Nic nie szkodzi. Poślij po jakiegoś kota. Młodziutkiego, puszystego, o ile możliwości szarego. Rozścielę się na podłodze kwiaty, Weronika położy się wśród nich na wznak trzymając w ramionach kotka. Jak wam się to podoba?

Henryk zostawił siostrzenicę leżącą na kawałku białego papieru na podłodze w studio, wśród kwiatów, niczym umierającą Ofelię. Wrócił do swego pokoju.

Gdy tam wchodził, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Inspektor Tibbett? Tu mówi Godfrey Goring. Jak posuwają się sprawy?

— Powoli, ale skutecznie.

— To dobrze. Zastanawiałem się, czy zechciałby pan może zjeść ze mną lunch. Zwykle chodzę do „Oranżerii” około pierwszej. To po drugiej stronie ulicy. Moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

— Dziękuję — odpowiedział Henryk. — Będzie mi bardzo miło.

— Spotkamy się za dziesięć minut — odrzekł Goring i zakończył rozmowę.

Telefon zadzwonił znowu. Tym razem odezwał się smutny lekarz z komendy policji.

— Mam dla pana trochę wiadomości, Tibbett — powiedział ponurym głosem.

— Domyślam się.

— Bez wątpienia otrucie cyjankiem, bez wątpienia podanym w herbacie. Czas zgonu między czwartą a wpół do szóstej. Wiek ofiary około trzydziestu trzech lat, dobrze odżywiona i...

— Niech pan nie przedłuża sprawy — rzekł Henryk. — Ja już wiem.

— Co pan wie?

— Że była w ciąży.

— W ciąży? — Przynajmniej raz doktor został wyrwany ze swojej smętnej melancholii. — Co pan chce powiedzieć, mówiąc, że była w ciąży?

Henryk poczuł się zakłopotany.

— A nie była? — spytał słabym głosem.

Doktor prawdopodobnie po raz pierwszy od wielu miesięcy roześmiał się.

— Nie tylko nie była w ciąży, ale była dziewczicą, mój drogi — powiedział. — Niech pan puści tę bujdzę z dymem swojej fajki. — Roześmiał się znowu i wyłączył się pozostawiając Henryka wpatrzonego w słuchawkę, którą trzymał w ręku, z bardzo mieszanymi uczuciami.

Rozdział V

„Oranżeria” jest oczywiście jedną z najzaciszejszych restauracji w Londynie, ze sławną na świecie kuchnią i piwnicą, i cenami właściwie niedostępnymi dla ludzi nie mających konta w banku. Henryk stojąc w hallu czuł się wyraźnie nie na swoim miejscu przyglądając się czarno-pomarańczowemu wnętrzu, grubym aksamitnym kotarom przytrzymywanym złoconymi pazurami i lśniącym listkom pomarańczowych drzewek, tak cudownie obciążonych owocami w środku angielskiej zimy. Dopiero później zdał sobie sprawę, że, każda złociста pomarańcza jest starannie przywiązana cienkim drucikiem do gałązek. Wnętrze to przenikał zapach dymu kosztownych cygar, a spokojne, głębokie tony głosów docierających do uszu Henryka świadczyły o dobrobycie.

Jak zwykle w porze lunchu wśród klienteli przeważali mężczyźni w średnim wieku, dobrze ubrani, uprzejmi i pewni siebie. Tutaj, za fasadą jedzenia, picia i opowiadania kawałów, załatwiano w bezwzględny sposób ważne interesy. Aktorzy omawiali z agentami sprawy umów i procentów; rozprawiano dyskretnie o scalaniu spółek

handlowych; niezmordowani akwizytorzy sławili doskonałość swoich towarów wobec cynicznych dziennikarzy; sprytni agenci reklamy umiejętnie przekonywali producentów o korzyściach kosztownych finansowych operacji. Ciemno i nieskazitelnie ubrany maitre d'hotel podszedł do Henryka.

— Ma pan zarezerwowany stolik? — spytał. Maniery jego były bez zarzutu, jednakże Henryk wyczuł od razu lekki chłód w stosunku do człowieka, który nie był stałym gościem, którego ubranie nie zostało uszyte na Savile Row i którego pozycja majątkowa była wobec tego w sferze domysłów.

— Będę jadł lunch z panem Goringiem — powiedział Henryk.

Natychmiast w sposób nieomal nieuchwytny maitre d'hotel zmienił postawę.

— Bardzo proszę, pan Goring jest już na sali. Wie pan, gdzie zwykle siada?

— Nie.

— Zaraz panu pokazę. Tędy proszę...

Henryk wszedł za nim do sali restauracyjnej, którą oświetlały przyćmione lampy, a upiększały wspaniałe cieplarniane kwiaty i egzotyczne owoce oraz porcje wędzonego łososia. Niemożliwością było wyobrazić sobie, że światło dzienne przenikało kiedykolwiek do tej świątyni gastronomii.

Godfrey Goring siedział przy osobnym stoliku w rogu i czytał „Timesa”. Podniósł głowę z uśmiechem, kiedy zobaczył zbliżającego się Henryka.

— To wielka dla mnie przyjemność, drogi inspektorze — powiedział. — Proszę, niech pan siada. Czego się pan napije?

Henryk usiadł i odmówił aperitif.

— Słusznie — powiedział z aprobatą Goring. — Ja też nie pijam aperitif. Ale sądzę, że napije się pan w czasie jedzenia wina?

Henryk odrzekł, że z przyjemnością. Nastąpiła gorąca dyskusja na temat menu i listy win; Goring wypowiadał się w tych sprawach z powagą znawcy. Henryk był więc zdziwiony widząc, gdy przyniesiono zamówione potrawy, że Goring — który szepnął kelnerowi: „Dla mnie to, co zawsze” — zadowolili się kurczakiem na zimno z sałata, a do tego butelką wody Vichy, podczas gdy on sam raczył się paté maison i canard à l'orange, popijając wybornym burgundem.

Znał na tyle protokół lunchów handlowych, że nie zdziwił go fakt, iż Goring starannie unikał interesującego ich tematu aż do momentu, gdy podano kawę. Przedtem prezes wydawnictwa „Moda” rozprawiał potoczycie i zabawnie o zaletach konkurencyjnych kuchni francuskiej i włoskiej, o obecnych kierunkach w teatrach londyńskim i paryskim, o celowości urlopu spędzanego na południu w styczniowym słońcu i o wpływach kontynentalnych na modele brytyjskich samochodów.

Na koniec, kiedy kelner nalał im kawę i zniknął, Goring powiedział:

— Musi mi pan teraz powiedzieć, jak mógłbym panu pomóc w tej okropnej sprawie Heleny Pankhurst?

— Na razie sam staram się jakoś wypełnić tło obrazu. Kiedy jest się zaangażowanym w taką sprawę, a nie znało się osobiście zmarłej, napotyka się na różne trudności. Mam nadzieję, że rozmowy z jej przyjaciółmi i kolegami pozwolą mi stworzyć sobie obraz panny Pankhurst — jej charakteru i sposobu bycia. Od tego muszę zacząć.

Goring skinął głową.

— Bardzo rozsądnie — powiedział. — I ja zabrałbym się tak samo do tej sprawy. — Było to najwyższe uznanie, jakie mógł okazać. — Helena pracowała u mnie. Mogę dać panu naturalnie jedynie zawodową ocenę jej osoby.

— Nie znał jej pan osobiście... towarzysko...? — spytał Henryk.

— Dobry pracodawca — odrzekł Goring — dla własnego dobra interesuje się życiem swoich podwładnych. Ale w wypadku Heleny mogę tylko powiedzieć, że była ona całkowicie pochłonięta pracą. Jej śmierć jest ogromną stratą dla pisma. Nie mam pojęcia, jak zdołamy ją zastąpić.

— Niech mi pan powie coś o niej z własnego punktu widzenia.

— Helena zaczęła pracować u nas przed dziesięciu laty jako sekretarka — zaczął wolno Goring. — Dwa lata później Margery French wystąpiła z wnioskiem, by awansować ją na członka kierownictwa. Była przekonana, i słusznie, że ta dziewczyna ma niezwykle talenty. Sam z nią wtedy rozmawiałem i zrobiła na mnie wrażenie osoby wyjątkowej. Łączyła w sobie inteligencję i zdolności z — jak to powiedzieć? — z savoir faire i z... — nazwę to dobrymi manierami, rzecz istotna w naszym kierownictwie. Została kolejno asystentem w dziale wydawniczym, redaktorem i wreszcie awansowała na zastępcę redaktora naczelnego. Mogę powiedzieć panu w zaufaniu, że gdyby żyła, zostałaby prawie na pewno naczelnym redaktorem. Prawdopodobnie teraz, kiedy Margery przejdzie na emeryturę, stanowisko to obejmie Teresa Masters. Niech pan nie myśli, że mam coś przeciwko Teresie — przeciwnie, ona i jej rodzina to moi przyjaciele — ale

jednak, cokolwiek mówi Margery, Teresa nie wydaje mi się właściwą osobą na wydawcę magazynu. Jednakże... — urwał. — Przepraszam, że mówię o sprawach zawodowych.

— Bardzo proszę — powiedział Henryk. — Wszystko to jest niezwykle interesujące. Więc panna French przechodzi niebawem na emeryturę?

Po chwili milczenia Goring odrzekł:

— Mówię to panu w ścisłym zaufaniu, inspektorze, Margery jest bardzo chora. Nie przyznaje się do tego, ale tak jest. Lekarze kazali jej zaprzestać pracy w ciągu dwóch miesięcy. Może pan sobie wyobrazić, że kwestia jej następcy to od pewnego czasu największy problem, jaki mnie absorbuje. Taki magazyn jak nasz istnieje lub podupada zależnie od naczelnego redaktora. Margery to ideał. Nie uważam za właściwe angażować kogoś z zewnątrz, więc trzeba by wybrać między Heleną a Teresą. Nie próbuję ukrywać przed panem, że wyróżniałem Helenę. Z tego punktu widzenia jej śmierć jest wielką — zawahał się — wielką osobistą tragedią dla mnie.

— Opowiadano mi — powiedział Henryk, dobierając starannie słowa — że łączył ją uczuciowy związek z jednym z członków personelu.

Twarz Goringa zastygła.

— To nie ma z tą sprawą nic wspólnego — odrzekł. — Mnie interesowała jedynie praca Heleny.

— Jednakże kiedy zamierza pan powierzyć komuś tak odpowiedzialną funkcję...

— Margery wspominała mi o tym — powiedział Goring. Temat ten wyraźnie był mu niemiły. — Pragnęła widzieć na swoim miejscu Teresę, oczywiście... i... nie, to nieprawda. Miała rację zwracając mi uwagę na wszystko, co mogłoby ewentualnie zakłócić bieg pracy w

naszym wydawnictwie. Jednakże sędzę, że przekonałem ją, iż tę sprawę można zlikwidować, zabrawszy się do niej w odpowiedni sposób. Niestety, zdaje się, że nie miałem racji. Ale...

W tym momencie rozmowa została przerwana pojawieniem się nowego przybysza — niskiego, szczupłego młodzieńca w ubraniu trochę zbyt dobrze skrojonym i z włosami zbyt długimi. Przebiegł przez restaurację dziwnym podskakującym krokiem, wykrzykując cieniem głosem:

— Godfrey, mój drogi! Co to wszystko znaczy? Właśnie... — Zatrzymał się nagle, zobaczywszy Henryka.

— Halo, Mikołaju! — powiedział Goring. W głosie jego brzmiało niezadowolenie.

— Mój drogi, przed chwilą kupiłem „Standard” i jestem wstrząśnięty. Dosłownie wstrząśnięty. Po prostu nie mogę uwierzyć...

— Inspektorze — odezwał się Goring ze spokojnym naciskiem — pozwoli pan przedstawić sobie pana Knighta? Mikołaju, to jest inspektor Tibbett ze Scotland Yardu.

Młody człowiek usiadł raptownie. Był teraz jeszcze bledszy niż przedtem.

— O! — wyjąkał. — Ach, tak. Bardzo mi miło pana poznać.

— Pan Knight — powiedział Goring — jest jednym z naszych najzdolniejszych projektantów.

— Słyszałem już wiele o panu — dorzucił Henryk.

— O... o mnie? Nie mógł pan... to znaczy naprawdę? Mam nadzieję, że słyszał pan miłe rzeczy — zakończył z nerwowym, bolesnym uśmiechem.

— Był pan ubiegłej nocy w domu pana Goringa, prawda?

— Ja? To znaczy... tak, oczywiście. Przemięte, bardzo miłe przyjęcie, Godfrey. Straszne pomyśleć, że... No, muszę już iść. Trzeba harować. Do widzenia, inspektorze.

Knight zerwał się i zaczął się przeciskać między stolikami.

— Proszę pana — zawołał głośno Henryk. Knight przystanął nagle i z ociąganiem odwrócił się. — Chciałbym porozmawiać z panem. Może mógłby pan przyjść dziś po południu do „Mody”?

Młody człowiek był niespokojny jak zając. Spojrzał przez ramię, jakby bał się, że ktoś może go podsłuchać, i prawie wyszeptał:

— Nie. Proszę, niech pan przyjdzie do mego salonu. Jestem okropnie zajęty. To w tym budynku. Na pierwszym piętrze. Każdy panu wskaże. — Zniknął z wdziękiem za aksamitnymi kotarami w głębi sali restauracyjnej.

— Niezwykle utalentowany chłopak — powiedział Goring, kiedy tamten odszedł. — Niech pana nie zraża jego... jego trochę niezwykły sposób zachowania. Ludzie w tym zawodzie mają skłonności do ekstrawagancji. W rzeczywistości to bardzo sprytny bussinesman, lecz ukrywa to starannie.

Pamiętając uwagi, które słyszał wcześniej od Patryka Walsh, Henryk zdecydował się uderzyć w ciemno i spytał:

— Czy nie był on jednak wplątany ostatnio w jakiś skandal?

Goring popatrzył na niego ostro.

— Knight? — spytał. — Nic o tym nie wiem. Na pewno nie.

— Musiałem go pomylić z kimś innym — rzekł Henryk. —

Niestety, wiem bardzo niewiele o świecie mody.

Zaległo milczenie. Henryk czekał cierpliwie, żeby Goring zrobił następny krok. Był przekonany, że prawdziwy cel tego lunchu nie wypłynął jeszcze. Na koniec Goring powiedział:

— Świat mody. To bardzo dziwny świat, inspektorze. Zanim ta sprawa dobiegnie końca, mogą pana spotkać niespodzianki... Jesteśmy... jesteśmy dość nieprzeciętnymi ludźmi.

Nie po raz pierwszy uderzyło Henryka, że prawie każdy członek personelu „Mody” starał się podkreślić fakt, jak ciekawy świat stanowią oni wszyscy; a przecież, jak dotąd, poza komediami, jakie urządził Patryk, stwierdził, że są to tacy sami ludzie jak inni. Zastanawiał się, czy to fałszywa, dziwaczna zarożumiałość sprawiała, że wyobrażali sobie, iż są tak różni od zwykłych śmiertelników, czy też pod ich pozorną normalnością kryły się jakieś głębsze dziwactwa? Miał nadzieję, że przekona się o tym dość prędko.

Goring mówił dalej:

— Zawsze miałem szczególne trudności ze znalezieniem właściwych ludzi do mego zespołu. Nie chodzi mi o stronę czysto handlową, mówię o talentach artystycznych. Moi kierownicy artystyczni i fotograficy muszą być ludźmi wyjątkowymi. Przede wszystkim winni posiadać prawdziwy talent i oryginalność; następnie muszą być przygotowani do pracy w świecie po większej części kobiecym, pod kobiecym kierownictwem, nie tracąc nigdy swej męskości, co jest w naszej pracy niesłychanie ważne. Nie angażuję — dodał wojowniczo — pederastów, choćby nie wiem jak zdolnych. Nie chodzi tu o stronę moralną, tylko po prostu o to, że jeśli wziąć pod uwagę koncepcyjną

stronę naszego magazynu, mężczyzn jest tam bardzo niewiele i każdy z nich musi dostarczyć sto procent męskości jako czynnika równoważącego element w przeważającym stopniu kobiecy. Czy pan mnie rozumie?

— Zasadniczo tak — odpowiedział ostrożnie Henryk.

— W sytuacji idealnej mężczyźni powinni być uosobieniem zdrowego rozsądku w tym efemerycznym świecie, wolni od wyskoków temperamentu i zrównoważeni pod względem emocjonalnym, a równocześnie śmiali twórczo. Niestety, takie wzory doskonałości, jakie opisałem, są rzadkością. Nie mogę udawać, że wszyscy mężczyźni członkowie mego zespołu dorastają do nich.

Myśląc o Patryku Henryk uśmiechnął się i powiedział:

— Rozumiem pańskie trudności.

— Jedyne mężczyzna, który, moim zdaniem, jest zawsze takim właśnie wzorem doskonałości, to Michał Healy — ciągnął Goring. — Zarówno jego talent, jak charakter zdecydowały, że przyjąłem go do siebie, gdy pożegnał się z „Drogą Kobiety”. Angażując go złamałem jedną z moich żelaznych zasad, gdyż był on już wtedy mężem Teresy Masters — zastępcy redaktora działu mody — bo zawsze uważałem na to, aby nie przyjmować małżeństw. W tym wypadku podstawową rzeczą był dla mnie talent i charakter i przez parę lat wierzyłem, że moje przeświadczenie jest w pełni uzasadnione. Jednakże ostatnio bieg spraw zaczął mnie martwić i skłaniał do zastanowienia, czy w końcu nie postąpiłem źle.

No, nareszcie dochodzimy do celu — pomyślał Henryk.

Goring umilkł i zapalił cygaro, a tymczasem kelner dołał im kawy.

— Jestem w pewnym sensie zadowolony, że pan poruszył temat tego nieszczęśliwego epizodu między Heleną a Michałem, bo ja

poruszyłbym go niechętnie, a jednak czuję, że moim obowiązkiem jest ostrzec pana. Michał nie jest — w każdym razie od kilku miesięcy — tym zrównoważonym i rozsądnym człowiekiem, jakim się na pozór wydaje. Jego praca, choć nawet genialniejsza niż kiedykolwiek, stała się zdecydowanie bardziej ostra, bardziej zwariowana. Także jego indywidualność zdaje się ulegać tej samej tendencji do fantazji. Parę lat temu jakaś affaire między nim a Heleną byłaby nie do pomyślenia. Teraz wydaje się, że stracił wszelkie poczucie odpowiedzialności. Może jego małżeństwo przechodzi kryzys. Może rozwija się po prostu jako artysta. Nie wiem. Mogę jedynie powiedzieć panu — i ostrzec jednocześnie — że ostatnio ma on skłonności do robienia i mówienia rzeczy — jakby to ująć? — dalekich od rzeczywistości.

— Chodzi panu o to — powiedział Henryk otwarcie — że nie powinienem wierzyć niczemu, co on mówi.

— Nie chciałbym tego sugerować — odrzekł spieszenie Goring. — Chodziło mi o to, by pan traktował ostrożnie jego wypowiedzi. Wydaje mi się, że jest on zdolny do przekonania samego siebie, że coś jest prawdą, jeśli wydaje mu się to pożądane lub zaspokaja jego zmysł artystyczny. Niech pan, proszę, nie myśli, że oskarżam go o kłamstwo. Radzę tylko panu być ostrożnym.

— Może ma pan rację — powiedział Henryk. Myślał o sprzeczności między zeznaniem Michała a odkryciem lekarza.

Goring rozsiadł się wygodnie i zamieszał kawę.

— Helena — mówił — nie zdawała sobie sprawy, że w Michale zachodzi taka zmiana. Wiedziała jedynie, że stara, trwała przyjaźń zmieniła się nagle w sposób zdumiewający w romantyczną przygodę

miłosną. Niestety, leży to w psychice kobiecej, że żadna kobieta — nawet Helena — nie przypisałaby takiej metamorfozy wzrastającemu brakowi równowagi duchowej. Przeciwnie, była przekonana, że każda zmiana w Michale jest wynikiem jego miłości do niej, a nie odwrotnie. Kiedy stało się jasne, że nie miała racji i że jego oddanie, o którym zapewniał, było równie efemeryczne jak inne jego fantazje, wytrąciło ją to zupełnie z równowagi. Była w rozpacz. Teraz, kiedy jest już za późno, czynię sobie wyrzuty. Jestem pewny, że gdyby się było zwolniło Michała, a Helenie powierzyło funkcję naczelnego redaktora, jej zamiłowanie do pracy i chęć wykazania się na nowym stanowisku uchroniłyby ją od... rozumie pan, do czego prowadzę?

— Próbuje mnie pan przekonać, że Helena popełniła samobójstwo — odpowiedział Henryk.

— Jestem przekonany, że tak się stało. Niemożliwe jest inne wyjaśnienie. Nie miała wrogów. Nie było nikogo na świecie, kto mógłby pragnąć jej śmierci.

— Z wyjątkiem może Michała Healy... lub jego żony.

— Nie, nie! Drogi inspektorze, do głowy mi nie przyszło sugerować panu coś podobnego. To wykluczone.

— Nawet w obecnym stanie ducha Michała?

— Wykluczone — powtórzył Goring. Był wyraźnie wstrząśnięty i zmartwiony tą sugestią. — Wspomniałem tylko o tym, bo...

Znowu im przeszkadzono. Goring, który siedział twarzą do sali, urwał nagle i podniósł się. Henryk odwrócił się i ujrzał bardzo ładną kobietę około czterdziestki, zmierzającą do ich stolika. Nie miała na głowie kapelusza, jej długie rude włosy spływały na kołnierz pięknego futra z norek. Henryka uderzył kontrast pomiędzy nią a kobietami

pracującymi w „Modzie”. Starannie dbając o własny wygląd, stanowiły one żywą reklamę swoich dziennikarskich porad; ta istota była po prostu piękna i bogata, niedbała i prawdopodobnie niezbyt schludna. Nosila swoje futro, jakby to był płaszcz od deszczu; wyglądała na nieuczesaną, a fioletowawa szminka kłóciła się ze szkarłatną suknią. „Moda” z pewnością potępiłaby jako zbyt krzykliwe i w złym guście trzy sznury pereł i dwie brylantowe broszki. A co najgorsze, pani ta była bez pończoch, obcasy zaś jej pantofli z krokodyłowej skóry były z lekka zdarte. Mimo to wyglądała cudownie i niesłychanie żywotnie, a Henryk był pewny, że już ją gdzieś widział.

— Lorna — wykrzyknął Goring — co ty tu, na litość boską, robisz?

— Musiałam przyjść, kochany. — Głos kobiety był ochryply i brzmiało w nim podniecenie. — Dowiedziałam się...

— To jest inspektor Tibbett ze Scotland Yardu, moja droga — powiedział Goring, — Moja żona.

Henryk wymamrotał słowa powitania, a Goring zaproponował:

— Może usiądziesz? Jadłaś już lunch?

— Oczywiście, że nie jadłam. Wskoczyłam do samochodu, gdy tylko usłyszałam...

— Nie powinnaś była tego robić. — W głosie Goringa brzmiała irytacja. — Co ja z tobą zrobię przez cały dzień?

— Muszę powiedzieć, że jesteś bardzo nieuprzejmy, mój kochany. Chyba nie odeślesz mnie do Surrey na głodno? — Nie czekając, aż odpowie na to retoryczne pytanie, zwróciła się do kelnera, który znalazł się w jej pobliżu, i z promiennym uśmiechem powiedziała: —

Proszę o wędzonego łososia i najlepsze kurczę, jakie macie, a do tego trochę Chablis, Pierre, wiesz, jakie lubię. — Potem zwróciła się do Goringa: — A teraz, mój drogi, musisz opowiedzieć mi wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami. Potem będę grzeczna i zejść ci z drogi. Pojadę do „Lyric” zobaczyć Madge. Występuje tam dziś po południu.

Na wzmiankę o teatrze Henryk przypomniał sobie. To była Lorna Vincent, aktorka, która przed piętnastu laty odniosła głośny sukces, zgromadziła znaczny majątek, a potem wyszła za mąż i oznajmiła, że wycofuje się ze sceny i poświęca się życiu rodzinnemu. Zdumiewające było to, że istotnie tak zrobiła. Nie słyszało się już o Lornie Vincent; ukazywały się jedynie w kolumnie towarzyskich plotek jej dawne fotografie. Henrykowi po prostu nie przyszło do głowy, że Godfrey Goring był mężczyzną, którego poślubiła. Przypomniał sobie, że gazety opisywały jej męża jako „człowieka interesów”: bezbarwna postać obok wybitnej indywidualności Lorny Vincent.

— Kim ona była? — pytała natarczywie Lorna. — Jedną z tych lasek? — zwróciła się do Henryka: — Zawsze mówię, że dziewczyny z „Mody” wyglądają zupełnie jak laski. Proste szwy w pończochach, proste czarne kostiumy, proste czarne kapelusze, plecy proste jak pałki i lakierowane włosy. Nie potrafię odróżnić jednej od drugiej. Kiedy widzi się, jak idą razem ulicą, przypomina to paradę ołowianych żołnierzyków.

Henryk, choć sądził, że uwagi Lorny są nielojalne, nie mógł powstrzymać uśmiechu, bo zawierały ziarno prawdy. Goring natomiast był wściekły.

— Helena Pankhurst nie żyje — powiedział stanowczym, gniewnym tonem. — I nie ma potrzeby obrażać cme go personelu.

— On jest okropnie dumny ze swoich kobiet, prawda, kochany?
— spytała Lorna bez złośliwości. — Helena jaka?... Mówisz o tej brunetce z dużym nosem?

— Tak — odparł krótko Goring.

— Ale co się stało? To strasznie emocjonujące. Czy została zamordowana? Piszą w gazetach, że...

— Lorno — odezwał się Goring — zjedz lunch i jedź na to swoje przedstawienie. Musimy wracać już z inspektorem do pracy. Zostaniesz dziś na wieczór w mieście?

— To byłoby chyba najrozsądniejsze.

— Dobrze. Spotkamy się zatem w domu.

— Przyjadę po ciebie do biura.

— Nie. Nie wpuszcza się tam nikogo obcego. Śledztwo jest w toku. — Wstał, a potem nagle pochylił się i pocałował żonę. — Nie bądź idiotką, kochanie. Opowiem ci wszystko później.

Kiedy wyszli z restauracji, Goring powiedział do Henryka:

— Gdyby moja żona przyszła po południu do biura... obcych nie wolno wpuszczać, prawda? Może mógłby pan wydać polecenie swoim ludziom...

— Jeśli żona pańska pragnie wejść, jestem pewny, że...

— Nie, nie! — Wydawało się, że Goring nie wie, co powiedzieć.

— Wolałbym, żeby ona... ludzie mogliby pomyśleć... Tak naprawdę, to wolałbym, żeby jej nie wpuszczono.

— Bardzo dobrze. Wydam polecenie sierżantowi — powiedział Henryk.

Wrócili do biur „Mody”.

Henryk zasiadł znów w swoim skromnym pomieszczeniu i wykręcił numer gabinetu naczelnego redaktora. Natychmiast odezwał się spokojny, energiczny głos:

— Słucham? Sekretariat panny French.

— Czy to panna Field?

— Tak. Słucham pana?

— Mówi inspektor Tibbett. Czy mógłbym zamienić z panią parę słów?

— Oczywiście, panie inspektorze.

— Teraz?

— Bardzo chętnie.

— Jestem w tym małym pokoiku obok modelek — wyjaśnił Henryk.

— Ach, tak?

Zaległo milczenie. Po chwili Rachela Field spytała:

— O co chce mnie pan zapytać?

— Niestety, nie mogę powiedzieć tego przez telefon. Czy może pani przyjść tutaj?

— Obawiam się, że nie — odrzekła spieszenie Rachela. — Panny French nie ma w tej chwili w biurze. Nie mogę wyjść.

— Pragnę zapewnić panią, że dochodzenia policyjne mają bezwzględne pierwszeństwo.

— Niestety, ja nie mogę...

— Jeśli mi pani nie wierzy, proszę zapytać pana Goringa.

I znów nazwisko Goringa podziałało w sposób magiczny.

— No, w takim razie... zaraz przyjdę, panie inspektorze.

Jak większość ludzi stykających się po raz pierwszy z Rachelą Field, inspektor Tibbett był pod onieśmielającym wrażeniem jej zawodowej sprawności. Nie przyniosła oczywiście ze sobą notesu do

stenografowania, ale gdy zasiadła naprzeciwko niego po drugiej stronie biurka, ze skrzyżowanymi sztywno nogami i rękoma spoczywającymi na kolanach, trudno było oprzeć się wrażeniu, że nie czeka w postawie pełnej szacunku na odebranie jakiegoś listu. Ubrana była w prosty, praktyczny kostium z granatowej flaneli, wykończony „białymi dodatkami”, tak miłymi sercu magazynów kobiecych, mniej elitarnych od „Mody”. Jej pantofle były także praktyczne, starannie wy czyszczone, paznokcie krótko obcięte i pociągnięte bezbarwnym lakierem, a włosy ułożone raczej starannie niż modnie. Jedną jedyną cechą miała Rachela wspólną z Lorną Goring: obie żyły w orbicie świata „Mody”, lecz na żadną z nich ten arbiter elegancji nie wywierał najmniejszego wrażenia.

Jak przewidywał, Rachela okazała się doskonałym, umiejącym się streszczać świadkiem. Opisała swój powrót z Paryża poprzedniego dnia w towarzystwie Michała, Teresy i Weroniki, późną nocną pracę i przyjęcie u Goringa.

— Czy zadowolona pani była z tego przyjęcia? — spytał nagle Henryk. Przyszło mu na myśl, że Rachela mogła odcinać się dziwacznie wśród wspaniałości Brompton Square.

— To było bardzo uprzejmie ze strony pana Goringa, że mnie zaprosił — odpowiedziała sztywno. — Właściwie nie chciałam tam wcale jechać — dodała w przypływie szczerości — ale nalegał, więc nie wypadało mi odmówić.

— O ile zrozumiałem, pan Knight odwiózł potem panią swoim wozem do domu?

— Tak. Jechał w tę stronę, gdzie mieszkam.

— A gdzie pani mieszka?

— Tuż przy Holland Road.

Henryk uniósł lekko brwi.

— Pan Knight mieszka tutaj, przy Earl Street — powiedział. — Jeśli pojechał na Holland Road, to w zupełnie odwrotnym kierunku.

— W każdym razie podwiózł pana Barry'ego do Kensington — wyjaśniła krótko Rachela.

— Rozumiem — rzekł Henryk. — A teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym pomówić o pani walizce.

— O mojej walizce? A o co chodzi? Chciałabym ją z powrotem dostać, jeśli można.

— Zostawiła ją pani w gabinecie panny Pankhurst ubiegłego wieczoru, tak?

— Tak. Nie mogłam zagracać pokoju panny French.

— Co było w tej walizce, proszę pani?

Rachela wydawała się zdziwiona.

— Nie wie pan? — spytała. — Sądziłam, że już ją pan zrewidował do tej pory. Były w niej tylko moje rzeczy przywiezione z Paryża — suknie i tak dalej. — Popatrzyła spokojnie na Henryka. — Zaręczam panu, że nic nie przeszmuglowałam. Nie mamy czasu na wyprawy po sprawunki, kiedy trwa pokaz.

— Tego jestem pewien. Więc w walizce nie było nic poza pani osobistymi rzeczami?

Rachela zmieszana się.

— Przywiozłam flakonik perfum w prezencie dla przyjaciółki — odpowiedziała.

Henryk uśmiechnął się.

— Bardzo słusznie — rzekł. — Czy widzi pani jakiś powód, dla którego ktoś mógłby chcieć przetrząsać pani walizkę?

Racheli na chwilę zabrakło tchu.

— Przetrząsac? Co pan ma na myśli?

— Chciałbym, żeby pani poszła i przekonała się sama.

Wstał i poprowadził ją do pokoju Heleny, przed którego drzwiami stał policjant. Rachela zawahała się.

— Czy ona...? — spytała z niepokojem. Zbladła mocno.

— Wszystko w porządku — uspokoił ją Henryk. — Nie ma tam nic prócz... zobaczy pani sama.

Otworzył drzwi i weszli do pokoju. Oczy Racheli rozszerzyły się, kiedy spostrzegła nieład, i na jej twarzy pojawił się wyraz gniewu.

— Moje rzeczy — powiedziała. — Jak on śmiał...?

— Dlaczego mówi pani „on”? — spytał szybko Henryk.

Rachela wydawała się zaskoczona.

— No, to był chyba mężczyzna? Sądzę...

— Mógł to nie być mężczyzna — odpowiedział Henryk. — Proszę, niech pani sprawdzi, czy czegoś nie brakuje.

Rachela od razu stała się operatywna. Uklękła i zaczęła przekładać poprzewracane stopy garderoby. W pewnej chwili podniosła wzrok i spytała:

— A odciski palców?

— To zostało już załatwione — odrzekł Henryk.

— Rozumiem. To dobrze. — Przejrzała systematycznie poprzewracaną zawartość walizki i powiedziała: — Wydaje mi się, że wszystko jest.

Henryk stał zamyślony.

— A więc albo ktoś szukał czegoś, czego tu nie było, albo... — Urwał. — Czy ktoś miał możliwość włożenia czegoś do tej walizki w Paryżu bez pani wiedzy?

Rachela bez wahania odpowiedziała:

— O tak. W czasie tych podróży korzystamy z naszych hotelowych pokoi właściwie jak z pokoi biurowych. Staram się, nie

wpuszczać do mojego innych ludzi, żeby móc pracować w spokoju... ale oczywiście przychodzą z różnymi pytaniami i tak dalej. Weronika była u mnie przez cały czas, gdy się pakowałam.

— Doprawdy? — wyrzekł wolno Henryk. Nie podobało mu się, że w ten sposób jego siostrzenica jest zamieszana w tę sprawę, ale mimo woli pomyślał, że mogłaby być pożytecznym źródłem informacji. Przez krótki moment poczuł ukłucie lęku, że może być wmieszana w to wszystko w jakiś groźniejszy sposób, ale stanowczo odsunął od siebie tę myśl. Była to rzecz nie do pomyślenia. Zwrócił się do Racheli: — Sądzę, że w końcu odkryjemy, co ten ktoś spodziewał się znaleźć. Tymczasem może pani zapakować swoją walizkę i zabrać ją stąd, jeśli pani chce.

— Dziękuję — powiedziała Racheli.

Przepakowała wszystko szybko, a Henryk zauważył, że ręce jej trochę drżą. Jak na osobę pedantyczną, wpychała trochę bezładnie swoje rzeczy, obuwie, bieliznę i suknie, wszystko niedbale jedno na drugie. Niemniej wydawało się zrozumiałe, że nawet tak opanowana osoba jak Racheli Field może być w takiej chwili zdenerwowana.

Kiedy walizka została zamknięta, Henryk podziękował Racheli za pomoc, powiedział, żeby zostawiła sierżantowi swój adres, i pozwolił jej wrócić do pracy. Gdy został sam, rozejrzał się jeszcze raz dokładnie wokoło. Był pewny, że gdzieś w tym pokoju jest zasadniczy trop do rozwiązania zagadki, ale nie mógł go dojrzeć. Rozmyślał nad uzyskanymi do tej pory zeznaniami. Niektórzy świadkowie ukrywali coś, to było jasne. Ale co? Domyślał się, że to dotyczy prywatnego życia Heleny, życia nierozłącznie związanego z jej pracą. Może wizyta do Hindhurst dostarczy odpowiedzi. Henryk westchnął i wyszedł obejrząc

tylne drzwi budynku, w którym mieściła się redakcja „Mody”.

Nie było w nich nic szczególnego. Dowoziła do nich ludzi hałaśliwa, rozklekotana winda na tyłach domu — używana, zgodnie z tym, co powiedział Alf, do wwożenia na górę ciężkich rzeczy, takich jak akcesoria do studia fotograficznego. Z drzwi zabezpieczonych zamkiem Yale wychodziło się na małą, brudną uliczkę. Alf zapewniał Henryka, że dwa klucze do tego zamku są u niego. Jeden nosił zawsze przy sobie na kółku. Drugi wisiał na haczyku w jego szafce na wypadek nagłej potrzeby. Każdy, kto dostarczał jakieś rzeczy, dzwonił do drzwi od tyłu; dzwonek rozlegał się w kąciку Alfa we frontowym hallu i wtedy posyłał jednego z gońców, by wpuścić tego, kto przyszedł. Przyznał się z lekkim zakłopotaniem, że tego ranka pozwolił wprowadzić lamparta, nie widząc w tym nic złego.

— Wiedziałem, że czekają na niego do zdjęć u pana Healy — wyjaśnił. — Nie chciałem zostawiać takiego niebezpiecznego zwierzęcia na zewnątrz.

— Trzeba było zapytać o pozwolenie sierżanta — powiedział Henryk. — Ale mniejsza o to.

Zostawił Alfa, który gęsto się tłumaczył, i przeszedł na drugą stronę ulicy, by porozmawiać z Mikołajem Knightem.

Rozdział VI

Obok wejścia do „Oranżerii” Henryk odnalazł drzwi z wytworną czarną tabliczką z białym napisem: „Mikołaj Knight. Haute Couture. Pierwsze piętro”. Wdrapał się po wąskich schodach i znalazł się przed

wahadłowymi drzwiami, na których widniała druga tabliczka z podobnym napisem. Pchnął drzwi i wszedł. Owiało go ciepłe, wonne powietrze, przypominając nagle w sposób niepokojący gabinet, w którym umarła Helena.

Długi salon zajmował całe piętro budynku. Był wyłożony białym dywanem, czarne aksamitne zasłony podtrzymywały grube sznury z białego galonu, a w pustym kominku stał ogromny wazon białych lilii i czerwonych róż. Pod jedną ze ścian ustawione były pościelane krzeselka, a większą część drugiej zajmowało ogromne lustro. Tuż przy drzwiach stał antyczny orzechowy stół, a przy nim siedziała nieprawdopodobnie jasna blondynka i malowała sobie paznokcie srebrnym lakierem. Wstała, kiedy Henryk wszedł, i kołyszającym ociężałym krokiem ruszyła ku niemu.

— Czy mogę panu służyć? — spytała tak sztucznym tonem, że z trudem można było zrozumieć jej słowa. Popatrzyła na stary płaszcz przeciwdeszczowy Henryka tak, jak zamiłowany ogrodnik mógłby patrzeć na ślimaka.

— Chciałbym zobaczyć się z panem Knightem, jeśli można — odpowiedział Henryk i podał dziewczynie swój bilet wizytowy.

— Proszę usiąść — zaproponowała. — Zobaczę, czy nie jest zajęty.

Kołysząc się z boku na bok przeszła przez pokój na obcasach jak szczydła, pozostawiając Henryka przycupniętego niewygodnie na skraju złoconego krzeselka. W minutę później była z powrotem.

— Pan Knight zaraz pana przyjmie — powiedziała. W głosie jej było teraz więcej szacunku. — Może zechce pan wejść na górę?

Henryk w ślad za nią wszedł za udrapowane czarne kotary w głębi pokoju, a potem wąskimi, krętymi schodami na piętro. I tutaj, tak jak w biurach „Mody”, zauważył nagłą zmianę scenerii, gdy znalazł się za granicą rozdzielającą frontową paradną część i pomieszczenia do pracy. Klatka schodowa była obdrapana, jej łuszcząca się brudno biała farba i zdeptane brązowe linoleum zastąpiły miękki biały dywan z salonu.

Znalazłszy się na szczycie schodów, Henryk usłyszał gwar świergotliwych kobiecych głosów, który zdawał się dochodzić zza na wprost przymkniętych drzwi po lewej stronie. Drzwi na prawo znaczyła tabliczka: „Mieszkanie prywatne”.

— On jest w atelier — powiedziała blondynka. — Chce pan tam wejść?

Pchnęła drzwi na lewo i przepuściła Henryka.

Gdy przestąpił próg, w pierwszym odruchu miał ochotę uciec. Znalazł się w ogromnym pokoju, gdzie panował fantastyczny bałagan i gdzie roiło się od ludzi. Bele tkanin, miarki krawieckie, szkice fasónów, pióra, kawałki woalu, sztuczne kwiaty, manekiny i sznury paciorków to tylko niektóre przedmioty, przyczyniające się do tego straszliwego nieładu. Z odległego kąta dochodził nieprzerwany turkot maszyn do szycia, a sześć bladych dziewczyn w brązowych fartuchach pedałoowało obracając kołami i manipulowało zręcznie cennym materiałem pod igłami.

Nie to jednak przeraziło Henryka; wstrząsnął nim widok na pierwszym planie. Bo tuż przed jego przestraszonym nosem na całej przestrzeni, jaką ogarniał wzrokiem — stało ze sto dwadzieścia prześlicznych dziewcząt, ubranych tylko w króciuteńkie majteczki i staniki. Dopiero gdy spostrzegł niezliczone rzędy postaci Mikołaja Knighta

zmniejszające się w dali w nieskończonych korytarzach, uświadomił sobie, że efekt ten dają dwa ogromne lustra, rozmieszczone w ten sposób, że odbijają się jedno w drugim. W rzeczywistości były tylko trzy skąpo odziane dziewczyny, ale to zupełnie wystarczało.

Mikołaj Knight zajęty był drapowaniem zwoju zielonego atlasu wokół szczupłych ud czwartej modelki — brunetki z głową Nefretete, która stała jak zrezygnowany posąg, oglądając swoje szkarłatne paznokcie raczej z zainteresowaniem niż przyjemnością. I ona była naga do pasa, z wyjątkiem skrawka białego biustonosza.

— Proszę, niech pan wejdzie — powiedział niewyraźnie Knight ustami pełnymi szpilek.

— Może lepiej... — zaczął nerwowo Henryk szykując się do wyjścia.

— Jeszcze tylko chwileczka. Podajcie panu Tibbettowi krzesło.

Jedna z rozebranych piękności zsunęła zwój ciemnoniebieskiego aksamitu, odsłaniając drewniany stołek. Inna nimfa wyciągnęła go, wytarła niedbale kawałkiem złotej lamy i podsunęła uprzejmie Henrykowi. Podziękował jej i usiadł poczuwszy się trochę swobodniej. Był urzeczony faktem, że dziewczęta nie okazywały żadnego zakłopotania pojawieniem się obcego mężczyzny.

Knight wziął zielony atlas, udrapował go na piersi modelki i spiął szpilką.

— Obracaj się powoli, Renée — powiedział.

Nie zmieniając wyrazu twarzy dziewczyna zaczęła się obracać z wdziękiem. Knight przyglądał się jej krytycznie.

— Dalej. Jeszcze. Trochę prędziej. Dość! — Poprawił coś. — Dobrze. Obróć się jeszcze, kochanie. A teraz odejdz kawałek dalej. —

Renée, kołysząc wytwornie biodrami, ruszyła w kierunku maszyn do szycia. Knight patrzył na nią zmrużonymi oczami. — Tak. Dobrze. Dość. Wystarczy, kochanie. Marta!

— Słucham?

Pulchna kobieta w średnim wieku, ubrana na czarno, pojawiła się obok niego.

— Zdejm to z Renée i skrój — powiedział. — Weź toile numer osiemnaście na halkę i to, co udrapowane. Rzecz jest pilna. Dla lady Prendergast.

Młoda Chinka podeszła wolnym krokiem w najdziwniejszym stroju, jaki Henryk w życiu widział. Z fasonu była to wieczorowa suknia z szeroką spódnicą, ale uszyta z grubego kremowego workowego bawełnianego materiału, ozdobiona szczerze śladami ołówka.

— Mam na sobie toile numer dwadzieścia cztery, tak jak pan kazał — powiedziała z nutą radości w głosie.

— Och! — W tonie Knighta brzmiało rozdrażnienie. — Zupełnie o tym zapomniałem. Musisz poczekać. Jestem zajęty.

— Panna Marta... — zaczęła dziewczyna.

Mikołaj tupnął obutą elegancko prawą nogą.

— Marta może sobie dużo mówić! — wykrzyknął gniewnie. — Ja jestem umówiony. Odejdź!

Dziewczyna wzruszyła lekko ramionami, dając do zrozumienia, że to nie jej sprawa, i odeszła niespiesznie. Knight zwrócił się do Henryka.

— Strasznie przepraszam, że kazałem panu czekać, inspektorze — powiedział. — To najgorętszy czas dla nas, biednych krawców. W przyszłym tygodniu mam letni pokaz, odbywają się już zimowe przyjęcia, a w Londynie nie ma ani jednej kobiety, która by nie chciała

mieć nowej sukni. Urabiam sobie ręce po łokcie od Bożego Narodzenia. Dosłownie po łokcie.

Powątpiewając w to Henryk zauważył, że młody człowiek chyba rzeczywiście jest zmęczony i zdenerwowany. Biorąc pod uwagę atmosferę napięcia w połączeniu z brakiem organizacji w pracy, nie można się było dziwić.

— Niech pan wejdzie do mego gabinetu — mówił Knight. — Może tam będziemy mieli trochę spokoju.

Ruszył przodem na podest schodów, a stamtąd wszedł w drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Gabinet Mikołaja Knighta, jeśli czymś się odznaczał, to tylko mniejszym nieporządkiem niż jego atelier, jako że był mniejszy. Biurko i ściany pokrywały rysunki sukien naszkicowane gwazdem śmiało i umiejętnie. Do większości z nich przypięte były skrawki materiału. Reszta pokoju zdawała się tonąć w śnieżnych zaspach papierów i fotografii, wśród których Henryk dojrzał zdjęcie Weroniki przygotowującej się do skoku z Wieży Eiffla.

Mikołaj zsunął stos papierów z krzesła i wskazał mu miejsce. Sam usiadł na skórzanym obrotowym krześle przy biurku, poczęstował Henryka ciemnym papierosem ze złotej papierošnicy, wziął sam jednego i powiedział:

— No! Teraz możemy porozmawiać.

Henryk zaczął prawie nieśmiało:

— Nie przypuszczam, żeby pan mógł mi wiele, powiedzieć, ale mam wrażenie, że opinie pańskie jako członka nie związanego z daną grupą ludzi, lecz interesującego się nią, mogą być bardzo cenne.

Mikołaj uśmiechnął się.

— Jestem do pana usług — powiedział z szerokim gestem. Wydawało się, że opuściła go nerwowość, którą okazywał w restauracji.

— Na początek, czy pan znał Helenę Pankhurst?

— Nie. To znaczy prawie wcale. Słyszałem o niej, ale jej praca koncentrowała się głównie w biurze. Oczywiście znam dobrze personel z działu mody. Teresę, Beth i innych.

— Staram się uzyskać prawdziwy obraz stosunków, jakie łączyły różnych ludzi — powiedział Henryk.

Uśmiech zniknął momentalnie z twarzy Knighta, miał teraz wygląd człowieka przestraszonego.

— Co pan ma na myśli, inspektorze?

— Stosunki, jakie łączyły pannę Pankhurst z innymi pracownikami.

— O! — Knight jakby się odprężył. — Powiem panu i wszystko, co wiem. — Zamilkł, jakby starannie dobierał słowa. — Oczywiście, zdaje pan sobie sprawę, że świat mody to dziwny świat.

— Wszyscy mi to powtarzają.

— Nie znaczy to, że ludzie nie są tacy, na jakich wyglądają — ciągnął Mikołaj. — Przeciwnie, usiłują przedstawiać się w barwach przesadnych do absurdu.

Henryk skinął głową.

— Zauważyłem to.

— Na przykład Ciotunia — mówił Mikołaj. — Przypuszczam, że już się pan z nim zetknął?

— Tak — odrzekł żywo Henryk.

— To skończony oszust, przy tym wredny — powiedział złośliwie Mikołaj. — A w gruncie rzeczy pospolity Irlandczyk o świńskim łbie. Bardzo pospolity — dodał z nutą żalu. — Ale jest właściwie zmuszony robić z siebie „kogoś”. Helena Pankhurst była wspaniała, nie grała żadnej roli, pozostawała po prostu sobą. Tak mi przynajmniej mówią.

— Kto panu mówi?

— No... to powszechnie wiadomo — odparł Mikołaj machając kształtną ręką. — A niech pan weźmie Teresę i Michała. Co to za małżeństwo, pytam pana?

— A jakie? — spytał Henryk.

— To farsa, drogi panie — roześmiał się Mikołaj. — Kiedy się pobrali, Teresa była już zastępcą redaktora działu mody, ale Michał zaczynał dopiero pracę we własnym studio, obskurnym pokoju na Charlotte Street. Fotografował haftowane nakrywki na czajniki po trzy gwinee sztuka. Jasne, dlaczego się z nią ożenił. Dla wielu powodów.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Wie pan, kim jest Teresa, prawda?

— Nie.

— Jedną z dwóch córek lorda Clandona — wyjaśnił Mikołaj. — Wielki świat. Bardzo wielki. Teresa wzięła posadę tylko dlatego, że ją to bawiło, i okazało się, że ma do tego fantastycznego nosa. Michał był na tyle sprytny, że wskoczył na wóz jadący na czele. Nie zaszedłby nigdzie bez Teresy. Sądzę, że Clandonowie musieli być wściekli, kiedy się z nią ożenił. Ironia losu polega na tym, że teraz jest odwrotnie.

— Jak to?

— Drogi panie — wykrzyknął Mikołaj. — Michał jest comme il faut. Gdyby nie był przypadkiem ich zięciem, Clandonowie nie posiadaliby się ze szczęścia mogąc zaprosić go do swego stołu.

Osobiście Henryk powątpiewał w to, ale nie wyraził swoich myśli. Zauważył jedynie:

— Wszystko to niekoniecznie oznacza, że ich małżeństwo jest farsą.

— Nie chcę być posądzony o złośliwość — oświadczył z emfazą Mikołaj — ale Teresa to duży ciężar na karku. D u ż y . Ma cudowny zmysł mody, ale nic poza tym. A Michał miał zawsze różne inne zainteresowania. — Wypowiedział te słowa tonem lodowato jadowitym. Henryk zastanawiał się, co właściwie Mikołaj chciał powiedzieć, i zapytał go o to.

Projektant od razu stał się ostrożny.

— Och, to i tamto — odpowiedział. — Słyszysz się różne plotki.

— Czy któraś z tych plotek dotyczy Heleny Pankhurst?

Mikołaj zrobił minę szczerze zdziwioną.

— Heleny? Nie, Heleny nie... to znaczy... — Zawahał się, a potem mówił dalej, wyraźnie kłamiąc: — Nie jestem plotkarzem, inspektorem. Zupełnie możliwe, że krążyły jakieś plotki na temat Heleny i Michała. Ja ich po prostu nie słyszałem. — Powiedział to tak, jakby go to trochę martwiło.

— A jakie plotki pan słyszał? — nalegał Henryk. Ale nie potrafił skłonić Knighta do konkretnej odpowiedzi. Michał, ma zainteresowania artystyczne i intelektualne, wyjaśnił. Z Teresą nie mają nic wspólnego, nigdy nie mieli. Michał obraca się w innym świecie, interesuje się ostatnio bardziej teatrem i baletem niż modą. Henryk na razie zrezygnował z plotek i postanawiając powrócić do tego tematu przy innej okazji zapytał o wydarzenia Ubiegłego wieczoru.

— Pracowałem tu do późna — powiedział Knight. — Chyba około północy zdecydowałem się zejść na dół do baru i wypić szklaneczkę przed snem.

— Bar na dole, to znaczy „Oranżeria”?

— Tak. Okropny lokal, co? Naprawdę wstrętny. Ale wygodny, jeśli się tu mieszka.

Henryk spojrział w okno i zauważył, że wychodzi ono na Earl Street i umieszczone jest dokładnie naprzeciwko gmachu „Mody”.

— Czy zauważył pan palące się po drugiej stronie światła? — spytał.

— Właściwie nie zauważyłem. Wiedziałem, że oni wszyscy tam byli z powodu tego pokazu. Prawdopodobnie zauważyłbym, gdyby się światła nie paliły, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

— Więc zszedł pan do „Oranżerii”, gdzie spotkał pan pana Goringa i pana Bairy'ego.

— Tak. Kończyli właśnie obiad. Obaj w doskonałych humorach, muszę stwierdzić z przykrością. Horacy opowiadał nie kończące się historie, tak mało zabawne, że nie mogły być prawdziwe. Godfrey zachowywał się jak młody chłopak, pewnie byli już po paru kieliszkach. Przypuszczam, że ubił jakiś interes z Horacym i zaprosił go na obiad dla definitywnego zakończenia tej transakcji. Ja byłem ledwie żywy. Sam nie wiem, jak jeszcze trzymałem się na nogach.

— To dlaczego przyjął pan zaproszenie pana Goringa?

Mikołaj miał minę trochę speszoną.

— Zawsze twierdzą — odpowiedział — że nie należy płaszczyć się przed ludźmi, których się nie lubi, tylko dlatego, że coś znaczą. Jednakże nie można od nich stronić; nie wyszłyby mi na dobre złe stosunki z „Modą”. Po prostu nie wyszłyby. Rozumie pan to chyba?

— Tak, rozumiem. Więc pan i pan Barry pojechaliście na Brompton Square, a pan Goring w tym czasie zabrał tamtych z biura? À propos, czy była i pani Goring?

— Lorna? Nie, nie było jej. Przebywa na wsi. Oni mają posiadłość w Surrey, wie pan, i dom w mieście. Następny spryciarz, który wzenił się w pieniądze.

— Niech mi pan powie, czy któraś z osób pracujących w „Modzie” wydała się panu szczególnie zdenerwowana lub niespokojna, inna niż normalnie?

— Inna niż normalnie? — Mikołaj zaśmiał się krótko. — Nikt z nich nigdy nie jest właściwie normalny. Ciotunia był grubiański jak zawsze, zgoła agresywny. Michał dokuczał biednemu staremu Horacemu, co, powiem szczerze, bawiło mnie. Teresa wydawała się dziwnie spokojna, a Margery sprawiała chwilami wrażenie osoby chorej.

— A panna Field?

— Panna Field? Kto to jest?

— Sekretarka panny French. Odwiózł ją pan do domu.

— Ach, syrena z Surbiton. A o co chodzi?

— Czy wydawała się taka jak zawsze?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Mikołaj. — Nigdy jej przedtem nie widziałem. Trudno by jej było być bardziej nijaką, jeśli pan rozumie, co chcę powiedzieć.

— A więc odwiózł pan pannę Field i pana Barry do domu, a potem wrócił tutaj?

— Tak. Mieszkam na strychu, w wytwornej nędzy. Chce pan obejrzeć moje gniazdko?

— Nie, dziękuję — odpowiedział stanowczo Henryk. — Czy pamięta pan, o której godzinie wrócił pan do domu?

— Około trzeciej. Nie potrafię powiedzieć dokładnie. Wiem, że wyjechałem z Brompton Square o wpół do trzeciej.

— Czy zauważył pan coś niezwykłego, gdy pan tu wrócił? Jakąś bieganinę?

— Zauważyłem tylko jedną rzecz. Kiedy poszedłem zaciągnąć zasłony w mojej sypialni, spostrzegłem jakąś dziewczynę wychodzącą z gmachu „Mody”. Najdziwaczniejsze stworzenie pod słońcem, w okropnej pomarańczowej sukni, białej etoli i w okularach. Ta nie może być ze sztabu mody, pomyślałem.

Henryk skinął głową.

— To była z pewnością panna Pipper, sprawozdawca teatralny — powiedział. — Co ona robiła?

— Odeszła tą ulicą.

— I nikogo więcej pan nie widział?

— Prawdę mówiąc, dojrzałem przez chwilę w oknie Helenę, która pisała na maszynie. Na pewno jeszcze wtedy żyła. Potem zaciągnąłem zasłony, położyłem się do łóżka i po prostu zasnąłem.

— Rozumiem. Bardzo panu dziękuję. — Zajrzał do swego notesu. — Sądzę, że będę musiał porozmawiać jeszcze z panem Barrym. Czy wie pan, gdzie można go spotkać? Pan go chyba dobrze zna?

— Pracuję dla niego — odparł krótko Mikołaj.

— Pracuje pan dla niego? — zdziwił się Henryk. — Myślałem, że... to znaczy, sądziłem, że pan działa na bardzo wysokim szczeblu, a on...

— On produkuje masowo odzież na niższym szczeblu, aby sprzedawać ją u Wigana. O to panu chodziło? — Mikołaj wydawał się być ubawiony.

— No... — zaczął z zakłopotaniem Henryk.

— Ma pan rację, inspektorze. A równocześnie myli się pan zupełnie. Zdaje się pan nie dostrzegać rewolucji, jaka nastąpiła w popularnych gustach. Co złego widzi pan w Wiganie? Nie przoduje on w światowej modzie — robi to Paryż — ale jest bystry i dosłownie

depcze Paryżowi po piętach. A pracujące kobiety mają masę pieniędzy do wydania. — Knight pochylił się do przodu. Gdy zaczął mówić o sobie, stracił wiele ze swej pozy i Henryk przypomniał sobie uwagi Goringa na temat handlowych talentów młodego człowieka. — Ludzie tacy jak ja są anachronizmem — mówił Mikołaj. — Pieniądze są dziś w gotowej konfekcji i zdolni projektanci powinni pracować w tej dziedzinie. I rzeczywiście, pracują. Każde duże nazwisko w „couture” ma dzisiaj rynek zbytu w handlu hurtowym. To wynik prostego zdrowego rozsądku. Pięć tysięcy sukien po dziesięć gwinei daje więcej zysku niż jedna za sto. Celem takiego salonu jak mój jest wyrobienie sobie nazwiska i sławy projektanta — to jest warte każdego poświęcenia. Każdego. — Urwał, trochę zakłopotany. — Ja miałem szczęście. Mój... przyjaciel dał mi wystarczającą sumę, żebym mógł tu coś zacząć. Jestem teraz znany. Przekonałem się o tym naprawdę, kiedy Barry podszedł do mnie pół roku temu i poprosił, żebym projektował stroje do jego hurtowej kolekcji. Widzi pan, ja mam pewien... zmysł do transponowania modeli paryskich dla mojej klienteli. Prawie jedna czwarta ostatniej kolekcji firmy Barrimodes była moim dziełem, a następnym razem mam zamiar nadać jej własną linię. Sam Barry jest wulgarny i nudny, ale zna handel od podszewki.

— Gdzie go znajdzie? — spytał Henryk.

— Pope Street dwieście osiemdziesiąt sześć. Tuż przy Poland Street. Tam skupia się większość hurtowników, niech im Bóg pomaga — zakończył Knight.

Gdy Henryk wychodził, przyszło mu jeszcze coś do głowy.

— À propos — zagadnął z ręką na klamce — czy pan był w zeszłym tygodniu w Paryżu?

Ku jego zdumieniu Knight zbladł, a kiedy odpowiedział, w jego głosie dźwięczała nuta hysterii.

— Nie byłem! — wrzasnął. — Oczywiście, że nie byłem! Nigdy nie jeżdżę do Paryża. Wszyscy o tym wiedzą. Byłem przez cały tydzień t u t a j . Każdy panu powie...

— Nie ma potrzeby tak się podniecać — powiedział Henryk bardzo zaintrygowany. — Przyszło mi po prostu na myśl, że mógł pan tam być, bo mówił pan, że transponuje modele paryskie...

— Ja mam o k o ! — krzyknął cienkim głosem Mikołaj. — Spojrzę na zdjęcie i w i d z ę krój. W i d z ę ścieg. Niepotrzebne mi toile. — Urwał nagle.

— Co to jest toile? — spytał Henryk.

Mikołaj uspokoił się trochę.

— Pamięta pan tę młodą Chinę w bawełnianej sukni? — spytał. — To właśnie jest toile. Moje własne, oczywiście. Jest to model skrojony ściśle według oryginału, ale uszyty z taniego materiału. Fabrykanci kupują takie toiles w Paryżu, to rzeczy bardzo drogie. Dobre toile kosztuje setki funtów. Ale gdy hurtownik kupił toile, może je dowolnie przystosowywać i naśladować.

— Rozumiem — powiedział Henryk. — Dziękuję panu. Dużo się uczę. A więc pan kopiuje modele paryskie nie kupując toiles.

— Nie jest to zabronione — odrzekł Knight defensywnym tonem. — Powiedziałem panu, że nie potrzebuję zbliżyć się do kolekcji. Pracuję na oko, korzystając ze zdjęć.

— Zaoszczędza pan chyba w ten sposób dużo pieniędzy — rzekł szczerze Henryk. Otworzył drzwi i wyszedł.

Na podeście zatrzymał się chwilę, na tyle długo, by usłyszeć, że Knight podnosi słuchawkę telefonu i prosi o połączenie z firmą Barrimodes.

W tym momencie kobieta, na którą wołano „Marta”, wyszła z pracowni i Henryk zmuszony był z żalem zaprzestać podsłuchiwania. Zszedł wolno ze schodów, bo miał wiele do przemyślenia.

Na ulicy spojrzął na zegarek. Było wpół do piątej. W „Modzie” miał jeszcze tylko jedną rozmowę do przeprowadzenia, rozmowę, po której nie spodziewał się wiele. Jego interlokutorem miał być Donald MacKay, zastępca redaktora technicznego. Weronika była nim chyba zainteresowana. Henryk nie przypuszczał, że wiele się od niego dowie. Tymczasem, jak to się często zdarza, rozmowa z Donaldem okazała się nieoczekiwanie pożyteczna.

Jeśli idzie o wypadki ubiegłego wieczora, Donald nie wniósł żadnych nowych dla Henryka szczegółów. Zauważył termos stojący w ciemni i potwierdził, że stał tam jeszcze, gdy wychodził do domu o wpół do drugiej. Pracował bardzo intensywnie, jak opowiadał, przygotowując próbne makiety dla Patryka, i wcale nie zauważył butelki z cyjankiem. Ale tak jak wszyscy wiedział, że była tam, i wiedział, gdzie ją przechowywano. Opowiedział Henrykowi o swoim spotkaniu na ulicy z Goringiem i dodał, że po długim szukaniu znalazł wreszcie taksówkę, która zawiozła go do Battersea.

Kiedy Henryk zaczął mówić o Helenie i Michale, Donald odprężył się i rozgadał.

— A, ta sprawa — powiedział. — Owszem, słyszałem. Oczywiście od Olwen. Ale coś panu powiem... w tym wszystkim było wiele udawanego. Niech pan nie pyta co. Ja tu jestem jednym z młodszych

pracowników. Magazyn prowadziła niewielka grupa — Margery, Teresa, Ciotunia i Helena. — Urwał. — Przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę, że oni wszyscy, z wyjątkiem może Ciotuni, mogli zrobić majątek pracując w reklamie.

— Co pan ma konkretnie na myśli? — spytał Henryk.

— To, co mówię. A chciałem także zaznaczyć, że oni potrafią skłonić ludzi do uwierzenia w to, w co chcą, by wierzyli. — Pochylił się do przodu. — Nie ma pan do czynienia z amatorami, inspektorze, lecz z zawodowcami. Proszę poprawić mnie, jeśli się mylę — dodał poważnie — ale wyobrażam sobie, że w pana fachu styka się pan na ogół z ludźmi, którzy onieśmieleni pana urzędową funkcją mówią szczerą prawdę, chyba że mają do ukrycia coś naprawdę karygodnego. Tutaj nie ma o tym mowy. — Urwał znowu. — A właściwie w tej całej sprawie Michała i Heleny coś jest nie tak.

— Chce pan powiedzieć — przerwał mu Henryk — że ta historia może być zasłoną dymną dla ukrycia czegoś innego?

— Tak. Właśnie.

— To samo i mnie przyszło na myśl — powiedział Henryk. — Ale co to może być?

— Nie mam pojęcia.

— Pan Walsh był bardzo przywiązany do Heleny, prawda?

— Z pewnością — odparł szybko Donald. — My wszyscy... to znaczy wszyscy ją lubili. Z wyjątkiem panny Field.

— Czy to ważne? — spytał Henryk. — Bądź co bądź panna Field jest tylko sekretarką.

Donald uśmiechnął się.

— Chyba trochę czymś więcej — odpowiedział. — To na swój

sposób bardzo wpływowa osoba. Kiedy Margery przejdzie na emeryturę — co musi zrobić niebawem — dla panny Field nie będzie obojętne, kto zostanie redaktorem naczelnym. Nie lubiła Heleny, bo Helena była bardzo do niej podobna. Jako redaktor naczelny chciałaby na pewno wtrącać się do wszystkiego — nawet do systemu kartotek. Nie była to osoba, która zrzekłaby się odpowiedzialności. Panna Field pogardza Teresą, ale wie, że gdyby ona została redaktorem, pozostałaby sprawy administracyjne swojej sekretarce i wtedy panna Field zyskałaby na znaczeniu. Rozumie pan?

— Tak — odrzekł Henryk w zamyśleniu. — Tak, rozumiem.

Była szósta, kiedy wyszedł z gmachu „Mody”. Udał się do najbliższej budki telefonicznej i połączył się z Olwen Pipper w mieszkaniu w Kensington — dawnym mieszkaniu Heleny. Olwen odezwała się od razu i nie wydawała się zachwycona.

— Muszę być w teatrze o wpół do dziewiątej — powiedziała. — Nie bardzo odpowiada mi teraz spotkanie się z panem. Myślałam, że zadzwoni pan wcześniej.

— Mogę być u pani o wpół do siódmej — odpowiedział Henryk. — Gdyby pani mogła poświęcić mi pół godziny...

— Dobrze.

Ciekaw był mieszkania Heleny. Wiedział już, że nie była zamożna. Paręset funtów w banku i wypłata z małej polisy ubezpieczeniowej miały stanowić jedyny spadek po niej dla siostry w Australii, poza meblami i rzeczami osobistymi. Henryk przypuszczał, że jak wiele niezamężnych młodych kobiet Helena wydawała większą część

swoich zarobków na ubrania i mieszkanie; jedno spojrzenie powiedziało mu, że miał rację.

Mieszkanie mieściło się w nowoczesnym domu na siódmym piętrze i było umeblowane prostymi, solidnymi nowoczesnymi meblami, dając świadectwo doskonałego, choć nieco surowego gustu jego zmarłej lokatorki. Brakowało w nim wyraźnie drobiazgów i ozdóbek, których zwykle pełno w mieszkaniach kobiet. Parę sztuk skandynawskiego szkła o zdecydowanych konturach, ceramika, kilka abstrakcyjnych reprodukcji Kandinsky'ego i Klee — to były jedyne uzupełnienia Heleny w dziedzinie upiększenia wnętrza.

Olwen przywitała Henryka szorstko.

— Sądzę, że chce pan obejrzyć mieszkanie? — powiedziała. — Zostawiam pana samego. Muszę się przebrać. Proszę zawołać, gdyby mnie pan potrzebował, będę w swoim pokoju.

Z tymi słowami znikła w otwartych drzwiach po lewej ręce Henryka, za którymi dojrzał małą sypialnię w stanie straszliwego nieładu. Części garderoby, książki, papiery i płyty gramofonowe leżały porozrzucone bezładnie. Kontrast między pokojem Olwen a resztą mieszkania świadczył o tym, że jego lokatorki stanowiły dość dziwnie dobraną parę. Olwen zamknęła za sobą drzwi, a Henryk rozpoczął inspekcję.

Poza pokojem Olwen mieszkanie składało się z maleńkiego hallu, dużego living-roomu z balkonem, sypialni Heleny, kuchni i łazienki. Living-room nie zatrzymał długo uwagi detektywa: był schludny i bezosobowy jak wystawa i Henryk czuł, że Helena nie przechowywałaby tutaj żadnych rzeczy osobistych. Wszedł do jej sypialni.

I tu brak było śladów kobiecości. Tapczan przykryty był granatową

narzutą uszytą z materiału, na prostej toaletce z jasnego dębowego drzewa stała minimalna ilość kosmetyków i perfum, choć zwrócił uwagę, że były w pierwszorzędnym gatunku i drogie. W szufladach prostej nowoczesnej wysokiej komody leżały poukładane porządnie stosy czystej bielizny i chusteczek do nosa, a szafa była w równie nieskazitelnym porządku. Jedyne pewna ilość używanych chustek w płóciennym worku dowodziła, że Helena była zwyczajną śmiertelniczką podlegającą katarom. Henryk czuł przygnębienie. Stał tam jeszcze jeden mebel: niewielkie biurko z żaluzjowym blatem, nie zamknięte na klucz. Henryk otworzył je.

Uwagę jego zwrócił przede wszystkim nie dokończony list, który leżał na białej bibule pośrodku. Pisany był atramentem, wyraźnym pismem, a w nagłówku miał tylko słowo „Wtorek”. Henryk wziął list do ręki i przeczytał.

Zdaje mi się, że zdobyłam wreszcie właściwy materiał. Nie jest zupełnie taki sam, jaki można znaleźć w Paryżu, ale prosiłam Teresę, żeby przywiozła mi próbkę, abyśmy mogli porównać. Właściwie zdecydowałam się już co do niebieskiej dżersejowej sukni, tej, którą Beth chciała fotografować. Mam nadzieję, że za parę dni dam definitywną wiadomość w tej sprawie.

W tym miejscu list się urywał. Ponieważ nie kończył się w połowie zdania, Henryk doszedł do wniosku, że Helenie nic nie przerwało pisania, lecz po prostu odłożyła dokończenie listu na później, wiedząc, że musi się pospieszyć, by nie spóźnić się na umówioną wizytę u lekarza. Duża szpilka wpięta w lewy róg listu przytrzymywała coś

pod nim ii Henryk odwrócił kartkę papieru spodziewając się skrawka materiału na suknię, bo list był wyraźnie adresowany do krawcowej Heleny. Z lekkim zdziwieniem odkrył jedynie czystą kartkę papieru przyklejoną do listu. Już chciał odłożyć list na bibułę, kiedy przyszło mu na myśl, że nie ma próbki pisma Heleny — w biurze pisała wyłącznie na maszynie. Złożył więc list i wsunął go do kieszeni.

Poza tym biurko było równie przygnębiająco uporządkowane, jak całe życie Heleny. Leżały tam pliki starannie ułożonych kwitów, zestawień bankowych i domowych rachunków: jeden plik miał adnotację: „Listy do odpisania”.

Przeglądając zawartość biurka Henryk czuł się zmrożony bezosobowością tego wszystkiego. Nie było tam kart z zaproszeniami ani zdawkowych kolorowych kartek od znajomych na wakacjach, żądanych notatek dotyczących spotkań aranżowanych lub odwoływanych. A przede wszystkim nie było listów miłosnych. Zastanawiał się, czy dlatego, że nigdy ich nie otrzymywała? Czy dlatego, że je niszczyła?

Postanowiwszy zapytać o to Olwen, obrzucił ostatnim spojrzeniem pokój, ale nie ujawnił on żadnych tajemnic. W małej biblioteczce było kilka „kryminałów”, dwie aktualnie modne biografie, słynny, lecz pseudonaukowy opis odkryć archeologicznych w Egipcie, pełny komplet dzieł A. A. Milne'a i dwie powieści — bestsellery — jedna pióra profesora uniwersytetu, druga zawierająca wyznania złodzieja kieszonkowego. Dolna półka zapchana była starymi numerami „Mody”. „Poziom umysłowy średni — zsumował swoje wrażenia Henryk — trochę więcej niż przeciętny”.

Ze wszystkiego w tym pokoju najbardziej indywidualne piętno nosiły stroje Heleny. Henryk nie był znawcą mody, ale nawet on mógł stwierdzić, że zawartość szafy dowodziła zdecydowanego, śmiałego zmysłu kolorystycznego z upodobaniem do prostych, klasycznych linii. Nie było tam kapeluszy przybranych woalkami i różami ani sukien w spokojnych pastelowych kolorach, a przede wszystkim nie było ekstrawagancji. Henryk spostrzegł, że zgadza się to ze stwierdzeniem Margery. Helena ubierała się dobrze — zapewniała to praktyka w „Modzie” — lecz zbyt spokojnie jak na ewentualnego naczelnego redaktora dużego magazynu mody. Mimo woli przyszło mu na myśl tak często ostatnio używane słowo „zmysł”. Czuł, że zaczyna rozumieć, co ono oznacza.

Opuścił sypialnię, wszedł do wykładanej białymi kafelkami kuchni i zbadał urządzenie na śmieci. Z przygnębieniem stwierdził, że mieszkanie wyposażone jest w nowoczesny piec do spalania śmieci. Każdy list, który Helena wyrzuciła, został zniszczony w sposób nieodwołalny i na pewno już nie istniał. Wrócił do hallu i zapukał do drzwi Olwen.

— Słucham? Co takiego?

— Obejrzałem już wszystko, co chciałem obejrzeć, proszę pani — powiedział Henryk. — Ale gdy pani będzie gotowa, chciałbym zamienić z panią parę słów.

— Dobrze. Zaraz przyjdę.

W chwilę później weszła do living-roomu. Przebrała się w różową jedwabną suknię, suto marszczoną, w której wyglądała okropnie. Każdy z kolegów powiedziałby jej, że niezależnie od tego, czy jest to modne, czy niemodne, marszczone suknie można nosić jedynie przy określonym typie urody. A jeśli się już je nosi, to rzeczą fatalną są do

tego sztuczne perły, jasnoróżowe atłasowe pantofle i biała ciężka torba. Pracownicy działu mody byli już znudzeni i zmęczeni powtarzaniem Olwen takich rzeczy, bo albo odpowiadała buntowniczo: „Ale mnie się podobają perły do tej sukni”, albo mruczała wymijająco: „O, naprawdę... no tak, oczywiście...”, co oznaczało, że myśli jej są w tej chwili daleko. Henryk nie był ekspertem w sprawach krawieckich, ale wiedział, że ubiór Olwen świadczył o całkowitym braku gustu. Zmusił się jednak do uśmiechu i powiedział:

— No, proszę! Ślicznie pani wygląda.

— Ładna suknia, prawda? — spytała Olwen z zadowoleniem. — Beth sfotografowała ją parę miesięcy temu na Weronice Spence dla pisma „Młoda Moda”. Zdjęcie było takie śliczne, że uznałam, iż muszę kupić tę suknię.

— Hm — mruknął Henryk.

— Czym mogę panu służyć? — spytała Olwen.

— Przede wszystkim — odpowiedział wyjmując z kieszeni list znaleziony w biurku Heleny — czy pani wie, czyje to pismo?

Olwen spojrzała na list. — Oczywiście. Heleny.

— Dobrze. Chciałem się tylko upewnić. A czy Helena dostawała dużo listów?

— Tego naprawdę nie potrafię panu powiedzieć.

— Musiała pani chyba...

— Helena zawsze wstawała rano pierwsza i parzyła kawę. Ja wszystkie prawie wieczory spędzam w teatrze więc mogę pójść do biura trochę później, chyba że mam szczególnie dużo pracy. Helena była... no, trochę tajemnicza w niektórych sprawach. Stało się zwyczajem, że ona wyjmowała ze skrzynki pocztę, zabierała swoje listy do

kuchni i czytała je w tym czasie, kiedy parzyła się kawa. Wszystko, co nie wymagało odpowiedzi, wrzucała od razu do pieca, wie pan, jaka ona była porządna.

— Co pani ma na myśli mówiąc, że była „tajemnicza”?

— No... — Olwen zawahała się. — Pewnego ranka oczekiwałam na ważny list, wstałam wcześniej, wyjęłam korespondencję ze skrzynki i zaniiosłam do jej pokoju listy adresowane do niej. Była wściekła. Jakbym otworzyła jej prywatną korespondencję. Zresztą tego ranka nie było do niej żadnych listów, tylko jakieś dwa druki. Ale kazała mi obiecać, że na przyszłość jej pozostawię wybieranie poczty. To dziwne, prawda? Wcale do niej niepodobne.

— Bardzo dziwne — przyznał Henryk. Helena Pankhurst bardzo go irytowała. Jakkolwiek ciekawą korespondencję mogła otrzymywać, zniszczyła skutecznie wszelkie jej ślady. Pomyślał z tęsknotą o kryminatach, w których skrawek nie spalonego papieru z kilku nic nie znaczącymi słowami znajduje się zawsze wśród stosu popiołu na kominku. Chciałbym wiedzieć, rozmyślał ponuro, co zrobiłby Sherlock Holmes, gdyby się zetknął z elektrycznym piecem do spalania śmieci. Uświadomił sobie, że Olwen coś mówi.

— ...jak najprędzej. Rozumie to pan, prawda?

— Przepraszam. O czym pani mówiła?

— O rzeczach Heleny. Chciałabym, żeby można było jak najprędzej zapakować to wszystko i złożyć na przechowanie.

— Nie widzę żadnych przeszkód — powiedział Henryk. Rozejrzał się po pokoju. — Przypuszczam, że wszystkie te meble należały do niej. Co pani z tym zrobi?

— Napiszę do jej siostry i zapytam, jak ona sobie życzy. Oczywiście,

będę musiała kompletnie mieszkanie przemeblować, ale sądzę, że na razie mogę korzystać z rzeczy Heleny. — Zerknęła na swój zegarek na grubym czarnym skórzanym pasku, zupełnie nie pasującym do różowej sukni. — Niestety, muszę już iść.

— Ja też — powiedział Henryk. — Dziękuję pani za pomoc.

Olwen zatrzymała się w drzwiach.

— Więc mogę zapakować jej rzeczy w czasie weekendu? — spytała.

— Jeśli sobie pani tego życzy?

— Dziękuję panu. Nie może pan sobie wyobrazić, jaka będę zadowolona. — Głos jej się załamał. — Te jej suknie... jak duchy. Nie mogę znieść ich w domu.

— Rozumiem to — powiedział Henryk. — Dobrze. Niech je pani zapakuje i pozbędzie się ich.

Wrócił do domu o wpół do siódmej. Był zmęczony. Padał deszcz. Miał koszmarną podróż w autobusie numer 19, piesza wędrówka przez mokre, tonące w wodzie uliczki była jeszcze mniej miła, a gdy wkładał klucz w drzwi swego mieszkania, pochłaniały go marzenia o dużej szklaneczce szkockiej z wodą sodową, pantoflach, spokojnej kolacji i gorącej kąpieli.

Dlatego wchodząc do hallu z irytacją usłyszał kobiece głosy i wybuchy śmiechu. Gotów okazać swój zły humor doszedł do drzwi living-roomu i wtedy rozpoznał głosy swojej żony Emmy i siostrzenicy Weroniki. Tym dwóm ukochanym kobietom gotów był wiele wybaczyć. Mimo to wszedł do pokoju z silnym postanowieniem wyprawienia do domu Weroniki, jak tylko się da najszybciej. Postanowienie

to przytłumił nieco fakt, że żadna z kobiet nie spostrzegła jego wejścia do pokoju.

Emmy klęczała na podłodze wycinając przy pomocy i papierowego wykroju coś, co przypominało kawałki spadochronu z niebieskiego tweedu. Weronika leżała na kanapie z nogami przerzuconymi przez oparcie, odsłaniając dużą część zgrabnej nogi w jasnej wełnianej pończosze w kratkę.

— I była tam okropna księżna — opowiadała — w identycznej sukni, zupełnie identycznej, ciociu! Szkoda, że nie mogłaś zobaczyć, co to był za dramat. Bo widzisz, ona poszła do Monniera i kupiła ten model za Bóg wie jaką sumę, a tu stanęła przed Felicją Fraser w zupełnie takiej samej...

Henryk zamknął za sobą drzwi dosyć głośno. Emmy zerwała się na nogi zmieszana.

— Kochany! Już w domu! Jak ten czas leci! Nie spodziewałam się ciebie jeszcze. Napijesz się czegoś?

— Owszem, proszę — odpowiedział Henryk z lekką urazą. — Co ty robisz?

— Kroję spódnicę — odpowiedziała Emmy. — Ronnie mówi, że ten grubełkowany tweed to ostatni krzyk mody w Paryżu. I nie gniewaj się. Zobacz.

— Pozwolisz, że napiję się czegoś? — spytał Henryk. — Jestem bardzo zmęczony.

— Biedny wuj Henryk! — Weronika uśmiechnęła się do niego nie zmieniając pozycji. — Był wspaniały. Wszyscy są pod wielkim wrażeniem.

— Nie wątpię — odrzekł Henryk. — A tymczasem, jeśli można prosić...

— Wujku Henryku, wykryłam dla ciebie mnóstwo rzeczy. Nie masz pojęcia...

— Kochana Weroniko — rzekł Henryk — jestem pewny, że Scotland Yard odpowiednio ci się odwdzieczy. Ale na razie interesuje mnie jedynie, żeby coś zjeść, wypić, wykapać się i położyć do łóżka.

— Ale, wuju, powiedziałaś...

— Ronnie, kochanie, jestem pewny, że ogromnie się nam przydasz, ale proszę, nie teraz.

— Paskudny — stwierdziła Weronika. — Opowiadałam właśnie cioci, jak to księżna Basingstoke zjawiała się na balu w identycznej sukni, jak...

— Słyszałem to — powiedział Henryk.

— Masz tu drinka, kochanie — wtrąciła Emmy. — Czy dzień był męczący?

— Dość paskudny — odparł Henryk, czując się już znacznie lepiej. Usiadł w swoim ulubionym fotelu i zrzucił buty.

— I najzabawniejsze, wujku, że...

— Ronnie — rzuciła ostrzegawczo Emmy.

— No, jeśli nie chcesz usłyszeć, co odkryłam — pi wiedziała Weronika trochę urażonym tonem — to ty na tym tracisz. Muszę już zresztą iść. O ósmej przychodzi do mnie Donald.

— Donald MacKay? — spytał Henryk z wygodnych głębi swego fotela.

— Tak, oczywiście. — Weronika spuściła nogi z oparcia kanapy i wstała.

— Znasz go, Henryku? — spytała Emmy z nutą niepokoju w głosie.

— Poznałem.

— Jaki ci się wydał?

— Powiedziałbym, że to bardzo bystry młody człowiek — odpowiedział Henryk.

— Słodki chłopak — stwierdziła Weronika. Pocałowała Henryka w nos i znikła błyskając kraciatymi pończochami.

Emmy zaczęła sprzątać z podłogi swoje krawieckie wyczyny.

— Ronnie mówiła mi... — zaczęła, ale Henryk przerwał jej:

— Jestem śmiertelnie zmęczony, Emmy — powiedział. — Czy moglibyśmy zjeść coś i położyć się?

W ten sposób przysporzył sobie wiele pracy, której mógłby uniknąć, a także wielu kłopotów. Ale takich rzeczy nigdy nie można przewidzieć.

Rozdział VII

Nazajutrz, po krótkiej konferencji w swoim biurze w Scotland Yardzie, Henryk zatelefonował do firmy Barrimodes i umówił się na spotkanie z panem Horacym Barry. Wziął taksówkę na Pope Street, bo powątpiewał, czy idąc pieszo znalazłby kiedykolwiek tę ulicę. Choć znajdowała się w pobliżu Oxford Street, była to dzielnica Londynu, z którą Henryk dotychczas miał niewiele kontaktu. Zafascynował go labirynt małych ruchliwych uliczek, na których każdy dom wydawał się centralą jednej lub kilku hurtowni handlu odzieżowego.

Uliczki roiły się od spieszących posłańców objuczonych belami materiału, a przed wielu drzwiami stały kryte ciężarówki opatrzone nazwami znanych firm. Henryk zajrzał do jednej z nich i przekonał się, że była to ogromna ruchoma szafa, w której we wzorowym porządku wisały na wieszakach rzędy sukien w oczekiwaniu na

dostarczenie ich do sklepów i magazynów w całym kraju. Teren ten budził szczególne handlowe zainteresowanie, równie określone jak Billingsgate czy Covent Garden.

Dom oznaczony numerem 286 przy Pope Street był wysoki i brudny; tabliczki przybite na ścianie ponurego hallu informowały, że wszelkie sprawy dotyczące firmy Barrimodes załatwia się na pierwszym piętrze, na czwartym mieści się firma modniarska Marcelle i Spółka, a na piątym wytwórnia pasków Beadcrafta i Simona; jedna z tabliczek zakazywała wstępu domokrażcom i ludziom reklamującym te czy inne rzeczy. Henryk wszedł po betonowych schodach na pierwsze piętro.

Salon wystawowy firmy Barrimodes wyglądał tak samo jak setki innych w sąsiedztwie. Ten duży pokój z beżowym dywanem na podłodze zajmował większą część pierwszego piętra; wyposażony był w długie wieszadła, na których wisały modele z ostatniej kolekcji Horacego Barry. Dwie eleganckie kobiety w średnim wieku o twarzach sekutnic siedziały w fotelach popijając kawę i robiąc notatki, podczas gdy kilka manekinów o zmęczonym wyglądzie okręcało się i przybiegało przed nimi różne pozy. Od czasu do czasu jedna z kobiet pochyliła się do przodu i chwyciła dół sukni, macając ze znanstwem palcami materiał. Bardzo wytv/orny młodzieniec z»goździkiem w butonierce kręcił się koło nich, częstując je natarczywie papierosami, kawą i żartami i rozwodząc się nad zaletami kolekcji. Henryk odgadł trafnie, że były to właścicielki ze sklepów prowincjonalnych; najwyraźniej cenione i przyzwyczajone do rozpieszczania. Przymilanie się młodego człowieka przyjmowały z mrozącym brakiem zainteresowania, co, jak osądził Henryk, musiało być koniecznym mechanizmem obronnym

ze strony ludzi, których zawód wymagał trzeźwego sądu wobec starych pochlebstw i perswazji.

Dziewczyna w granatowej sukience podeszła, żeby go przywitać.

— Ach, tak — powiedziała spojrzawszy na jego bilet. — Pan Barry oczekuje pana. Zechce pan wejść na górę.

Wyprowadziła Henryka z salonu i poszła z nim piętro wyżej. Był to istny magazyn załadowany materiałami, które leżały w rzędach jedno na drugim. Dziewczyna minęła zakamarki pełne wieszaków z płaszczami i zapukała do drzwi z napisem: „Wstęp wzbroniony”.

— Proszę! — zawołał donośny, miły głos z wyraźnym akcentem środkowoeuropejskim.

Dziewczyna otworzyła drzwi.

— Nadinspektor Tibbett, proszę pana — zaanonsowała i usunęła się, by przepuścić Henryka.

Horacy Barry był niskim, tęgim mężczyzną o rzadkich siwych włosach, w okularach w grubej rogowej oprawie. Wyglądał raczej na bankiera lub na maklera niż na dyktatora mody, a jego nieangielskie pochodzenie objawiło się wyraźnie, gdy się odezwał.

— A, pan inspektor! Proszę! Niech pan siada. To okropna sprawa, prawda? Przyszedł pan z powodu tego morderstwa w „Modzie”, prawda?

— Tak. Przykro mi, że pana niepokoję...

— Nic nie szkodzi, inspektorze. To żaden kłopot. Obawiam się tylko, że nie potrafię panu wiele pomóc, ale co będę mógł...

Henryk usiadł po drugiej stronie dużego lśniącego biurka i powiedział:

— Słyszał pan więc, co się stało.

— Czytałem gazety. — Gdy Barry gestykulował, jego krótkie, grube palce przypominały Henrykowi palce muzyka: łączyły się z artystyczną wrażliwością.

— Panna Pankhurst została otruta — rzekł. — Przyszedłem do pana, bo jadł pan we wtorek wieczorem obiad z panem Goringiem i pojechał potem do jego domu. Sądziłem, że będzie pan mógł podzielić się ze mną wrażeniami na temat ludzi, którzy też tam byli.

— Mogę to zrobić rzeczywiście... Napije się pan kawy lub czegoś mocniejszego?

— Nie, dziękuję — odpowiedział Henryk. — Niech mi pan opowie o wtorkowym wieczorze.

— A więc najpierw zjadłem obiad z Goringiem i omówiliśmy ostatecznie moje plany dotyczące kolorowego ogłoszenia w numerze majowym. Potem przyszedł Mikołaj... Mikołaj Knight. Zna go pan?

— Rozmawiałem z nim.

— Inteligentny chłopak. Bardzo inteligentny. Ma nosa. Chwyta z Paryża to, co istotne.

— Mówił mi, że pracuje dla pana.

— Tak. Projektował część mojej jesiennej kolekcji i mam szerokie plany dla niego na lato. Moja kampania reklamowa skupiać się będzie wokół jego nazwiska. Lansuję nową serię droższych ubiorów z całkowicie odmienną etykietką, wytworną, dyskretną. Niech pan sobie wyobrazi... Czarny atlas, a na nim białe litery: „Projekt Mikołaja Knighta dla Barrimodes”. Proste. Szlachetne. Moi agenci namawiali mnie na tani slogan: „Super Paryż w Barrimodes”. Takie bzdury. Nie zgodziłem się na to. Poszukuję klienteli z wyższych sfer. „Projekt Mikołaja

Knigha” — więcej nie trzeba. Ale ja chyba pana nudzę?

— Wcale — odrzekł Henryk. — Ale chciałbym powrócić do wtorkowego wieczoru. Sądzę, że pan zna dość dobrze pracowników „Mody”?

— Niektórych. — Barry uśmiechnął się wylewnie. — Znam pannę Connolly, która redaguje „Młodą Modę”. Przychodzi często do mnie po stroje do zdjęć, bo pasują do reklamowanych przez nią serii.

— Ale panny Connolly nie było tam we wtorek wieczór — prze-rwał spokojnie Henryk. — Kto był jeszcze?

— Panna French, wielka dama. Nie byle kto. Robi mi zaszczyt przychodząc dwa razy do roku na moje wielkie pokazy. To autorytet. Ludzie jej nie lubią. Była też panna Masters, ta zna się na sprawach mody. Ale nie zawsze się zgadzamy. „Pani ma za dobry gust, droga pani — mówię jej. — To dobre dla czytelników »Mody«. Bardzo dobre. Ale ja muszę sprzedawać także tym, którzy mają inne gusty”. Niech pan zaczeka, aż ona zobaczy moją nową serię projektowaną przez Mikołaja Knigha...

— Wracając do wtorku — nalegał wytrwale Henryk — pojechaliście wszyscy na Brompton Square. I co się tam działo?

Wesoła zazwyczaj twarz pana Barry przybrała gniewny wyraz, jakby pod wpływem jakiegoś niemiłego wspomnienia.

— Patryk Walsh i Michał Healy — powiedział posępnie — zachowywali się ordynarnie. Nie znoszę tego. Była tam jeszcze inna pani, której nie znałem... chyba sekretarka panny French, niejaka panna Field. Żal mi jej, bo ona była... jak to wyrazić... nie na swoim miejscu. Rozmawialiśmy z nią o kotach, które oboje lubimy. Michał

Healy, jak zawsze, rozprawiał o sztuce. Ten młody człowiek powinien trzymać się swego aparatu fotograficznego. W tej dziedzinie jest genialny. Temu nie przeczę. Ale czy to go upoważnia do obrażania kogoś? — W głosie Barry'ego brzmiał prawdziwy gniew.

— Czy ktoś w czasie tego wieczoru wspomniał pannę Pankhurst? — spytał Henryk.

— Nie przypominam sobie. Nie siedzieliśmy tam długo. Powiem panu szczerze, że źle się czułem, bo Walsh i Healy urządzili sobie zabawę zachowując się w stosunku do mnie grubiańsko. Mówili, że jestem ordynus. Napycham im przecież dobrze kieszenie. Nie mają się na co uskarżać. Więc odszedłem i rozmawiałem o kotach z panną Field, która przez cały czas z nikim nie zamieniła słowa. Ucieszyłem się, kiedy przyszedł Mikołaj i powiedział, że już pora jechać do domu. Powiedział też, że odwiezie pannę Field, bo mieszka ona w tej samej stronie co ja. Mogę pana zapewnić, że ona też z przyjemnością stamtąd wyszła. I czy uwierzy pan, inspektorze, kiedy poszła zabrać swoje rzeczy... ten Walsh... — Urwał. — Teraz przypominam sobie, że wspomniano pannę Pankhurst. Walsh podszedł i zaczął ubliżać Mikołajowi — jak zawsze.

— W jaki sposób mu ubliżał?

Barry miał minę zakłopotaną.

— Robił brzydkie insynuacje na temat... na temat moralności — wyjaśnił z nieszczęśliwą miną. — Potem powiedział: „Zdaje ci się, że jesteś podporą »Mody«, ty, ty... — Użył brzydkiego słowa. — Mogę ci powiedzieć, że niektórym z nas nie podoba się twoje zachowanie. Na przykład mnie i Helenie. Wiemy wszystko o tobie i obserwujemy, cię. Ciebie i twoją przyjaciółkę”.

— A jak zareagował na to Knight?

— Biedny chłopak zaniemówił. Taki atak... i do tego niestuszny. Zresztą, zanim zdążył odpowiedzieć, wróciła panna Field i pojechaliśmy. Widziałem, że Mikołaj był zdenerwowany i zmartwiony. W samochodzie prawie nie rozmawiał. Odwiózł mnie do domu tuż przed trzecią. No, opowiedziałem panu wszystko.

— Dziękuję. Czy pan znał zamordowaną?

— Tylko ze słyszenia. Nigdy jej nie poznałem.

— À propos — zagadnął Henryk — czy pan był w ubiegłym tygodniu w Paryżu?

— Oczywiście. — Barry rozpromienił się znowu, odzyskał dobry humor. — To rzecz kosztowna, ale nie można tam nie pojechać. Kupiłem naturalnie kilka toiles na mój pokaz, ale najwięcej zapłaciłem... za bilety wejściowe, żeby obejrzeć i zapamiętać modną obecnie linię.

— To znaczy, że pan musiał opłacać wstęp na pokaz w Paryżu? — spytał zdziwiony Henryk.

— Oczywiście... Hurtownik musi zawsze płacić. Wstęp wolny ma tylko prasa i goście prywatni. Jak inaczej mogłoby istnieć krawiectwo?

— Czy w czasie pobytu w Paryżu spotkał pan kogoś z „Mody”?

— Nie, nie. Pokaz dla prasy i pokazy dla kupujących odbywają się oddzielnie. Nie, nikogo nie widziałem.

— Ach, tak — rzekł Henryk.

Czuł się przygnębiony. Nie mógł się zdecydować, czy gładkie, nic nie mówiące wypadki, które zanotował, były tak niewinne, jak się zdawało, czy też — jak napomknął Donald MacKay — stał wobec spisku zawodowców mającego na celu wprowadzenie go w błąd.

— Czy pan zna dobrze pana Goringa? — spytał.

— Czy dobrze? Znam go z interesów. Jadamy razem lunch. I obiady. Gram z nim w golfa. Szanujemy się nawzajem.

— Zna pan jego żonę?

— A, piękną Lornę? Poznałem ją w ich domu na wsi w Surrey, kiedy spędzałem tam weekend, zaproszony na golfa.

— W Hindhurst?

Barry okazał zdumienie.

— Hindhurst? — powtórzył. — Nie znam tej nazwy. Nie, nie. Dom Goringów znajduje się w pobliżu Virginia Water. Wygodne połączenie z Sunningdale.

— Oczywiście — powiedział Henryk. — Cóż za idiota ze mnie. Pomyliłem go z kim innym. Pani Goring to fascynująca kobieta, prawda?

— Sekutnica — odpowiedział Barry. — Osoba nie mieszcząca się w ramach własnego życia. Nie powinna była porzucać sceny. Kręci nim, jak chce. Nie chciałbym być w jego skórce, powiadam panu. Ale on szaleje za nią i jest szczęśliwy. Może to dobrze dla mężczyzny, który w pracy jest prawie bogiem, że w domu traktuje się go jak szczeniaka — zauważył. — Pamiętam, wiele lat temu byłem w Pradze z moim bratem i jego żoną. Ona przypominała Lornę Goring — takie same rude włosy i zupełny brak gustu w ubraniu. I gdy byliśmy tam...

Wspomnienia te przerwał bezlitośnie telefon.

— Przepraszam — powiedział Barry podnosząc słuchawkę. — Chwileczkę...

— Ja muszę już iść — powiedział Henryk. — Dziękuję panu bardzo. Do widzenia.

Wyszedł szybko z pokoju, pozostawiając Barry'ego pogrążonego

w żywej rozmowie z Manchesterem na temat daty dostarczenia jedwabnych bluzek.

Kiedy Henryk znalazł się znowu w swoim gabinecie w siedzibie Scotland Yardu, napisał długi, staranny raport, opisując dokładnie sprawę. Parę razy stawiał duży znak zapytania na marginesie, zaznaczając niekonsekwencję dowodu, który wymagał zbadania. Potem wezwał swego sierżanta.

— Gdyby ktoś dopytywał się o mnie dziś po południu, nie ma mnie — powiedział. — Na razie mam dość Londynu. Jadę zaczerpnąć wiejskiego powietrza. Zamówcie mi wóz, pojedę sam.

— Rozkaz — odpowiedział sierżant nie najgorzej naśladowując nierównanego Jeevesa. — Dokąd pan inspektor jedzie?

— Najpierw do Virginia Water, a potem do Hindhurst. Te dwie miejscowości znajdują się na przeciwległych krańcach hrabstwa Surrey, ale muszę znaleźć na nie czas. A wy znajdźcie mi adres wiejskiego domu pana Godfrey'a Goringa w pobliżu Virginia Water. Potem połączcie się z posterunkiem w Hindhurst i polećcie im zasięgnąć wśród miejscowych lekarzy informacji, czy panna Pankhurst szukała u któregoś z nich porady. Będę tam około piątej. I potrzebna mi będzie fotografia zamordowanej, chcę ją zabrać ze sobą.

Kiedy sierżant wychodził, Henryk dodał:

— Nie pytajcie w „Modzie” o adres pana Goringa. Poszukajcie go w książce telefonicznej.

Henryk włożył już płaszcz i szalik, gotów do wyjścia na mały lunch w swoim ulubionym pubie, kiedy zadzwonił telefon i w słuchawce zagruchał zdyszany głos Weroniki:

— Wuju Henryku, gdzie ty byłeś?
— Jak to, gdzie byłem?
— Nie było ciebie w „Modzie”. Nie ma tam nikogo, tylko ten pucołowaty sierżant.
— Jeśli musisz wiedzieć, to robiłem co innego — wyjaśnił Henryk.
— Nie rzuciłeś tej sprawy, co? — spytała z niepokojem.
— Oczywiście, że nie.
— To dobrze. W takim razie możesz zaprosić mnie na lunch, bo mam ci do powiedzenia coś strasznie emocjonującego.
— Dobrze — zgodził się Henryk. Doświadczał uczucia zadowolenia, jakie zawsze ogarniało go po ułożeniu raportu, choćby on nic nie rozstrzygał. — Mogę coś tylko szybko przekąsić. Nie mam wiele czasu. Gdzie ty jesteś?
— W budce telefonicznej na tyłach „Mody”. Może moglibyśmy pójść do „Oranżerii”?
— Naprawdę? Wybij to sobie z głowy. Nie mam nabitej kieszeni, jeśli nawet ty ją masz. Spotkamy się za dziesięć minut przed „Coventry Street Corner House”.
— Dobrze. Czy możemy zjeść rostbef, pieczone ziemniaki i lody?
— Wszystko, co zechcesz, tylko się nie spóźnij.
Oczywiście spóźniła się dziesięć minut. Szybka jak wiatr, zdyszana, rozjaśniła ponury, szary styczniowy dzień; wyglądała jak Persefona zbiegła z Hadesu, gdy pędziła przez Leicester Square z rozwianymi włosami, w odpiętym czerwonym płaszczyku.
— Nie mogłam nigdzie znaleźć taksówki — oznajmiła odrzucając ruchem głowy włosy z czoła. — Musiałam przybiec pieszo.

Henryk, który nie lubił być ośrodkiem uwagi, wziął ją pod rękę i stanowczym gestem wprowadził do restauracji. Wchodząc z Weroniką, trzeba było liczyć się z faktem, że nie przejdzie ona niezauważona, ludzie już odwracali głowy, by się jej przyjrzeć.

Weronika była za młoda, żeby respektować zwyczaje Godfreya Goringa obowiązujące na lunchach, w czasie których załatwiano się interesy. Kipiła z chęci podzielenia się posiadaną wiadomością i zaczęła się nią dzielić, zanim jeszcze zasiedli przy stoliku w rogu sali.

— Jestem pewna, że to strasznie ważne, wujku. Dowiedziałam się o tym całkiem przypadkowo. Jestem ciekawa, czy ona sama ci powie...

— Zamówimy coś najpierw, Ronnie — powiedział Henryk, gdyż kelner stał obok.

— Rostbef i pieczone ziemniaki — załatwiła krótko sprawę Weronika. — Wiesz, wszystko dlatego, że Beth chciała go pożyczyć, wydawało się, że najlepiej poprosić pannę Field, a ja tam byłam z Beth, bo zostałam na pozowanie i...

— Dwa razy rostbef i pieczone ziemniaki — powiedział Henryk do kelnera. A do Weroniki: — Mów ciszej, Ronnie. Co Beth chciała pożyczyć od panny Field?

— Klucz. — Duże oczy Weroniki powiększyły się jeszcze pod wpływem podniecenia. — Widzisz, Beth miała dużo roboty, bo to morderstwo wstrzymało wszystko i materiały paryskie były spóźnione. Kiedy już prawie skończyliśmy pozowanie, przyszła panna Masters i powiedziała, że Beth musi przerobić cały swój artykuł do kwietniowego numeru, co uważam za absolutnie...

— Trzymaj się tematu — przerwał Henryk. — Beth Connolly uważając, że będzie zmuszona pracować do późna, poprosiła pannę

Field o pożyczenie jej klucza od frontowych drzwi. Tak?

— Tak — odpowiedziała Weronika. — A panna Field poszła i szukała w swojej torebce, i... — Urwała na chwilę dla efektu. — I wróciła, i powiedziała, że go zgubiła!

— Klucz? — spytał ostro Henryk.

— Tak. Była z tego powodu okropnie zdenerwowana. Przysięgała, że miała go w torebce we wtorek. Gdyby to była panna Masters lub ktoś podobny, pomyślałabym, że go gdzieś zostawiła albo zgubiła. Ale panna Field niczego nie gubi. Jestem pewna, że ktoś ukradł ten klucz! Na pewno! No, czy nie odkryłam czegoś pożytecznego dla ciebie?

— To bardzo interesujące. Ale trudno powiedzieć, że pożyteczne. Komplikuje sprawę. Zakładałem, że tylko jedna osoba, która miała klucz, mogła... zresztą mniejsza o to. Ciekawe, czy ktoś miał sposobność zajrzenia do torebki panny Field we wtorek wieczorem?

— Sądzę, że każdy. Zresztą nie wiem. Ona zwykle, gdy pracuje, stawia torebkę na podłodze koło biurka, a nie wychodziła przez cały wieczór z pokoju, tak powiedział mi Donald. Wszyscy kręcili się koło ciemni i gdzie indziej, ale ona nie ruszyła się z miejsca.

— Margery French mówiła to samo — mruknął w zamyśleniu Henryk.

Zjawił się na stole rostbef, znakomity jak zwykle, i przez parę minut Weronika skoncentrowała się na jedzeniu z ogromnym apetytem osoby młodej i szczupłej. Henryk siedział zatopiony w myślach; rozmyślania jego przerwał głos Weroniki, która spytała:

— Czy nie?

— Czy co nie? — spytał niewyraźnie z ustami pełnymi ziemniaków.

— Wcale nie słuchasz — zrobiła mu wymówkę. — Pytałam, czy to nie jest o wiele bardziej interesujące niż suknie Mikołaja Knighta.

— O wiele bardziej — zgodził się Henryk. — Powiedz mi... czy Donald ma swój klucz?

— Nie, nie ma. Ale jeśli zamierzasz wysuwać wniosek, że...

— Nie wysuwam żadnego wniosku. Po prostu myślę głośno. Ernest Jenkins także nie ma klucza, co?

— Oczywiście, że nie ma. Czy mogę prosić o masło?

— Proszę. — Henryk przesunął w jej stronę maselnickę. — Nie utyjesz od tych kartofli?

— Nie utyję od niczego — odparła z zadowoleniem i zgodnie z prawdą. — I jeszcze czegoś ci nie powiedziałam.

— Czego?

— Margery French przechodzi na emeryturę — oznajmiła Weronika z miną kuglarza wyciągającego królika z kapelusza.

— Wiem o tym.

— O — W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. — Nie powinieś wiedzieć. To straszna tajemnica.

— To skąd wiesz o tym?

— To była straszna tajemnica do dziś. Bo dziś ogłoszono to oficjalnie. Panna French wycofuje się w marcu, a redaktorem ma być panna Masters. Całe biuro mówi o tym. Donald twierdzi, że Ciotunia powiedział, że Olwen jest wściekła. Nie wiem dlaczego. Czy okazałam się użyteczna?

— Bardzo — odrzekł z powagą Henryk. — Ale... — Zawahał się. — Myślę, że lepiej przestań bawić się w detektywa na terenie „Mody”.

— Wuju Henryku! Powiedziałeś...

— Nie chcę cię straszyć, ale to, co, zdaje się, uważasz za zabawę, w rzeczywistości jest rzeczą bardzo poważną i może być niebezpieczne. Mamy do czynienia z mordercą i wolałbym, żebyś trzymała się od tego z daleka.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że ktoś mógłby próbować mnie zabić? — roześmiała się dziewczyna. — Nie bądź niemądry!

— Nie jestem niemądry — odparł Henryk. — Czy nie możesz trzymać się z daleka od tego miejsca, póki się te wszystkie nie wyjaśnią?

— Trzymać się z daleka od „Mody”? Naturalnie, że nie mogę. To najważniejsza rzecz w mojej karierze. A poza tym...

— A poza tym jest tu Donald MacKay — dokończył Henryk bez uśmiechu.

Weronika zaczerwieniła się.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Owszem, ma. Może nawet więcej, niż ci się zdaje. — Zaległo milczenie. Weronika dziubiła widelcem kawałek wołowiny z wyraźnym uporem.

— No, nie mogę ci niczego dyktować — odezwał się znów Henryk. — Twoja kariera to twoja sprawa. Ale proszę cię, Ronnie, dość śledzenia zbrodniarza. Mówię bardzo poważnie. Zajmij się swoją pracą, a mnie pozwól zajmować się moją.

— To jeszcze zobaczymy — odrzekła Weronika.

Rozdział VIII

Farma Czerwone Pole w Downley koło Virginia Water nie była już od lat farmą rolną. Henryk zdał sobie z tego sprawę natychmiast,

gdy skręcił wozem w kutą żelazną bramę, nad którą z dwóch stron pochylały się kasztany. Ładny, drewniany dom wiejski w stylu Tudorów był jedyną pozostałością rolniczej przeszłości. Stał wśród starannie utrzymanego akrowego parku. Otaczające go pola i pastwiska zostały kolejno sprzedane pod budowę wiejskich rezydencji zamożnych businessmenów. Farma Czerwone Pole w swej autentycznej, choć ograniczonej świetności, tkwiła wśród nich jak żywy lew w sklepie z zabawkami pełnym misiów.

Aleja rozszerzała się w półokrągły podjazd przed wejściowymi drzwiami z ciemnego dębowego drzewa. Henryk zaparkował wóz starannie, podszedł do drzwi i pociągnął za staroświecki dzwonek. Melodyjny dźwięk w głębi domu dowodził, że jego wysiłek nie poszedł na marne. Henryk podniósł głowę, dojrzał w przelocie w oknie na piętrze jakąś twarz, która przyglądała mu się ukradkiem i z niepokojem i z uwagą. Była to twarz Lorny Goring.

Nie zauważył jednak śladu niepokoju czy napięcia, gdy w chwilę potem drzwi otworzyły się szeroko jak na scenie i Lorna wykrzyknęła:

— Inspektor Tibbett! Proszę, niech pan wejdzie. I niech pan wybaczy mój niedbały strój — nie spodziewałam się, że pan przyjedzie. Czy to wizyta urzędowa, czy przyjacielska?

— Mam nadzieję, że spełni oba cele — odrzekł Henryk, któremu z trudem udało się wtrącić słowo.

— Niech pan uważa na głowę pod tą belką. Prawie każdy, kto wchodzi tu po raz pierwszy, uderza się o nią — mówiła Lorna prowadząc go do wygodnie urządzonego hallu, gdzie dwa spaniele chrapały

na kanapie przed tłącą się przy kominku kłodą drzewa. — Proszę, niech pan siada i napije się czegoś. Co można panu nalać? Niech pan zepchnie te psy, są do tego przyzwyczajone. Herbata, kawa, whisky, szampan...?

— Napiłbym się z przyjemnością herbaty, jeśli to niezbyt wielki kłopot — powiedział Henryk, próbując zepchnąć jednego ze spanieli.

— Żaden kłopot — odrzekła Lorna. — Zejdź stąd, Poopsie, ty leniuchu! — Schwyciła sukę za nogi i ściągnęła na podłogę.

— Proszę usiąść.

Henryk usłuchał bez wielkiego entuzjazmu. Zwisające przykrycie kanapy było brudne i pokryte długą złocistą sierścią Poopsie, która, pomyślał posępnie, z pewnością przeniesie się na jego spodnie.

— Pójdę przynieść herbatę — oznajmiła Lorna. — Bardzo proszę niech pan dorzuci drugą kłodę do ognia. — Odwróciła się i w tej chwili dostrzegła własne odbicie w lustrze wiszącym nad kominkiem. — Boże, wyglądam jak straszdyło! Przepraszam.

Prawdę mówiąc, Lorna Goring wyglądała ślicznie. Nie miała z tym chyba kłopotu, bo natura obdarzyła ją jedną z najbardziej klasycznych, idealnie pięknych twarzy i dodała do tego smukłą długonogą figurę i cudowne rude włosy. Dzisiaj jednak było bardziej jeszcze niż w „Oranżerii” oczywiste, że Lorna uważała szczodrość natury za wystarczającą i nie widziała potrzeby, by jej pomagać, jeśli chodziło o własny wygląd. Rudawe włosy miała potargane, jedynym makijażem była rozmazana szminka. Ciemnozielone jedwabne spodnie i jasnoniebieska bluzka skrojone były idealnie, ale spodnie przytrzymała w pasie duża, widoczna agrałka, a bluzka była brudna. Kiedy Lorna

uniósła szczupłe ręce w próżnym wysiłku przyglądzenia włosów, Henryk spostrzegł, że karminowy lakier na jej paznokciach popękał i łuszczy się. Pomyślał o nienagannie starannym wyglądzie Godfreya Goringa, o ślicznej gładkiej fasadzie budynku „Mody” i jej pracownikach i z trudem pogodził to z tą cudowną, lecz niechlujną istotą. Mógł jedynie domyślać się, że niefrasobliwe lekceważenie wszelkich nakazów obowiązujących w „Modzie” było dla Goringa miłą odmianą po skończonej pracy. Miła czy niemiła, to jest niewątpliwie odmiana, pomyślał.

Lorna znikła w kuchni, wołając, żeby poczęstował się papierosem. W parę minut zjawiała się z powrotem z tacą, na której stał czajnik do herbaty przykryty różowym włóczkowym kapturkiem. Dwie filiżanki od serwisu, wyszczerbione, bardzo piękna georgiańska cukiernica i butelka z mlekiem dopełniały kompletu.

Lorna zrzuciła z kanapy drugiego spaniela, usiadła i naląła herbatę. Potem powiedziała:

— Oczywiście, jestem ogromnie zadowolona i pochlebiona wizytą pana, ale nie wiem, w jaki sposób mogłabym panu pomóc. Od miesiący nie byłam w Londynie, dopiero pojechałam tam wczoraj, gdy spotkaliśmy się w „Oranżerii”.

— Zazdroszczę pani. Dla męża pani musi być miło móc przyjechać tutaj, daleko od miasta.

Twarz Lorny na moment spochmurniała. Potem roześmiała się trochę za głośno i powiedziała:

— O, Godfrey nienawidzi wsi. Mieszka w naszym londyńskim domu, a tu przyjeżdża tylko na weekendy. Czasami. Oczywiście — dodała — musi być w Londynie ze względu na swoją pracę.

Henryk odnosił wrażenie, że żałowała, iż nie przyszło jej do głowy zaznaczyć tego na początku.

— Wiele ludzi dojeżdża codziennie koleją stąd do Londynu, prawda?

— Ale nie Godfrey — odparła krótko. Henryk nie podtrzymał tematu, lecz mówił dalej:

— Czy pani znała dobrze Helenę Pankhurst?

— Znam ich wszystkich tylko z widzenia — odpowiedziała Lorna. — Godfrey nie chce... nie pochwała żon, które wtrącają się do interesów swoich mężów, i ja także tego nie uznaję. — W jej trzech ostatnich słowach zabrzmiał niepotrzebny bunt. — Muszę pokazywać się od czasu do czasu na corocznym oficjalnym przyjęciu i tak dalej, ale poza tym nie wtrącam się. Mówiąc między nami, uważam, że kobiety z „Mody” są zupełnie nieciekawe. Jedyna wśród nich, która jest coś warta, to mała Olwen, ta, co mieszkała z Heleną. Oczywiście, wszystkie inne pogardzają nią. Ja staram się je ośmieszać, by w ten sposób uniknąć onieśmienia, w jakie mogłyby mnie wprawić. Godfrey'a doprowadza to do wściekłości. — Patrzyła na Henryka swymi dużymi zielonymi oczami. Pomyślał, że małe zmarszczki od śmiechu, które je otaczały, nie umniejszały urody, lecz nadawały jej twarzy charakter.

— Żał mi naturalnie Heleny — mówiła Lorna — ale nie ma celu udawać, że byłam w zażyłych stosunkach z kimkolwiek z nich. Pomyślałam, że powiem panu od i razu, bo inaczej dowie się pan tego od innych i zacznie j może coś podejrzewać. Jeśli mam być zupełnie szczerą, jestem zazdrosna — nie o kogoś, lecz o władzę, jaką ten magazyn ma nad moim mężem. Mogę jednak zapewnić pana, że nie zamordowałam Heleny — za mało ją na to znałam.

— Ani przez chwilę nie miałem zamiaru... — zaczął Henryk.

Przerwała mu krótko:

— Oczywiście. Byłoby to bardzo niemądre.

Zmieniając temat Henryk powiedział:

— Czy nie czuje się tu pani samotna w ciągu tygodnia?

Lorna wzruszyła ramionami.

— Mam moją miłą panią Adams, która przychodzi co rano pomagać w domu. I mam psy.

— I pewnie wiele sąsiadów?

Lorna skrzywiła się.

— Okropni ludzie — powiedziała. — Bogaci i szacowni. Wszyscy czytają „Modę”. Proste czarne suknie i sznury pereł. — Uśmiechnęła się nagle. — Jednakże czasem przydają się — dodała. — Tak się złożyło, że we wtorek wieczorem musiałam urządzić tutaj koszmarnego brydża — co jakiś czas muszę zrobić taki gest i odwdzińczyć się za gościnność. Ciągnęło się to do trzeciej rano. I to jest moje alibi, inspektorze. Mogę powiedzieć panu, kto tu był. Pani Dankworth z synem, lady Wright i Petersonowie...

Henryk zapisał starannie te nazwiska w swoim notesie. Potem spytał:

— Czy pani zna miejscowość Hindhurst?

Lorna zrobiła zdziwioną minę.

— Hindhurst? — powtórzyła. — Nie. Nigdy tam nie byłam. To w drugim krańcu hrabstwa. Dlaczego pyta pan o to?

— Myślałem, że może pani będzie mi mogła pomóc. Zdaje się, że panna Pankhurst odwiedziła tam jakiegoś lekarza, a ponieważ Hindhurst leży w Surrey, przyszło mi na myśl, że istnieje możliwość, że

tego lekarza poleciła jej pani lub pani mąż. Jadę tam teraz i gdybym wiedział, jaki to był lekarz, zaoszczędziłoby mi to nie kończących się kłopotów.

— Nie. Niestety, zupełnie nie mogę panu pomóc. Nasz lekarz mieszka na Harley Street, a tu na miejscu jest drugi, do którego udaję się czasem po drobne porady. Więc Helena była chora?

— Na pozór nie — odpowiedział Henryk. — Dlatego to jest ciekawe. No, miałem trochę nadziei... Muszę już jechać. Dziękuję pani za herbatę.

— Ale czy pan nie chce...? Niewiele zadał mi pan pytań.

— Zapytałem o to, o co chciałem zapytać. Bardzo mi pani pomogła.

— Tak? Przecież nic panu nie powiedziałam.

— Właśnie — odrzekł Henryk. — Poza tym, że prawie nie znała pani zamordowanej dziewczyny i jej koleżanek i że nie była pani od miesiąca w Londynie. Nie ma chyba nic więcej do dodania?

Lorna roześmiała się.

— Ma pan rację — powiedziała.

Kiedy był już prawie na progu, zrobiła nieoczekiwaną uwagę. Wahała się przez chwilę, zatrzymując Henryka błahą towarzyską rozmową, jakby zastanawiała się, czy ma coś powiedzieć, czy nie. W ostatniej chwili powzięła decyzję.

— No, panie inspektorze — powiedziała udając swobodę — życzę panu szczęścia w pańskich poszukiwaniach. — Urwała. — À propos, gdyby pan odnalazł tego doktora... Mam przyjaciółkę, która właśnie przeniosła się do Hindhurst i dzwoniła do mnie w ubiegłym tygodniu

— taki zbieg okoliczności — pytając, czy znam jakiegoś lekarza w tamtych stronach. Więc jeśli nie sprawi to panu kłopotu, proszę dać mi znać, jak nazywał się ten lekarz, u którego była Helena. Jeśli pojechała do niego, jest chyba godny zaufania.

Henryk postarał się nie okazać zdziwienia.

— Oczywiście — odrzekł uprzejmie. — Powiem pani mężowi, na pewno przecież się z nim zobaczę.

— O, nie! Niech pan tego nie robi... On jest beznadziejny. Na pewno zapomni mi powtórzyć. Niech pan do mnie zatelefonuje. Numer jest w książce.

— Dobrze. Do widzenia i dziękuję pani.

Wsiadł do samochodu i odjechał bardzo z siebie zadowolony. Lorna Goring powiedziała mu więcej, niż przypuszczała.

Padła gęsty kapuśniaczek, kiedy dotarł do Hindhurst. Ładne miasteczko miało smutny, szary wygląd w strumieniach nieustającego deszczu i Henryk z przyjemnością znalazł się w stosunkowo pogodnym i ciepłym wnętrzu posterunku policji. Przywitał go uśmiechnięty sierżant i następna filiżanka herbaty, ale nie było dobrych wiadomości. Nazwisko Heleny nie wywołało żadnego oddźwięku wśród miejscowych lekarzy.

— Mogła użyć nie swojego nazwiska — dodał sierżant — a nie mieliśmy fotografii.

Henryk potarł kark — gest ten oznaczał zawsze, że był pochłonięty myślami i zmartwiony, bo części wzoru nie pasowały do siebie.

— Mogła być... w ciąży — powiedział sierżant. — Przyszło mi to na myśl, bo po co jeździłaby do doktora tak daleko od domu? A jeżeli była, prawdopodobnie nie podała swego prawdziwego nazwiska.

— Wiem, że to wygodne, narzucające się wyjaśnienie — odpowiedział Henryk. — Ale nie była w ciąży.

— O! — westchnął ze smutkiem sierżant. Był zbity z tropu tym, że jego przenikliwa analiza została najpierw oceniona jako słuszna, a potem jako błędna.

Henrykowi było go żal, więc dodał prędko:

— Myśmy też tak przypuszczali, ale badanie lekarskie udowodniło, że myliliśmy się.

— Aha — sierżant poweselał.

Henryk uśmiechnął się.

— Opowiedzcie mi coś o tutejszych lekarzach — powiedział. — Ilu ich jest?

Sierżant rozsiadł się wygodnie na krześle. To była przyjemność popisać się znajomością lokalnych spraw przed tak znamienitym gościem.

— Na wzgórzu mieszka stary doktor Herbert, mający dużą praktykę, a tu na High Street doktor Roberts, u którego leczą się przeważnie kupcy. Na Guildford Road doktor Bland i doktor Tanner mają wspólny gabinet — tam chodzą chłopi i temu podobni. I jest jeszcze młody doktor Vance. Byłbym o nim zapomniał. Przyjechał niedawno i objął miejsce zmarłego doktora Pearce'a. Mówią, że nie bardzo mu się wiedzie. Większość pacjentów doktora Pearce'a przeszła do doktora Herberta. Ludzie są tu zabawni. Nie lubią nowych twarzy. — Sierżant zamilkł na chwilę. — Dużo ich — uzupełnił — a żaden nie znał panny Pankhurst. Tak mówią.

— Jej fotografia była prawie we wszystkich gazetach — powiedział Henryk. — Żaden z nich jej nie rozpoznał?

— Beznadziejna sprawa. Te fotografie w gazetach był zamazane. Trudno na nich kogoś rozpoznać.

— Te, co mam, nie są lepsze — odrzekł ponuro Henryk. — Wyciągnął z kieszeni kopertę i przyjrzał się dwóm małym zdjęciom, które w niej były. Jedno, zrobione przez Olwen Pippet ubiegłego lata, na balkonie mieszkania w Kensington, przedstawiało trochę za mało ostro Helenę podlewającą begonię w doniczce. Drugie było zdjęciem paszportowym sprzed siedmiu laty. Henryk westchnął. — Najlepsza jest terazniejszość. Pójdę odwiedzić tych lekarzy.

Wrócił do Londynu o dziewiątej wieczorem. Musiał wysłuchać nie kończących się, beładnych opowieści o arystokratycznych pacjentach doktora Herberta. Wyrwawszy się z trudem, musiał potem odbyć krótką rozmowę z bardzo zapracowanym i wyraźnie zmęczonym doktorem Robertsem. („Przykro mi, panie inspektorze, ale nie mogę panu pomóc. Nigdy w życiu nie widziałem tej dziewczyny. Muszę już iść. Przepraszam”.) Potem wszedł do zatłoczonej przez chorych wieśniaków poczekalni, a w gabinecie doktorzy Bland i Tanner z humorem wykonywali swój zawód. W końcu zdołał wykręcić się od natarczywych zaprosin na drinka z młodym doktorem Vance'em, który przejawiał melancholię i wytrwałość starego marynarza mimo swoich młodych lat. Henryk wymówił się energicznie i wsiadł do samochodu. Spotkania te wykazały smutny fakt: żaden z lekarzy nie rozpoznał Heleny.

Wracając do Londynu w gęstej ulewie, Henryk rozważał to w myśli. Miesiąc temu w sobotę Helena miała zamówioną wizytę u lekarza. Dlaczego? Na oko wydawała się zupełnie zdrowa. Tego samego dnia pojechała do Hindhurst. To jeszcze niczego nie dowodzi — mogła zasięgnąć porady lekarskiej w Londynie przed wyjazdem. Z drugiej strony, świadczyło, że miała przyjaciół lub znajomych na prowincji. Jeszcze bardziej interesujący był fakt, że nie wróciła pociągiem, bo

nie wykorzystany bilet powrotny był jeszcze w jej torebce. Mogło to oznaczać, że albo ją ktoś odwiózł z powrotem samochodem, albo niespodziewanie została tam na noc i była zmuszona kupić na drugi dzień bilet do Londynu, bo powrotny stracił ważność. Obie możliwości nasuwały myśl o jakiejś sprawie bardziej osobistej niż zwykła wizyta u lekarza.

Henryk zastanawiał się dalej nad kolegami Heleny. Ktoś z nich mógłby rzucić światło na tę sprawę, gdyby tylko jakiś on lub jakaś ona zechcieli. Ale kto? I była jeszcze druga wizyta u doktora w przeddzień jej śmierci. Mogła naturalnie pojechać do Hindhurst i z powrotem między porą lunchu a szóstą, ale nawet w tym wypadku Henryk szybko doszedł do wniosku, że Hindhurst i doktor nie wiążą się ze sobą. Zdecydował, że doktor musi mieszkać w Londynie i zacznie go od jutra szukać.

W nagłym impulsive zatrzymał się przed automatem telefonicznym w Putney i nakręcił numer w Canonbury.

Telefon dzwonił parę razy, ale długo nikt nie podnosił słuchawki. Potem jakiś gruby głos spytał:

— Czego pan chce? Siedziałem w wannie.

— Mówi inspektor Tibbett, panie Walsh.

— Diabło odpowiednia pora na telefon. Myślałem, że dość mnie pan już dzisiaj oglądał.

— To dopiero początek — odparł wesoło Henryk. — Czy mogę przyjąć do pana?

— Kiedy?

— Zaraz

Zaległo milczenie, a po chwili Patryk powiedział:

— Boże święty! O co panu chodzi? Dlaczego mam przyjmować pana w domu o tej porze?

— Jest dopiero dziewiąta. A ja byłem cały dzień zajęty.

— Ja także. Niech szczenę, jeśli się zgodzę.

— Mógłbym nalegać, ale mam nadzieję, że nie będzie to potrzebne. Ostatecznie, obu nam chodzi o to, żeby odkryć, kto zamordował Helenę. A trop zaciera się z każdą zmarnowaną minutą.

Po drugiej stronie linii trwało prawie słyszalne wahanie.

— No, niech pan przyjeżdża, jeśli pan musi. Zna pan drogę?

— Dam sobie radę — odrzekł Henryk. — Będę u pana mniej więcej za pół godziny.

Zadzwoił szybko do Emmy, by uprzedzić ją, że wróci późno, i pojechał dalej w kierunku wschodnim.

Patryk mieszkał w Islington, w pięknym zniszczonym domu w stylu georgiańskim stojącym na placu w bok od Essex Street. Wynikiem stopniowej inwazji tego terenu przez poszukujących mieszkań artystów i intelektualistów były nedorzecznie pomalowane na niebiesko i żółto drzwi frontowe i skrzynki na kwiaty w oknach, ale sąsiednie domy pozostawały jeszcze kompletnie zaniedbane; ten, w którym mieszkał Patryk, nie stanowił wyjątku.

Drzwi frontowe były otwarte i Henryk wszedł do szarego korytarza w czekoladowe cętki, ze zniszczonym linoleum na podłodze. Stosując się do wskazówek Patryka, wspiął się po chwiejnych schodach na drugie piętro, gdzie znalazł się przed drzwiami, które zostały niedawno odmalowane na nie obowiązujący czarny kolor. Widniała na nich biała kartka z wypisanym atramentem słowem „Walsh”. Henryk poruszył mosiężną kołatką w kształcie zaciśniętej pięści. Wydała głuchy, donośny dźwięk.

Natychmiast rozległy się człapiące kroki, drzwi otworzyły się i Patryk Walsh powiedział:

— Wejdz, chłopcze, wejdz.

Patryk w czerwonej piżamie, czarnym kąpielowym szlafroku i starych pantoflach z wielbłądziej sierści wydawał się wyższy i jeszcze bardziej zaniedbany niż przedtem. Wprowadził Henryka do mieszkania, które składało się w większości z ogromnej pracowni. Inspektor pomyślał, że jest to kwintesencja tego, jak powinno wyglądać mieszkanie artysty, i poczuł się nagle bardzo mały. Zdał sobie sprawę, że jego własny gust w urządzeniu wnętrza — którym lubił się szczycić — był sztucznym tworem mentalności klasy średniej pobudzonej przez magazyny ilustrowane i reklamy. Znajdował się teraz w mieszkaniu, które urządził ktoś, kto polegał wyłącznie na własnych sędach, bez względu na konsekwencje. I nie dbał o rezultaty. W gorzkim momencie samoobjawienia Henryk przyznał, że gdyby on zrobił to samo, rezultat byłby katastrofalny. Tutaj święcił triumfy.

Ogromny pokój był cały wybielony, tylko wokół okien i we wnękach odznaczały się kapryśne kolorowe plamy — pomarańczowe, ciemnoczerwone, bladoniebieskie. Wyglądało to niewiarygodnie niechlujnie, ale nawet ten bałagan był w jakiś sposób piękny. Małe florentyńskie brązy stały obok nowoczesnych afrykańskich rzeźb w drzewie i peruwiańskich glinianych figurek. Na ciężkim wiejskim dębowym stole zrobiono miejsce wśród książek i rysunków dla jednej złotej chryzantemy w kamiennej wazie, na sztalugach pod oknem stał śmiały, stylizowany szkic kwiatu, namalowany jaskrawą olejną farbą. Na poplamionej drewnianej podłodze rozłożone były dwa perskie ciemnoczerwone modlitewne dywaniki, norweski czarno-biały tkania

dywan ludowy i kilka zwykłych kokosowych mat. Jedno okno nie miało zasłon, na drugim zwisała draperia z pomarańczowego jedwabiu. Na ścianach widniało parę rysunków postaci, prawdopodobnie dzieła Patryka, mała bizantyńska ikona jaśniejąca kolorowymi klejnociami i wyjątkowo efektowny plakat reklamujący francuskie koleje. W pokoju powinien by panować straszliwy bałagan, ale nie panował. Wszystkie te przedmioty, właściwie niedobre, łączył gust ich właściciela, stapiając je w przyjemną całość.

Patryk usiadł na wiktoriańskim, obitym jakąś tkaniną krzeselku, wskazał Henrykowi wygodną kanapę, poprawił ogień na kominku i spytał:

— Napije się pan czegoś?

— Dziękuję, z przyjemnością.

Patryk nie dał mu do wyboru różnych alkoholi, lecz nalał hojnie dwie porcje irlandzkiej whisky do grubych szklanek. Wypił swoją duszkiem, napełnił ją powtórnie i spytał:

— No i co?

— Helena telefonowała do pana wieczorem w przeddzień śmierci — powiedział Henryk.

Patryk miał minę nie wróżącą nic dobrego.

— No to co, jeśli telefonowała? Czy to prawnie zabronione?

— Dlaczego mi pan o tym nie powiedział?

— Pan nie pytał. Pytał pan, czy ją widziałem, a ja odpowiedziałem, że nie.

— Jednakże życie jest łatwiejsze, jeśli ludzie dobrowolnie udzielają czasem informacji. Co panu powiedziała?

— Nic szczególnego. To była towarzyska rozmowa.

Henryk wyjął notes i przerzucał go z namysłem. Bezbarwnym głosem przeczytał:

— „Doktor mówi, że to zupełnie pewne. Nie wiem, co zrobię. On jej nigdy nie porzuci, wiesz przecież o tym. Naprawdę chciałabym nie żyć”.

Cisza, jaka zaległa, była ciężka jak ołów. Potem Patryk powiedział:

— Przypuszczam, że ta przeklęta Olwen musiała...

— Panna Pippet bardzo słusznie powiedziała mi, co podsłuchiwała...

— Bardzo słusznie! — roześmiał się ironicznie Patryk. — Nie sądzę, żeby Olwen zrobiła w swoim krótkim życiu coś, co nie byłoby bardzo słuszne. To całe jej zmartwienie.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, Henryk ciągnął:

— Nie myślę, żeby kłamała, ale nigdy nie wiadomo. Jeśli powie mi pan dokładnie, co panna Pankhurst powiedziała panu...

Patryk podniósł głowę. Twarz jego wydawała się starsza, bardziej pobrużdżona, niż dotychczas

— Mówił mi pan, że Helena została zamordowana. Ja w to wątpię. Sądzę, że ta miła dziewczyna odebrała sobie życie, bo miała... kłopoty. Jeśli to zrobiła, nie ma potrzeby wyjaśniać panu, jakie to były kłopoty. Jeśli ją ktoś zamordował, to nie mogło to mieć żadnego związku z tą właśnie sytuacją. W tych okolicznościach nie widzę możliwego usprawiedliwienia, żeby to publicznie ujawniać.

— Powiedzenie mnie nie jest jeszcze publicznym ujawnieniem.

— Nie? — Patryk popatrzył na niego kąpiąco. — Śmiałym w to wątpić, panie inspektorze. Czy nie może mi pan uwierzyć, że idzie

pan w złym kierunku, i dać temu spokój? Powinien pan trochę się rozejrzeć.

— Gdzie?

— Nie wiem — odparł Patryk, zbity z tropu. — Jeżeli ktoś zabił Helenę, musiał mieć jakiś powód. Ale ja, nic o tym nie wiem. Przyszedł pan po informacje w niewłaściwe miejsce.

— A dokąd, pańskim zdaniem, powinienem po nie pójść?

— Skąd mam wiedzieć? To pańska rzecz. — Patryka znowu ogarniała złość.

— Panie Walsh, czy pan nie może zrozumieć, że ja po prostu próbuję dociec prawdy? Nie lubię wścibiać nosa w prywatne sprawy ludzi, ale póki pan będzie robił taką, tajemnicę z prywatnego życia Heleny, muszę prowadzić to dochodzenie, bo ta tajemnica może mieć związek z jej śmiercią. Jeżeli nie ma, może pan być pewny, że cokolwiek mi pan powie, pozostanie między nami.

Wśród ciszy, która nastąpiła po tych słowach, Patryk napełnił znowu obie szklanki. Potem powiedział:

— Przekonał mnie pan, inspektorze. Gdybym tylko mógł panu wierzyć.

— Niech pan uwierzy, proszę.

Patryk zastanawiał się chwilę, a potem się zdecydował.

— Dobrze — powiedział. — Chyba stary dureń ze mnie, ale powiem panu wszystko, co wiem. To zresztą diabelnie mało.

Henryk czekał pełen nadziei. Patryk pociągnął długi łyk ze swojej szklanki i mówił dalej:

— Helena była zakochana. Niech mnie pan nie pyta w kim, bo tego mi nigdy nie powiedziała, a ja nie pytałem. Przedstawiła po prostu sytuację nie wymieniając żadnych nazwisk — a sytuacja była diabelnie trudna dla biednej dziewczyny. Okazuje się, że mężczyzna —

nazwijmy go X — miał żonę, z którą był związany nie tylko więzami wierności, ale i względami towarzyskimi i materialnymi. Obiecywał Helenie, że jak tylko będzie mógł, rozwiedzie się z żoną i ożeni z nią. Na razie cała sprawa miała pozostać w tajemnicy. Helenie się to nie podobało, ale co miała robić? Musiała pogodzić się z tym stanem rzeczy. Parę miesięcy temu jednakże powstała nowa, straszna komplikacja. Helena zaczęła się poważnie niepokoić o zdrowie X. Była córką lekarza i znała się na chorobach. Namawiała go, żeby poszedł z nią do doktora, nie mówiąc nic żonie. Następnie porozmawiała prywatnie z doktorem, który oczywiście myślał, że jest ona żoną X, i uzgodnił z nią, że gdy wyniki różnych badań będą gotowe, powie jej nawet najgorszą prawdę, ale nie przekaże żadnej złej wiadomości choremu.

Helena wiedziała, że upłynie kilka tygodni, zanim zapadnie werdykt. Nic dziwnego, że dziewczyna była zdenerwowana. W dniu, w którym umarła, otrzymała wiadomość. Kiedy zatelefonowała do mnie, wróciła właśnie z potajemnej wizyty u lekarza. Powiedział jej, że X ma złośliwy nowotwór i najwyżej rok życia przed sobą. Sam X naturalnie nie wiedział o tym i przypuszczam, że nie wie nadal.

Kiedy zadzwoniła do mnie i powiedziała mi to, była w rozpacz. Wszystkie jej marzenia i nadzieje na przyszłość rozwiały się. Pozostawał tylko rok, a ona chciała spędzić ten rok z nim. Rozwód nie miał już znaczenia, byle mogli być razem. Była jednak zdecydowana oszczędzić mu straszliwej prawdy, a wiedziała, że póki to będzie robiła, on nigdy nie porzuci żony. Czy jasne jest teraz to, co podsłuchiła

Olwen? I czy dziwi się pan, że Helena popełniła samobójstwo?

Zaległo długie milczenie. Potem Henryk powiedział:

— Czy pan naprawdę nie wie, kim jest X?

— Nie wiem — odrzekł stanowczo Patryk.

— Dlaczego tak panu zależało, bym się nie dowiedział o Helenie i Michale Healy?

— Nie zależało mi. Ja... — Urwał i popatrzył na Henryka z prawdziwą antypatią. — Próbuje mnie pan złapać. Wiedziałem, że nie powinienem być panu ufać.

— Nie próbuję pana łapać — odrzekł z cierpliwością Henryk. — Zadaję panu pytanie. Wszyscy inni z prawdziwą przyjemnością opowiadali mi o tej parze. Pan jeden...

— Kto opowiadał? — Patryk był wściekły. — Pewnie Olwen?

— Nie tylko. Panna French i pan Goring, nawet panna Masters i sam pan Healy. Ten ostatni nie zaprzeczył temu.

— Ach — westchnął Patryk — teraz, gdy ona nie żyje, uważają, że nie ma sensu...

— Pan wie bardzo dobrze, że X to Michał Healy?

— Nigdy mi tego nie powiedziała — powtórzył z uporem Patryk. — Oczywiście kursowały plotki. To wina Olwen. Mogła to być prawda i mogła nie być. To wszystko, co mam do powiedzenia.

— Rozumiem. — Henryk zamyślił się. Przypomniawszy sobie wychudłą twarz Michała Healy w ostrym blasku światła w studio, jego szaloną energię, jego gorzką ironię. Wspomniawszy, co Godfrey Goring powiedział podczas lunchu w „Oranżerii”, wspomniawszy aluzje Mikołaja Knighta, Było to tragiczne, ale nie nieprawdopodobne, że zdolny fotograf, zaledwie czterdziestoletni, mógł być skazany na śmierć — nie dowiedziawszy się oficjalnie o tym wyroku, ale może odgadując

go w skrytości ducha. Wyjaśniało to bardzo wiele. Czy to była tajemnica, którą tylu pracowników „Mody” starało się ukryć? Może fakt choroby Michała znany był i innym poza Patrykiem? Helena nie żyje, ale Michał był lubiany i żył jeszcze, i jego przyjaciele mogli się obawiać, że dochodzenie Henryka odkryje przed nim prawdę w sposób brutalny.

Henryk zadawał sobie pytanie, co by zrobił w ich sytuacji. Byli to ludzie inteligentni. Wiedzieli, że romans z Michałem nie może utrzymać się w tajemnicy, bo Olwen bardzo pragnęła informować o nim, kogo się da. Lepiej więc wspomnieć o tej sprawie od razu, kłaść na nią nacisk, ale podawać ją jako niefrasobliwy kaprys; ukrywać zaś za wszelką cenę jej tragiczny aspekt. Wszystko to miało sens — z wyjątkiem niektórych uparcie narzucających się faktów. A fakty, upominał sam siebie Henryk, były jego domeną. Fakty, nie domysły.

— Ma pan klucz do gmachu „Mody”? — spytał Walsh.

— No to co z tego, że mam?

— Nic. Chciałem tylko sprawdzić. Czy często pracuje pan późno w nocy?

Patryk roześmiał się.

— Ja nie. Jestem na to za sprytny i za stary. Oczywiście dwa razy do roku są te mordercze paryskie noce, ale poza tym staram się wychodzić o czasie. Mam swoją pracę, widzi pan. — Gestem wskazał pokój. — Czy myśli pan, że z przyjemnością robię makiety dla magazynu mody, kiedy powinienem malować?

— Tak— odrzekł, z uśmiechem Henryk. — Jestem pewny, że robi to pan z przyjemnością.

Patryk roześmiał się głośno.

— Ma pan oczywiście rację. Niech pan jeszcze napije się whisky.

Pewnie, że to lubię, bo inaczej bym tego nie robił. Ale to nie jest moja prawdziwa praca i wiem o tym. Jestem prostytutką, oto, czym jestem. Biedną, cholerną kurwą pracującą ciężko na Earl Street. Jedyna pociecha, że dobrze mi płacą.

— Tego jestem pewny. Zostawiam już teraz pana w spokoju. Dziękuję za whisky i za to, że pan był ze mną szczery.

— Już tego żałuję. Nie powinienem był...

Henryk wstał.

— Jeszcze tylko jedno pytanie. Dlaczego Helena nie powiedziała panu, kto to jest X?

— Dlaczego? — Patryk, który już się podnosił, opadł na krzesło, zaskoczony. Potem wyprostował się i powiedział:

— Nazywam to pytaniem ściśle metafizycznym. Pytaniem opartym na czysto filozoficznych i psychologicznych domysłach. Skąd, u diabła, mam wiedzieć, co myślała ta biedna dziewczyna?

— Czy zastanawiał się pan nad tym?

— Przypuszczam, że bała się, że gdyby zdradziła komuś nazwisko tego mężczyzny, wiadomość o jego chorobie mogłaby do niego dotrzeć...

— Opowiadała panu na długo przedtem, zanim dowiedziała się, że jest chory — tak przynajmniej zrozumiałem.

— Czułem się dumny i zaszczycony, że mówiła mi cokolwiek. — Patryk wyprostował się z nieomal patrycjuszowską godnością w swoim kąpielowym szlafroku. — Nigdy nie zadawałem pytań, nawet sobie w myśli.

— Czy pan jest żonaty, panie Walsh? — spytał nagle Henryk.

Twarz Patryka nabiegła krwią.

— Nie!

— A czy pan był kiedyś żonaty? — Zaległo pełne wahania milczenie. — Mogę to sprawdzić dosyć łatwo w archiwum w Somerset House.

Patryk był wyraźnie niespokojny. W końcu błagalnym głosem, z przesadnym irlandzkim akcentem powiedział:

— Drogi inspektorze, nie zechce pan chyba sprawić kłopotu niewinnemu człowiekowi, który mógł w młodości popełnić głupstwo, jak inni? Czy da mi pan słowo, że jeśli odpowiem panu na to pytanie, to na tym się skończy?

— To zależy, czy to ma jakiś związek z naszą sprawą.

— Nie ma żadnego. Absolutnie żadnego.

— To ja osądzę. No, niech mi pan powie.

Patryk pochylił się i dorzucił następną kłodę do ognia.

— To wszystko było tak dawno — powiedział. — Małżeństwo zbiegów z rodzinnych domów. Ja miałem dwadzieścia jeden lat, ona dziewiętnaście. Byłem studentem sztuk pięknych, bez grosza, a ona pochodziła ze znakomitej rodziny i przygotowywała się do egzaminu z literatury. Oczywiście było to szaleństwo i każdy mógł nam to powiedzieć. Dużo ludzi mówiło istotnie, ale myśmy nie słuchali. Pierwszy rok był cudowny, gdy jeszcze oboje studiowaliśmy. Potem zaczęły się kłopoty. Ona była ambitna jak szatan — zawsze taka była. Marzyła o wielkiej karierze dla siebie i dla mnie. A ja chciałem mieszkać na mansardzie i malować. Zaczęły się coraz częstsze kłótnie i po trzech latach porzuciła mnie. To wszystko.

— Czy pan przeprowadził rozwód?

— Oczywiście, że nie odparł krótko Patryk. — Oboje jesteśmy katolikami.

— A kiedy spotkał się pan z nią znowu?

Patryk rzucił się na Henryka wściekły.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Nigdy nie mówiłem, że...

— Gdyby pan naprawdę utracił z nią kontakt, powiedziałby mi pan bez ceregieli o tym małżeństwie. — Zaległo gniewne milczenie.

— Jeśli chce pan wiedzieć, co myślę — ciągnął Henryk — powiem panu. Myślę, że pańską żoną jest panna Margery French, znakomity redaktor naczelny magazynu „Moda”.

Patryk obrzucił go spojrzeniem pełnym uznania.

— Na litość boską, niech pan nie mówi o tym nikomu.

— Dlaczego? — spytał Henryk. — Co to szkodzi, gdyby ktoś wiedział?

— Nie zrozumieliby tego.

— Jak długo żona pana pracuje w „Modzie”?

— Trzydzieści pięć lat. Krótco po tym, jak mnie opuściła, dostała tu swoją pierwszą posadę jako sekretarka.

— A pan?

— Ja wszedłem do tego zespołu przed trzema laty — wyjaśnił Patryk. Unikał starannie oczu Henryka.

— Otrzymał pan niewątpliwie pracę dzięki protekcji żony?

— Nic podobnego! Jeżeli pan myśli, że Margery zaangażowałaby kogoś, gdyby nie uważała go za odpowiedniego do danej pracy...

— A co pan robił przez te trzydzieści dwa lata?

Patryk rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Malowałem.

— Z powodzeniem?

— Nie.

— Był pan więc chyba zadowolony otrzymawszy zajęcie w „Modzie”? — zauważył Henryk.

Patryk obrócił się gwałtownie.

— Niech się pan wynosi! — krzyknął. — Niech się pan wynosi i więcej nie przychodzi! I niech pan trzyma głowę na kłódkę, bo skręcę panu kark!

Henryk popatrzył na niego ze szczerym współczuciem

— Ciekawość jest, niestety, obowiązującą cechą w mojej pracy — wyjaśnił. — Niech mi pan wierzy, że nie sprawia mi to przyjemności, i jestem w rozsądny sposób dyskretny, chyba że jakiś fakt ma związek ze sprawą, którą się interesuję. Dziękuję za whisky. Wyjdę sam.

Zbiegł po schodach i wyszedł na zamglony plac. Gdy jechał wolno do domu, w jego mózgu kłębiło się wiele pytań, a najbardziej natargywie narzucało się jedno: na ile można wierzyć w to, co powiedział mu Patryk? Uparcie powracała myśl, że gdyby zlekceważyć historię o chorobie, która łatwo mogła być wymysłem, to Patryk pasował doskonale do roli X.

Rozdział IX

Nazajutrz rano rozpoczął się od przesłuchania w sądzie. Henryk zdecydował, że odbędzie się to jak najmniej oficjalnie i jak najkrócej. Z wyjątkiem Margery French, która chętnie zgodziła się złożyć zeznanie w sprawie identyfikacji zwłok, i Alfa Samsona, nie zjawili się nikt inny poza świadkami z policji i garstką reporterów kryminalnych, z których większość Henryk znał i witał po imieniu.

Na szczęście trwało to wszystko krótko. Margery stwierdziła, że zwłoki są zwłokami Heleny, i pospieszyła do stojącej taksówki, by pojechać do biura. Alf opisał, jak znalazł zwłoki. Lekarz złożył swoje

oświadczenie ponurym, niechętnym głosem. Sam Henryk powiedział, że śledztwo policyjne jest w toku, ale nie osiągnęło jeszcze zadowalających wyników i wymaga przedłużenia. Jedynym konstruktywnym momentem, który zakończył to wszystko, było oświadczenie Henryka, że ponieważ nie ma wątpliwości ani dyskusji co do przyczyny śmierci denatki, policja jest gotowa zezwolić na pogrzeb. Koroner uprzejmie podpisał to oświadczenie i odroczył dalsze postępowanie. Wszystko zajęło równe dwadzieścia minut i o dziesiątej Henryk był już w gmachu „Mody”.

Przynajmniej na pozór wydawało się, że praca nad magazynem odbywa się znów w normalnym rytmie. Modelki, gońcy i sekretarki biegali po korytarzach, maszyny do pisania klekotały hałaśliwie i słychać było, jak Patryk pokrzykuje wesoło na Donalda MacKaya.

Henryk nie wszedł do swojej nory, lecz ruszył prosto do pokoju Olwen Pipper. Siedziała przy biurku zawalonym recenzjami i ozdobionym zaproszeniami na pokazy filmowe i wystawy sztuki.

Rozmawiała właśnie z kimś przez telefon, gdy Henryk wszedł. Uśmiechnęła się do niego szybko i trochę nerwowo, nie przerywając rozmowy.

— Tak, proszę pana, trzecia godzina bardzo mi dogadza... Michał Healy wykona zdjęcia... tak, on jest znakomity, prawda? Uważałam, że zrobi to najlepiej. Nie, użyjemy oświetlenia jak na scenie. Rozmawiałam o tym z panem Deanem. Potrzebny jest nam tylko pan w charakteryzacji z drugiego aktu... tak, drugiego... Naprawdę... jestem pewna... Naturalnie, mam nadzieję, że to będzie cała strona, ale nie mogę obiecać... Wie pan, jacy są redaktorzy graficzni... O, panie Hartley.

Nie chciałabym oczywiście, by pan tracił czas, wiem, jaki pan jest zajęty... Niech się pan nie martwi, myślę, że prawie na pewno mogę obiecać panu pełną stronę... tak... Duże zdjęcie z bliska, naturalnie... tak... i w charakteryzacji z drugiego aktu?... O, jak miło... Wysoko to sobie cenię... Do trzeciej zatem.... Do widzenia.

Położyła słuchawkę, spojrzała na Henryka i skrzywiła się.

— Aktorzy! — powiedziała ze straszliwą pogardą. — Wszyscy tacy sami. Myślałam, że John Hartley jest wyższy ponad takie rzeczy. Zupełnie nie umiem z nimi postępować, zawsze popełnię jakąś gafę. Przez jeden okropny moment myślałam, że odmówi i nie pozwoli nam się sfotografować.

— Dostanie całą stronę? — spytał Henryk.

— Bóg raczy wiedzieć. Wszystko zależy od Ciotuni. Będę musiała o to powalczyć, to pewne. A jeśli mi się nie uda, Hartley znienawidzi mnie na zawsze.

— Czy mogę usiąść na chwilę? — spytał Henryk.

Olwen zaczerwieniła się i zerwała się z krzesła zawstydzona.

— Och, przepraszam, panie inspektorze. Oczywiście. Niech pan siądzie tutaj.

— Doskonale mi tu — powiedział Henryk przysuwając do biurka krzesło z prostym oparciem. — Przepraszam, że przeszkadzam pani w pracy.

— Jestem zawsze zajęta — odparła z prostotą Olwen. — Siedzę tu od siódmej i poprawiam korekty. TI mam jeszcze dwa pokazy filmowe, i umówiony lunch przed spotkaniem z Hartleyem po południu.

— Załatwię moją sprawę, jak się da najkrócej. Chciałbym znać nazwisko lekarza Heleny.

— Jej lekarza? Och, myśli pan o...

— Pomyliła się pani co do Heleny. Ona nie była w ciąży.

— Nie była? — Olwen wydawała się zaskoczona. — Więc co to znaczyło? To, co podsłuchałam?

— Nie wiem. Dlatego chcę zobaczyć się z jej lekarzem. Może on będzie mógł mi pomóc.

— Helena prawie nigdy nie chorowała — powiedziała Olwen. — Byłyśmy obie zarejestrowane u doktora Markhama na Onslow Street, ale nie odwiedzała go chyba od bardzo dawna. Z pewnością nie poszłaby do niego w sprawie...

— Powiedziałem pani, że Helena nie była w ciąży.

— Ależ nie ma innego wytłumaczenia...

— Jest i zamierzam dowiedzieć się, jakie — powiedział Henryk. Zanotował nazwisko i adres doktora. — Dziękuję pani bardzo. To na razie wszystko. — Wstał. — Cieszę się — dodał — że widzę panią w pogodniejszym stanie ducha.

— Uznałam, że przygnębienie na nic się nie zda — odparła żywo Olwen. — Helena nie żyje i nic jej nie wskrzesi. Napisałam do jej siostry w Australii i dałam ogłoszenie, że poszukuję współlokatorki. Nic więcej nie mogę zrobić.

— Nie sądzi pani, że lepiej byłoby przenieść się gdzie indziej? To znaczy...

— To dobre mieszkanie i niezbyt wysokie komorne — odrzekła Olwen. — Nie znajdę nigdzie nic podobnego za tę sumę. — Wstała, energiczna, stanowcza osóbką, i włożyła płaszcz. — Przepraszam. Naprawdę muszę już iść, bo się spóźnię.

Henryk wracając do swego pokoju rozmyślał o Olwen Pipper. Jej

gwałtowny wybuch w środę kontrastował dziwnie z rozsądnym, spokojnym zachowaniem w dniu dzisiejszym. Czy odezwały się głęboko zakorzenione narodowe cechy, czy był to brak serca? Czy łyzy i prawie histeria były szczerze, czy udane? Nie mógł osądzić tego z całą pewnością.

Biurko w jego pokoju zostało wytarte z kurzu i uporządkowane, czysty biały arkusz włożono do bibularza. Leżała na nim koperta zaadresowana do niego. Na zamieszczonej wewnątrz kartce z nadrukiem „Mody” widniały wypisane na maszynie słowa:

„Szanowny Panie Inspektorze. Czy mogę zobaczyć się z Panem jak najprędzej w sprawie, która może być ważna? Rachela Field”.

Wykręcił numer pokoju redaktora naczelnego.

— Gabinet panny French... A, inspektor Tibbett. Nareszcie. Nie było tu pana wczoraj. — W głosie panny Field brzmiała nagana.

— Przepraszam — powiedział Henryk. — Miałem coś innego jeszcze do załatwienia.

— Próbuję od wczoraj skontaktować się z panem — mówiła panna Field tonem oskarżycielskim. — Mam panu coś bardzo ważnego do powiedzenia.

— Niech pani przyjdzie do mnie.

— Dobrze, panie inspektorze.

Choć miał pokusę okazania swojej wszechwiedzy wyjawiając, że wie już, co panna Field ma mu do powiedzenia, postanowił tego nie robić. Nie chciał, żeby Weronika została wmieszana w tę sprawę bardziej, niż to było naprawdę potrzebne. Zrobił bardzo zdziwioną minę, kiedy Rachela Field powiedziała:

- Pani« inspektorze, mój klucz od gmachu został skradziony.
- Skradziony? Jest pani pewna, że go pani nie zgubiła?
- Jestem pewna. Był na pewno w mojej torebce we wtorek, kiedy wróciłam z Paryża. Noszę go na tym samym kółku co klucze od domu. — Wyjęła z czarnej torebki zgrabne kółko do kluczy. — Widzi pan? Trzeba otworzyć kółko, żeby zdjąć klucz. Te inne zostały na nim.
- Kiedy zauważyła pani brak tamtego klucza?
- Wczoraj rano, kiedy panna Connolly poprosiła, żebym go jej pożyczyła.
- I jest pani pewna, że miała go pani we wtorek wieczorem?
- Zupełnie pewna. Drzwi frontowe były już zamknięte, kiedy przyjechaliśmy z lotniska, i otworzyłam je moim kluczem.
- Czy ktoś miał okazję, by ukraść go z pani torebki we wtorek wieczorem?
- Panna Field zmieszana się.
- Tak — odpowiedziała.
- Kiedy?
- Ja... ja zawsze stawiam torebkę na podłodze przy biurku, gdy pracuję...
- Właśnie. A mówiono mi, że przez cały wieczór nie wychodziła pani ani razu z pokoju. Czy nie sądzi pani, że klucz mógł zostać zabrany później... na przykład w mieszkaniu pana Goringa?
- Rachela Field wyglądała na zaskoczoną.
- U pana Goringa... o nie! Na pewno nie.
- Chwileczkę, proszę pani — przerwał Henryk. Otworzył swój

notes i zaczął szukać czegoś wśród poprzednich notatek. Rachela przyglądała mu się z pogardą, jaką odczuwa szybki, sprawny pracownik w stosunku do powolnego i niezdarneho.

Podniósłszy wzrok Henryk rzekł:

— Kiedy rozmawiałem z panem Barrym, powiedział mi, że jak wyjeżdżał z Brompton Street — Henryk zerknął do notesu i przeczytał głośno: — „panna Field poszła po swoje rzeczy”. Jakie rzeczy, proszę pani?

— Płaszcz i rękawiczki. Były w hallu.

— A pani torebki tam nie było?

— Oczywiście, że nie. Miałam ją przy sobie.

— Rozumiem. Ale mówi pani, że ktoś mógł próbować otworzyć ją wcześniej.

— Tak. — Przynajmniej raz Rachela okazała wahanie. — To nie prawda, że nie wychodziłam z mego pokoju. Wyszłam na jakieś dziesięć minut, krótko po pierwszej.

— Dokąd?

— Poszłam najpierw do działu graficznego. Siedział tam tylko pan Walsh. Spytałam go, czy nie wie, gdzie jest panna French, bo chciałam zapytać ją o coś w związku z tym, co akurat przepisywałam. Powiedział, że jest w ciemni. Otworzyłam więc drzwi do ciemni, gdzie stał... ten... ten... termos, wie pan? — Henryk skinął głową. Rachela mówiła dalej: — Byli tam panna French, pan Healy, panna Masters i Donald MacKay — oglądali odbitki wyjmowane z kąpeli. Nie chciałam im przeszkadzać, to, o co pragnęłam zapytać, nie było tak ważne, zdecydowałam, że można z tym poczekać. Przeszłam więc przez ciemnię, wyszłam drugimi drzwiami na korytarz i poszłam do... — Rachela urwała i zaczerwieniła się.

— Dokąd? — ponaglił ją delikatnie Henryk.
— Do toalety dla pań — odpowiedziała z zażenowaniem.
— Bardzo rozsądnie — zauważył Henryk. — Skoro panna French była zajęta i na razie pani nie potrzebowała.

— Właśnie. Tak — przyświadczyła z wdzięcznością Rachela. — Potem, to znaczy, kiedy byłam tam, postanowiłam się przyczesać i wtedy uświadomiłam sobie, że zostawiłam torebkę w pokoju. Kiedy wróciłam, panna French już tam była i zaraz wzięłyśmy się do pracy. Moja torebka stała na zwykłym miejscu obok biurka. Nie potrafię powiedzieć panu, czy ktoś ją ruszał, czy nie.

— Proszę mi powiedzieć, czy te osoby w ciemni widziały panią, kiedy otworzyła pani drzwi?

— Donald mnie widział — odrzekła zdecydowanie Rachela. — Stał twarzą do drzwi i podniósł wzrok, kiedy je otworzyłam. Inni stali tyłem i byli zajęci oglądaniem zdjęć. Nie sądzę, żeby mnie widzieli.

— Czy pan MacKay mógł panią rozpoznać? Weszła pani przecież z jasno oświetlonego działu graficznego do ciemni. Widział tylko sylwetkę...

— To powinno mu było wystarczyć — odrzekła Rachela z nagłym, nieoczekiwanym błyskiem wesołości w oczach. — Moje kontury są wyraźnie inne od konturów pozostałych członków zespołu, panie inspektorze.

Henryk uśmiechnął się.

— Załóżmy więc, że panią poznał — powiedział. I poważniej dodał: — Donald MacKay był jedyną osobą w gmachu, która nie miała własnego klucza do drzwi frontowych.

— Dręczy mnie, panie inspektorze, to, dlaczego ktoś miałby brać

mój klucz. Przecież w końcu każdy z nas mógł wsypać cyjanek do termosu. Morderca nie potrzebował klucza. Czy to możliwe, że planuje on zabicie jeszcze kogoś?

— Morderca bardzo potrzebował klucza, proszę pani. On — lub ona — wsypał truciznę do termosu podczas nocnej sesji roboczej. Ale ktoś — przypuszczalnie morderca — wrócił później znowu. O wiele później. Po śmierci panny Pankhurst.

— Co? — Rachela na chwilę straciła oddech.

— Morderca wrócił dlatego — mówił Henryk spokojnie — że szukał czegoś... czegoś, co spodziewał się znaleźć w pani walizce.

— W mojej... — Rachela z kredowobiałą twarzą schwyciła rękami poręcz fotela i na chwilę przymknęła oczy. Potem otworzyła je i popatrzyła z uśmiechem na Henryka. — Przepraszam, inspektorze. Zaskożował mnie pan. Co ktoś mógł się spodziewać znaleźć w mojej walizce?

Henryk był zdumiony jej wyraźnym zmartwieniem.

— Wie pani, że walizka była przetrząsana przedwczoraj?

— Tak, ale... nie myślałam nigdy, że ktoś zabił Helenę po to, żeby zabrać coś z mojej walizki...

— Na to wygląda — powiedział Henryk. — A fakt, że pani klucz został skradziony, zawęźa pole działania Proszę, niech pani teraz skupi się mocno. Wiem, że pytałem już panią o to, ale potrzebna mi ściślejsza odpowiedź. Która z osób, będących w Paryżu, mogła wsunąć jakąś drobną rzecz do pani walizki bez pani wiedzy?

Z lekkim westchnieniem Rachela odpowiedziała:

— Tylko jedna osoba, panie inspektorze. Weronika Spence. Kiedy teraz myślę o tym, przypominam sobie, że ani panna Masters, ani

pan Healy nie wchodzili wcale do mego pokoju, a walizka, była prawie pusta, kiedy zaczęłam się pakować. Ale Weronika wchodziła i wychodziła cały czas, i zostawiłam ją w pokoju samą, kiedy panna Masters zawołała mnie w trakcie pakowania.

Henryk poczuł nagle lodowaty chłód. Absurdem było łączyć Weronikę z jakąkolwiek działalnością przestępczą, ale przeraziła go myśl, że mogła zostać wciągnięta, nie zdając sobie z tego sprawy, w coś pozostającego w niezgodzie z prawem, w coś prowadzącego do zbrodni.

— Dziękuję pani — powiedział. — Okazała się pani bardzo pomocna. Chyba nie potrzebuję prosić panią o zatrzymanie pewnych faktów przy sobie, tego, że morderca wrócił później i tak dalej.

— Oczywiście, panie inspektorze. Cenię sobie bardzo pana zaufanie.

Jeszcze nim drzwi zamknęły się za nią, ręka Henryka była na telefonie. Wydawało mu się, że powinien natychmiast porozmawiać ze swoją siostrzenicą. Wykręcił numer pokoju modelek i poprosił do telefonu Beth Connolly.

— Weronika? — W głosie Beth brzmiała lekka irytacja. — Nie, ona dziś dla nas nie pracuje... Tak, mogę... Nie, poszła do przymiarki u Mikołaja Knighta. Będzie prezentowała jego nową kolekcję w przyszłym tygodniu... Bardzo pana przepraszam, inspektorze. Taki chaos panuje od rana.

— Przepraszam, że panią niepokoję — powiedział Henryk. — Spróbuję poszukać Weroniki u Mikołaja Knighta.

Telefon w salonie pokazowym Knighta odebrała spokojnie blondynka, uprzejma, lecz stanowcza.

— Niestety, nie mogę połączyć pana dzisiaj z pracownią. Mamy

próbę, generalną. Wszyscy są strasznie zajęci. Weronika Spence? Jedna z modelek? O nie... zupełnie wykluczone. Przepraszam.

— Czy nie może pani przynajmniej powiedzieć mi, kiedy będzie wolna, i przekazać jej wiadomość ode mnie? — spytał Henryk. Nie chciał wymienić magicznego słowa „Scotland Yard”, żeby wedrzeć się do pracowni. Widział już ten pokój w dzień spokojny. Myśl o tym, jak on wygląda, kiedy „wszyscy są strasznie zajęci”, wystarczała, żeby cofnął się najmocniejszy człowiek.

Blondynka powiedziała z ociąganiem:

— Będzie mogła wyjść na lunch około pierwszej, ale na pewno nie mogę obiecać.

— Mówi jej wuj Henryk. Proszę jej przekazać, że pójdę na lunch do „Oranżerii”, i chciałbym, żeby zjadła go ze mną. Będę tam od wpół do pierwszej do wpół do trzeciej.

Wzmianka o „Oranżerii” wywarła pewne wrażenie.

— Naturalnie, że jej powtórzę. Z przyjemnością — rzekła wylewnie blondynka. Najwidoczniej wyobraziła sobie Henryka jako zamożnego wujaszka, a Weronikę jako przyszłą klientkę. Nigdy dziś nie wiadomo, kim są modelki.

— Dziękuję pani — powiedział Henryk i rozłączył się.

Zdawał sobie sprawę, że ma w portfelu tylko cztery i pół funta i że prawdopodobnie będzie zmuszony pożyczyć pieniądze od Weroniki, by zapłacić za lunch. Tymczasem było dopiero wpół do dwunastej i miał jeszcze do załatwienia parę spraw w biurach „Mody”. Wziął swój notes i ruszył do działu graficznego.

Patryk Walali olał tyłem do drzwi i rysował coś na rysownicy. Kiedy drzwi się otworzyły, powiedział głośno, nie odwracając się:

— Nie umiecie czytać? Proszę wyjść. Nikomu nie wolno tu wchodzić.

Donald MacKay, który pod oknem kleił makiety, podniósł wzrok i uśmiechnął się nieśmiało do Henryka.

— Dzień dobry, inspektorze! — powitał go.

— O, to znowu pan! — wykrzyknął Patryk, wciąż się nie odwracając. — Czego pan chce? Jesteśmy zajęci.

— Chcę, byście panowie cofnęli się myślami do wtorkowego wieczoru, jeśli można. — Popatrzył na Donalda. — Panie MacKay, mówił pan, że Rachel Field nie wyszła przez cały czas ani razu z gabinetu panny French. Jeśli się pan zastanowi, zapewne uświadomi pan sobie, że się pan pomylił.

Donald zastanowił się chwilę.

— W pewnym momencie — powiedział — byliśmy wszyscy w ciemni. Drzwi się wtedy nagle otworzyły i zaraz znowu zamknęły. Miałem wrażenie, że to była Rachel, ale zobaczyła, że pracujemy, i wycofała się.

— Ona mówi, że przeszła przez ciemnię i wyszła drugimi drzwiami na korytarz i do toalety dla pań.

— Jestem pewien, że nie — powiedział Donald.

W głosie jego brzmiało zdenerwowanie.

— A jakie pan odniósł wrażenie, panie Walsh? — spytał Henryk.

Nie podnosząc wzroku Patryk odpowiedział:

— Czy pan naprawdę myśli, że spędziłem ten pracowity wieczór nad numerem paryskim, troszcząc się o to, czy Rachel poszła wydać pensa w toalecie, czy nie? Ja mam robotę, człowieku. — Po chwili dodał: — Weszła tu istotnie raz. Spytała mnie, gdzie jest Margery. Powiedziałem, że w ciemni.

— I co wtedy zrobiła?

— Sądzę, że wyszła. Nie zauważyłem.
— Którymi drzwiami?
— Mówię panu, że nie mam pojęcia. Pracowałem dalej, a ona znikła taktownie, jak zawsze.

Henryk zwrócił się do Donalda:

— Panna Field jest pewna, że widział ją pan i rozpoznał.
— Mówiłem panu, że tak było. Ale ona tylko wetknęła głowę w drzwi i wróciła do siebie. Na Boga, inspektorze... — Donald był zirytowany i trochę ubawiony. — Dlaczego miałbym panu kłamać? Co to ma za znaczenie?

— Bardzo duże — odpowiedział Henryk. — To znaczy... dla kogoś, kto chciał zdobyć klucz od gmachu „Mody”, ważny był fakt, że pokój panny Field jest pusty, a jej torebka nie pilnowana.

Donald zbladł, potem zaczerwienił się, a gdy przemówił, był naprawdę zły.

— Jeśli pan coś implikuje, to wierutne kłamstwo.

— Interesuje mnie, co pan robił potem, gdy panna Field zajrzała do ciemni?

Z niewyraźną miną Donald odpowiedział:

— Chyba przyszedłem tutaj. Nie pamiętam dobrze.

— A inni pozostali nadal w ciemni?

— No... tak.

— A przyszedłszy tutaj, nie wszedł pan do gabinetu naczelnego redaktora, wiedząc, że nikogo tam nie ma?

— Na pewno nie. Prawda, Patryku?

— Nie pytaj mnie. Nie mam zielonego pojęcia, co robiłeś.

— No, niech się pan nad tym zastanowi. Jeśli zdecyduje się pan zmienić swoją wersję, będę w moim pokoju.

Patryk powiedział spokojnie:

— Niech pan stąd wyjdzie i nie przychodzi więcej.

— Z przyjemnością. — Henryk wrócił do swego pokoju, wykręcił numer panny Field i spytał, czy panna French może mu poświęcić parę minut.

— Jest strasznie zajęta, panie inspektorze — wyjaśniła Rachela tonem obronnym.

— Czy mogę z nią mówić?

Zanim Rachela zdążyła odpowiedzieć, odezwał się energiczny głos:

— Tu mówi French. Czym mogę panu służyć?

— Swoim cennym czasem, jeśli można.

— Oczywiście — odrzekła bez wahania. — Chwileczkę, sprawdzę tylko, z kim jestem umówiona. — Henryk usłyszał ciche szepcane, a wśród niego wyraźny głos panny Field mówiącej ostrym tonem:

— Nie, proszę pani, nie może pani tego odłożyć. To bardzo ważne.

Po chwili Margery wróciła do telefonu i spytała:

— Czy mam przyjść do pana?

— Sądzę, że tak byłoby najlepiej.

Margery weszła energicznie do małego pokoiku. Jej duże topazowe kolczyki połyskiwały pod kapeluszem przybranym futrem, ciemnobrązowy kostium i pantofle ze skóry krokodyla były jak zawsze bez zarzutu. Usiadła i spojrzała na zegarek.

— Wybacz mi pan, że będę pamiętała o czasie, prawda, inspektorze? Niestety, moje życie jest bardziej niż kiedykolwiek gorączkowe, bo wykonuję pracę Heleny i swoją własną. Czuję się tak, jakbym straciła prawą rękę.

— Rozumiem panią, postaram się streszczać. Powiedziała mi pani poprzednio, że nie interesuje się pani plotkami, i nie mam wątpliwości,

że to prawda. Jednakże teraz, gdy poznałem pracowników „Mody”, byłbym pani zobowiązany za pomoc.

— W jakim sensie? — Wyczuwało się w jej tonie, że ma się na baczności.

— Dając mi ocenę ich charakterów.

— Słucham? — Tym razem ton głosu Margery był zdecydowanie nieprzyjazny.

Henryk rozpoczął delikatnie:

— Weźmy najpierw Olwen Piper. Mam wrażenie, że jest inteligentna, ale nie bardzo taktowna; że była niezmiernie przywiązana do panny Pankhurst — prawie do granic uwielbienia, ale odznacza się twardym, silnym charakterem, dzięki czemu zniesie nawet taką tragedię, jaka się rozegrała. Myślę, że to osoba uparta i impulsywna, zdolna do czynów gwałtownych. Czy potrafiłaby lub chciała popełnić zbrodnię z premedytacją — to inna sprawa. A co pani o tym sądzi?

— Nie będę ukrywała przed panem, inspektorze, jakie to wszystko jest dla mnie wstrętne.

— Morderstwo jest rzeczą wstrętną — przyznał Henryk.

Patrzyli na siebie przez chwilę poważnie. Potem Margery powiedziała.

— No, niech pan mówi dalej.

— Czy nie uzupełni pani w jakiś sposób portretu Olwen?

— Jest idealistką — odpowiedziała Margery. Wydawało się, że z trudem dobiera słowa. — Jest tak naiwna, jak rzadko się zdarza. Nigdy nie zastanawia się na tym, czy jakieś posunięcie będzie poważne — pod względem politycznym lub innym. Idzie przed siebie i robi to, co wydaje jej się słuszne, bez względu na konsekwencje.

— Tak — powiedział Henryk. — Niebezpieczna cecha. Musi mieć sporo wrogów.

— Trudno mówić o wrogach. Irytuje ludzi, głównie dlatego, że nimi pogardza. Na przykład nie godzi się z tym, że Teresa musi od czasu do czasu opisywać jakąś suknię, która w jej przekonaniu nie zasługuje na podziw, bo fabrykant płaci tysiące za reklamy u nas. Była też okropna scena na przyjęciu po ostatnim pokazie Mikołaja Knighta, kiedy spytał Olwen, co o nim myśli, a ona odpowiedziała, że wszystko było albo ohydne, albo ukradzione z Paryża. Myślałam, że Mikołaj dostanie ataku hysterii. Nie był to może jego najlepszy pokaz, ale nie można mówić takich rzeczy. Sądzę, że w swoim najbliższym otoczeniu Olwen stara się być trochę taktowniejsza, ale wydaje mi się, że ona naprawdę nie potrafi powiedzieć aktorowi czy dramaturgowi, że jego praca jest dobra, jeśli nie jest tego zdania. To bardzo utrudnia życie. Ona jest taka... bezlitosna.

— To bardzo ciekawe. A teraz chciałbym się czegoś dowiedzieć o Teresie Masters. Lub raczej o państwu Healy.

Zaległo krótkie milczenie, a potem Margery spytała:

— Na jaki temat?

— Opowiadano mi do znudzenia, że Helena miała romans z Michałem Healy. Pani sama, jeśli pani pamięta, pierwsza zwróciła mi na to uwagę. Dlaczego?

Ostatnie słowo Henryk wypowiedział surowym tonem policjanta. Jeśli spodziewał się zastraszyć Margery French, miał się rozczarować. Uśmiechnęła się tylko lekko i rzekła:

— Ponieważ myślałam, że to pomoże panu w śledztwie, inspekto-rze. Tak się to chyba nazywa?

— Nie sądzę, by pani powiedziała mi prawdę.

Margery popatrzyła na niego spokojnie.

— Co za niezwykle stwierdzenie. Dlaczego, na litość boską, miałabym kłamać?

— Nie powiedziałem, że pani skłamała. Powiedziałem, że nie powiedziała mi pani prawdy. To znaczy, całej prawdy. Chcę teraz raz na zawsze wyświetlić stronę uczuciową w życiu Heleny, bo gmatwa ona całą sprawę. — Urwał. — Spytam bez ogródek: czy nie widziała pani od pewnego czasu, że Michał Healy jest beznadziejnie chory, właściwie umierający? Czy nie zdawała sobie pani sprawy, że podczas gdy pani, Helena, Patryk wiedzieliście o wszystkim, ani Michał, ani jego żona nie znali prawdy? Czy nie starała się pani tłumaczyć fałszywie poważnej i tragicznej sytuacji, aby zaoszczędzić cierpienia Michałowi i Teresie?

Margery French nie od razu odpowiedziała. Patrzyła na Henryka ze szczerym zdumieniem. W końcu powiedziała:

— Nie mam pojęcia, skąd pan wziął tę niezwykle historię, inspektorze, ale mogę pana zapewnić, że nie ma w niej słowa prawdy. Nie wiem nic o żadnej chorobie Michała, jest może tylko trochę przemęczony. Jeżeli ktoś szerzy bezpodstawne plotki...

— To nie jest bezpodstawna plotka. To wiadomość od samej Heleny.

— Od Heleny?

— Powiedziała o tym panu Walshowi przez telefon wieczorem w przeddzień śmierci.

Margery wyglądała tak, jakby nie rozumiała jego słów.

— Ona powiedziała...? — powtórzyła.

— Powiedziała panu Walshowi, że mężczyzna, którego kocha, ma

raka i stan jego jest beznadziejny, że on nie wie o tym, nie wie też jego żona, i że...

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Margery osunęła się na krzesło do przodu. Twarz jej zbladła śmiertelnie pod warstwą makijażu, a kapelusz zsunął się w zabawny sposób na oczy. Henryk, który mimo długiego doświadczenia nie potrafił przyzwyczaić się do widoku ludzi mdlejących w czasie przesłuchań, był nieco wstrząśnięty. Zerwał się w jednej chwili, lecz zanim zdążył się ruszyć, Margery otworzyła oczy.

— Nie... — powiedziała słabym głosem. — Nie... Nic mi nie jest. — Usiadła wyprostowana, podniosła rękę do czoła i machinalnie poprawiła kapelusz. — Może zechciałby pan przynieść mi szklankę wody z szatni, żebym mogła zażyć pigułkę? Niestety, miewam czasem takie głupie omdlenia, ale to nic groźnego.

— Naturalnie, zaraz przyniosę wodę — powiedział Henryk. Był zachwycony odwagą tej kobiety; wyczuwał siłę woli, która kazała jej się wyprostować i opanować drżenie szczupłych rąk. Z podziwem mieszała się jednak bardziej natrętna myśl — że tu właśnie jest ktoś jak najbardziej zdolny do popełnienia morderstwa, gdyby uznał to za konieczne. Pytanie tylko, czy taka inteligentna i kulturalna osoba mogłaby kiedykolwiek uznać, że ma prawo odebrać komuś życie? Na to pytanie Henryk nie znał odpowiedzi.

Kiedy wrócił ze szklanką wody, Margery siedziała sztywno wyprostowana, pudrując nos przed małym lusterkiem. Uśmiechnęła się, przeprosiła go jeszcze raz i szybko połknęła pigułkę wyjętą ze srebrnego puzdereczka. Potem powiedziała:

— Wracając do naszej rozmowy, zapewniam pana, inspektorze,

że ta historia jest nonsensem, i proszę, by jej pan nie puszczał w obieg. Może pan sobie wyobrazić, jakie by to było szkodliwe nie tylko dla Michała i Teresy, ale i dla pisma. Dlaczego Patryk to wymyślił, nie mam pojęcia, ale jak pan wie, to szalony Irlandczyk, który lubi zmyślać. Niech mi pan wierzy... znam go bardzo dobrze.

— Oczywiście, że powinna go pani znać — odrzekł z uśmiechem Henryk — choć okres trzydziestu dwóch lat to duża...

— A więc pan wie o tym? — spytała Margery, zupełnie opanowana. — Było oczywiście nieuniknione, że pan to odkryje. Mam nadzieję, że okaże się pan dyskretny. Sytuacja mogłaby stać się bardzo trudna, gdyby to doszło do ogólnej wiadomości.

— Jestem w miarę moich możliwości zawsze dyskretny. Ale interesuje mnie, dlaczego robi pani z tego tajemnicę?

Margery zawahała się.

— Będę z panem szczerą — odezwała się po chwili. — Pan Goring jest zdecydowanie przeciwny angażowaniu w jednym biurze par małżeńskich. Kiedy w ubiegłym roku jedna z pracownic z działu mody chciała wyjść za kogoś z działu reklamy, powiedziano im bez ogródek, że jedno z nich będzie musiało od nas odejść. Taka jest polityka spółki.

— A co z...

— Właśnie. Z Teresą i Michałem? To szczególnie przypadek i podejrzewam, że Godfrey nie bardzo jest z tego zadowolony, nawet w obecnej chwili. Nie chciałam stracić Teresy i tak samo zależało mi na zatrzymaniu Michała, który zaczął tworzyć rzeczy najbardziej interesujące w Londynie. Ale nawet w tej sytuacji musiałam przez blisko rok prowadzić kampanię, zanim uzyskałam zgodę pana Goringa, i nie

sądzę, by ją wyraził, gdyby nie był osobiście zaprzyjaźniony z Teresą i jej rodziną. Właśnie wygrałam, tę bitwę, kiedy powtórnie spotkałam Patryka. Krótco potem zrezygnował z pracy mój redaktor techniczny. Wiedziałam, że Patryk nadaje się doskonale do tej roboty, i wiedziałam, że potrafię z nim pracować, ale wiedziałam także, że nie mogę pójść do pana Goringa i zaproponować na to stanowisko mego męża. Więc uzgodniliśmy, że przeszłość pozostanie na razie pogrzebana.

Henryk pochylił się do przodu.

— Co rozumie pani przez słowo „na razie”? — spytał.

— Jestem bardzo przywiązana do Patryka. I zawsze byłam. Ta wielka tajemnica, inspektorze, ale gdy przejdę w marcu na emeryturę, chcemy znów zamieszkać razem. Wszyscy w „Modzie” będą przekonani, że wyszłam za niego. Nie muszą wiedzieć, że byliśmy przez cały czas małżeństwem.

— Rozumiem — powiedział Henryk. Zawahał się chwilę. — Proszę wybaczyć to, co powiem... ale przypuszczam, że pan Walsh odnosi się do tego projektu równie entuzjastycznie jak pani?

— Oczywiście — odrzekła chłodno Margery. Przez chwilę przyglądała się swoim karminowym paznokciom. — To nieobliczalny człowiek, ale ja wiem, co jest dla niego najlepsze. Będzie o wiele szczęśliwszy prowadząc zdrowe, zorganizowane życie, niż żyjąc jak zwierzę w tej swojej okropnej, pracowni.

— Na, mnie wywarła ona duże wrażenie.

Margery spojrzała na niego.

— Był pan tam?

— Tak. Wczoraj wieczorem.

— Więc wie pan, co mam na myśli?

— Tak — rzekł w zamyśleniu Henryk. I dodał: — Pan Walsh wyjątkowo lubił Helenę Pankhurst, prawda?

— W sposób czysto platoniczny — odparła nieco szorstko Marge-ry.

— O, tego jestem pewny...

Rozdział X

Punktualnie o wpół do pierwszej Henryk wszedł do „Oranżerii”. Maitre d'hotel rozpoznał go natychmiast i podszedł cały w uśmiechach. Pławiąc się niezasłużenie w blasku Goringa, Henryk doświadczył na krótko przyjemności, jaką cieszą się uprzywilejowani. Pełne szacunku ręce zdjęły z niego delikatnie płaszcz; zapalniczki pojawiły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zanim zdążył otworzyć papierosnicę; odsunięto krzesło, by mógł usiąść, błyskawicznie podana serwetka leżała rozpostarta na jego kolanach. Czując się oszustem, ale zadowolony, Henryk zamówił Martini, a potem skierował uwagę na innych obecnych w restauracji gości.

Dojrzał tylko dwie znajome twarze. Przy stoliku w rogu sali jadła lunch Olwen Pippet w towarzystwie siwowłosego mężczyzny, w którym Henryk rozpoznał znanego mu z telewizji popularnego powieściopisarza, humorystę i uczestnika quizów. Para ta pogrążona była w ożywionej rozmowie, która na wstępie toczyła się dość pogodnie, ale w dalszym jej toku Henryk zaobserwował, że wargi Olwen zaciskają się w grymasie uporu, a mężczyzna, który zaczął od żartobliwej sprzeczki, wygląda naprawdę zniecierpliwiony. Najwidoczniej bezpośredniość Olwen skłoniła ją znowu do popełnienia jakiegś

gafy. Henryk pomyślał, że pewnie przedstawiła swemu towarzyszowi własną opinię na temat jakiejś infantylnej, lecz nieszkodliwej bzdurki, w której brał ostatnio udział.

Punktualnie za kwadrans pierwsza wszedł do restauracji Godfrey Goring. Skinął głową Henrykowi, zignorował Olwen i skierował się do swego stolika, przy którym zasiadł samotnie i zatopił się w lekturze „Financial Times”.

Tuż przed pierwszą usłyszał Henryk znajome głosy dobiegające od stolika poza nim. Nie widział rozmawiających — a oni jego — za aksamitną żółtą kotarą i pomarańczowym drzewkiem w donicy, ale bez wątpliwości rozpoznał burkliwy, akcentujący silnie słowa głos Horacego Barry i cienki, nie wyróżniający się żadnym akcentem dyskant Mikołaja Knighta. Henryka zaciekał fakt, że nie weszli oni frontowymi drzwiami, które obserwował. Przypomniał sobie niewielkie schody prowadzące wprost z pracowni Knighta i doszedł do wniosku, że jest to na pewno bezpośrednia droga do restauracji.

Barry mówił z podnieceniem:

— Jestem zawsze z tobą szczerzy, prawda? — Wzburzenie złago-
dziło jego wybitnie nieangielski akcent. — Dlaczego nie jesteś równie
szczerzy ze mną? Czy za mało ci płacę?...

— Mówię ci, że nie mam pojęcia, o czym mówisz. Najmniejsze-
go. — W głosie Knighta brzmiało rozdrażnienie. — Słuchasz jakichś
plotek tych okropnych ludzi z „Mody”. Nawet Godfrey wspomniał
parę dni temu... Nie myśl, że tego nie zauważyłem...

— Nie słucham żadnych plotek. — Donośny, głęboki głos Bar-
ry'ego brzmiał zdecydowanie. — Po prostu mam otwarte oczy i uszy.

W tym momencie rozmowę ich przerwał kelner. Dwaj mężczyźni wydali zamówienie. Ale gdy tylko odszedł, Knight zaczął znowu mówić piskliwym, wzburzonym głosem.

— Kto ci powiedział? Chcę to wiedzieć. Kto naopowiadał ci tych paskudnych kłamstw? Mało tego, że mam swój pokaz w przyszłym tygodniu, że połowa materiałów jeszcze nie nadeszła, a policja wszędzie się kręci... To wystarczy, żeby dostać rozstroju nerwowego...

— Nikt mi nie powiedział — rzekł Barry.

Dał się słyszeć odgłos położonej z impetem na stole gazety lub magazynu.

— To pismo amerykańskie — powiedział spokojniej Knight — nie mające nic wspólnego z Londynem.

— Słuchaj, przyjacielu! — Barry odchrząknął i zaczął czytać: — „Czy modele paryskie są kradzione? To pytanie uparcie nasuwają powtarzające się pogłoski, że niektórzy fabrykanci produkują podejrzanie podobne kopie modeli paryskich, nie zakupionych toiles i przed terminem oficjalnie wyznaczonym dla fotografów...”

Barry przerwał czytanie i zaległo milczenie. Potem Knight powiedział:

— Co cię tak denerwuje? Mówią, że to niemożliwe, więc jesteśmy oczyszczeni z zarzutu.

— Mówią — Barry zniżył głos, tak że Henryk ledwie rozumiał słowa. — Mówią, że to niemożliwe. Ale widzisz, ja przypadkiem wiem, że to możliwe.

— Co to znaczy? — pisałą z podniecenia Knight.

— Ciszej — ostrzegł go Barry. — Nie będziemy więcej mówili o tym teraz. Chcę ci tylko powiedzieć jedno. Nie chcę żadnych skandali. Angażuję cię, wykorzystuję twoje nazwisko, więc twoja reputacja jest

reputacją firmy Barrimodes. Nie oskarżam cię. I o nic nie pytam. Mówię tylko — dość plotek, pogłosek, skandali, bo inaczej... W tym momencie Henryk dostrzegł, że zbliża się Weronika, eskortowana przez grono uśmiechniętych kelnerów, którzy zawsze wyrastali jak spod ziemi, gdy wchodziła do restauracji. Pomachała wesoło ręką i zawołała:

— Halo, wuju! Przepraszam, że się spóźniłam. Prowadzę zamiast ciebie śledztwo.

Godfrey Goring, siedzący przy narożnym stoliku, podniósł z wolna wzrok znad gazety, by obrzucić Henryka i Weronikę długim, surowym spojrzeniem. Ale twarz jego była bez wyrazu. Olwen Pippier zareagowała żywiej. Przerwała w pół zdania, odwróciła się i przyjrzała z bezwstydną ciekawością Weronice. Zaczerwieniła się mocno, a jej twarz o wydatnych szczękach przybrała wyraz trudny do określenia, lecz raczej gniewny.

Najwyraźniej nieświadoma lekkiej sensacji, jaką wywołała, Weronika opadła na krzesło i oznajmiła dźwięcznym głosem:

— Oj, umieram z głodu! Miałam piekielny ranek z tym okropnym zbzikowanym dziwakiem z góry.

Nie zważając na ostrzegawcze gesty Henryka, nasmarowała sobie kawałek chleba, ugryzła duży kęs i mówiła dalej:

— Dzieje się coś podejrzanego, wuju Henryku, zapamiętaj moje słowa. Nie wiem jeszcze dokładnie co, ale niedługo będę wiedziała.

— Weroniko — powiedział spokojnie Henryk. — Mów ciszej, na miłość boską! Tuż za tobą siedzi Knight.

— Ojej! Mikołaj Knight? Gdzie? — spytała Weronika tak samo głośno, jak mówiła przedtem. Henryk zadumał się ponuro nad

dziwnym kaprysem Natury, która w osobie siostrzenicy jego żony połączyła niezwykłą urodę z wyraźnie ograniczonym umysłem.

— Na Boga, milcz! — wyszeptał. — Zamów lunch, jedz i milcz. Porozmawiamy potem u mnie w biurze.

Weronika uśmiechnęła się.

— Dobrze — odrzekła. — Zresztą, nie miałam zamiaru mówić ci dzisiaj o tym, co, jak mi się zdaje, odkryłam, bo nie jestem jeszcze pewna, ale w przyszłym tygodniu...

— Weroniko! — powiedział surowym głosem Henryk.

Wzięła do ręki ogromną kartę i spoza niej mrugnęła do niego ukradkiem. Henryk przyjął z dużą ulgą pojawienie się kelnera, który położył kres tej rozmowie. Był również wdzięczny losowi, gdy Weronika oznajmiła, że nie jest właściwie głodna, lecz sposepniał, kiedy zaraz potem powiedziała, że chyba zamówi wędzonego łososia i suflet rumowy. Jednakże dzięki temu, że sam ograniczył się do kurczenia na zimno, odsuwając stanowczo listę win i odrzucając propozycję kawy, udało mu się wyjść z restauracji z ocalonym honorem, mając jeszcze szylinga i sześciopensówkę w kieszeni.

Znalazłszy się znów w zaciszu małego pokoiku w „Modzie”, Henryk powiedział swej siostrzenicy kilka słów prawdy. Rozwodził się chwilę nad jej ryzykanckim mieszanym się do spraw kryminalnych, brakiem taktu równoznacznym z głupotą i najprawdopodobniej niemiłymi konsekwencjami, jakie mogą z tego wyniknąć, jeżeli będzie nadal tak postępowała. Zażądał, by od tej chwili zaprzestała uprawiania na własną rękę jakiegokolwiek śledztwa, i zakazał jej uczestnictwa w pokazie Mikołaja Knighta. Zapytał ją też parę razy, jak wyobraża sobie reakcję własnej matki na jej postępowanie.

Weronika słuchała skruszona, ze spuszczonej oczami.

Kiedy Henryk zamilkł dla zaczerpnięcia oddechu, powiedziała skromnie, że bardzo jej przykro, iż tak głupio postępowała, i więcej tego nie zrobi. Zgodziła się ulegle na wszystkie sugestie Henryka, za nic jednak nie chciała zrezygnować z udziału w pokazie Mikołaja.

— Wszystkie stroje zostały już dopasowane na mnie — wyjaśniła.
— Nie mogę w tym momencie zrobić mu zawodu. To byłoby niekoleżeńskie.

Henryk nie mógł jej w żaden sposób przekonać, ale była tak nieugięta, że postanowił nie nalegać i poruszył z kolei temat Paryża i walizki Racheli Field. Weronika oburzyła się.

— Nie dotykałam jej przeklętej walizki — powiedziała żywo — a jeżeli mówi, że to zrobiłam, to kłamie.

— Ona nie mówi, że to zrobiłaś, tylko że mogłaś zrobić.

— To niczego nie dowodzi.

— Słuchaj, Ronnie, nie oskarżam cię o nic. Jestem pewny, że wszystko, co zrobiłaś, było zupełnie niewinne. Ale jeśli ktoś prosił cię o wsunięcie czegoś do walizki panny Field, musisz mi powiedzieć. Obiecuję, że nie będziesz miała z tego powodu żadnych kłopotów. W tak poważnej sprawie jak ta nie powinnaś mieć skrupułów, że kogoś oskarżysz.

— Mówię ci, że nie zbliżałam się do tej nieszczęsnej walizki. Byłam w jej pokoju, gdy się pakowała, ale nie odważyłabym się niczego dotknąć. Wiesz, jaka ona jest — ma wszystko poowijane i we wzorowym porządku. Kiedy ja się pakuję, zwijam rzeczy w kłębek i upycham byle jak.

— Pannę Field w trakcie pakowania odwołano, prawda?

— Tak. Teresa zapukała do drzwi i poprosiła Rachelę, żeby

przyszła do jej pokoju coś tam sprawdzić. Nie było jej jakieś dziesięć minut.

— A ty przez cały ten czas byłaś w pokoju panny Field?

— Tak.

— Nikt inny tam nie wchodził?

— Nikt..

— Wygląda na to, że ten, kto przeszukiwał walizkę Racheli, nie znalazł tego, czego szukał. Chyba że nie powiedziałaś mi wszystkiego, co wiesz — dodał surowo..

Duże oczy Weroniki powiększyły się jeszcze z wyrazem niewinności i świętego oburzeni?..

— Nie, wuju Henryku, powiedziałam ci wszystko.

— Mam nadzieję. A teraz zmykaj. Muszę załatwić parę telefonów. Pamiętaj, co ci mówiłem, i nie pchaj się w kłopoty. Przyjdiesz wieczorem do nas na drinka?

— Nie mogę. Idę do kina z Donaldem.

Henryk zawahał się. Niepokoił się o Weronikę bardziej, niż chciał jej to okazać. Ale nie mógł zabronić jej pójścia z młodym człowiekiem, przeciwko któremu nie miał określonych zastrzeżeń prócz przekonania, że jego zeznania nie były całkowicie zgodne z prawdą. W końcu powiedział:

— Nie mów o tej sprawie z nikim, Ronnie. Nawet z Donaldem. A przede wszystkim nie mów mu, iż wydaje ci się, że możesz coś wysledzić. À propos, co to za bzdury opowiadałaś podczas lunchu?

— O, nic. — Znów jej minka wydała się przesadnie niewinna. — Nic ważnego. Zresztą, powiedziałaś, że nie mam się mieszać...

— Jeżeli natknęłaś się na coś, musisz mi powiedzieć.

— Nie, słowo daję. To nic.

Henryk zdawał sobie sprawę z tego, że działają na niego dwie przeciwstawne siły. Jako wuj Weroniki pragnął, by nie miała nic wspólnego z tą sprawą; jako policjant wiedział, że jest ona w niezwykle korzystnej sytuacji, by odkryć ten istotny szczegół, który mógł okazać się bezcenny.

— Przyjdź do nas jutro, to pomówimy o tym — powiedział w końcu.

— Przykro mi, wuju, ale nie mogę. Obiecałam Nancy spędzić z nią weekend w domu jej rodziców na wsi. Pamiętasz Nancy Blake? To ta dziewczyna, z którą mieszkam.

— No, to będziesz przynajmniej w bezpiecznym miejscu. Zatem do poniedziałku.

— Do poniedziałku — powtórzyła Weronika. Włożyła płaszcz, pocałowała Henryka w nos i wyszła.

Henryk zatelefonował, a potem pojechał autobusem na Onslow Street w Kensington, do domu doktora Waltera Markhama.

Był to tęgi mężczyzna po pięćdziesiątce, o wyglądzie dobrodusznym, który przywitał Henryka z wyrazem strapienia na pogodnej zazwyczaj twarzy.

— Wielka tragedia — powtarzał wprowadzając inspektora do swego wygodnego gabinetu z meblami krytymi skórą. — Wielka tragedia. Taka urocza kobieta i taka młoda. Ale któż z nas może ją winić? Jeśli uważała, że powinna odebrać sobie życie... — Westchnął.

Henryk był zaintrygowany. Znów sugestia samobójstwa.

— Na podstawie czego pan tak sądzi. — spytał.

— No... — Doktor zawahał się. — Przypuszczam, że sekcja ujawni stan zdrowia...

— Pan był jej lekarzem. Jaki był stan zdrowia Heleny?

Doktor Markham wydał się zdziwiony.

— Mam wrażenie, że miała raka.

— Ma pan wrażenie...?

— Może wyjaśnię to. — Doktor siadł głęboko w fotelu. — Panna Pankhurst była jedną z zarejestrowanych u mnie pacjentek. Na szczęście, jako lekarz niewiele ją widywałem. Przychodziła od czasu do czasu, kiedy była przeziębiona lub z inną podobną niewielką dolegliwością. Poza tym byliśmy sąsiadami i chyba mogę powiedzieć — przyjaciółmi. Jakies dwa miesiące temu odwiedziła mnie w skrajnej rozpacz. — Urwał na chwilę. — Nie pozwoliła się zbadać, lecz poprosiła w zaufaniu o adres najlepszego specjalisty onkologa w Londynie. Byłem naturalnie bardzo zaniepokojony. Twierdziła, że prosi o to dla przyjaciółki... Tak zwykle bywa. Ludzie, którzy podejrzewają tę chorobę u siebie, często starają się utrzymać to w tajemnicy, póki się nie upewnią. Nie chcą niepotrzebnie martwić rodziny i przyjaciół. Helena potwierdziła moje podejrzenia, nalegając usilnie, żebym nie mówił o jej wizycie. Upewniła się zwłaszcza co do tego, że panna Phipper nie dowie się o tym. To, jak pan zapewne wie, jej współlokatorka. I także moja pacjentka. Mogłem jedynie udzielić jej informacji, o którą prosiła, i pozwolić odejść.

Kiedy przeczytałem o tej tragedii w gazetach, przypuszczałem naturalnie...

— Którego specjalistę jej pan, polecił?

Doktor Markham miał niewyraźną minę.

— Nie wiem, czy powinienem...

— Doktorze — powiedział Henryk — to sprawa zupełnie nie związana z panną Pankhurst i ona nie popełniła samobójstwa. Została zamordowana.

— Wielki Boże! Zamordowana? To straszne! — Doktor wyglądał na szczerze wstrząśniętego. — Ale kto...?

— To właśnie staram się odkryć, a informacja udzielona przez pana może mi pomóc.

— Jeśli jest tak, jak pan mówi... Poradziłem jej, żeby udała się do sir Jamesa Braithwaite'a. To znany specjalista. Na Wimpole Street, wie pan. Mój Boże... zamordowana...

— Dziękuję panu — rzekł Henryk. — Bardzo mi pan pomógł. I proszę, niech pan zachowa milczenie w tej sprawie. Podałem panu pewne informacje w ścisłym zaufaniu.

— Oczywiście, inspektorze. Oczywiście. Zamordowana... Co za tragedia... Co za straszna tragedia...

Sir James Braithwaite, jak poinformowała Henryka szorstko młoda brunetka w białym fartuchu, jest niezwykle zajęty i nie może przyjąć nikogo przed końcem przyszłego tygodnia. Dziś właśnie wrócił z konferencji w Wiedniu, dodała, i dlatego ma wiele zaległości do odrobienia.

Na widok biletu wizytowego Henryka otworzyła szeroko orzechowe oczy i wydała się przestraszona. Poprosiła inspektora, żeby usiadł w poczekalni, i nieomal biegnąc znikła w ciężkich dębowych drzwiach, prowadzących z hallu masywnego domu przy Wimpole Street.

Henryk usiadł. Został w poczekalni sam, jedynym jego towarzystwem był brązowy posąg Diany Łowczyni i stos starych magazynów. Uświadamiał sobie coraz wyraźniej natarczywe tykanie połączanego zegara na kominku i stłumiony hałas dochodzący z ulicy.

Drzwi otworzyły się i brunetka powiedziała:

— Sir James może poświęcić panu zaraz parę minut, panie inspektorze.

Henryk wstał i poszedł za nią do gabinetu lekarskiego.

Pokój był celowo urządzony tak, że nie przypominał o chorobach i działał kojąco. Duże wykuszowe okna wychodziły na cichy ogród, a wątle styczniowe słońce, próbujące przedrzeć się przez białe muślinowe firanki, dawało wrażenie światła i ciepła. Wyjąwszy dwie szafki na karty chorobowe i biurko z blatem pokrytym skórą, mógłby to być miło urządzony salon. Kiedy sir James Braithwaite podniósł się zza biurka, by przywitać Henryka, okazało się, że i on sam promieniował spokojem i otuchą. Był to wysoki, przystojny mężczyzna o siwych włosach, gładkiej, różowej twarzy, która zdawała się wiecznie uśmiechnięta, i niebieskich oczach, mrugających za okularami w rogowej oprawie. Człowiek, w którego obecności czuło się, że trudności nie do pokonania znikają bez śladu. Człowiek, któremu można ufać.

— Drogi inspektorze — powiedział. — Proszę, niech pan siada. Czym mogę panu służyć? Ufam, że wizyta pańska nie zwiastuje nic groźnego? — Błękitne oczy zaiskrzyły się wesoło.

— Bardzo uprzejmie z pana strony, że znalazł pan dla mnie czas — odrzekł Henryk. — Rozumiem, że jest pan teraz bardzo zajęty.

— Tak. Raczej jestem. Panna Bennett wyjaśniła panu, że wróciłem właśnie z konferencji w Wiedniu, i nie potrzebuję panu mówić, jak piętrzą się różne sprawy, kiedy człowiek jest nieobecny.

— Kiedy pan wyjechał z Angin?

— O świącie w środę, samolotem — odrzekł sir James Í kwaśnym uśmiechem. — Takie jest życie.

— Więc zapewne — powiedział wolno Henryk — nie czytał pan angielskich gazet od wtorku? Nie wie pan, że panna Pankhurst nie żyje.

— Panna...? — Sir James pochylił się do przodu, uprzejmy i zdumiony. — Przykro mi, inspektorze, ale niezupewnie rozumiem, o co panu chodzi... Panna Pankhurst?. Kto to jest?

— Zastępca redaktora naczelnego magazynu „Moda” — wyjaśnił Henryk.

Sir James roześmiał się bezradnie.

— Niestety, to nie moja dziedzina. Żona czyta „Modę”, oczywiście, ale ja nie. Czy spodziewa się pan, że powinienem wiedzieć coś o tej młodej kobiecie? Przypuszczam, że była młoda. Wyobrażam sobie, że wszyscy ludzie piszący o modzie mają dwadzieścia pięć lat i są zachwycająco piękni.

— Więc ona nie była pana pacjentką?

Sir James potrząsnął głową.

— Nie udaję, że potrafię na poczekaniu przypomnieć sobie każdego pacjenta, który mnie odwiedził, ale mogę powiedzieć panu, że w tej chwili się u mnie nie leczy.

Można bardzo łatwo przekonać się, czy kiedykolwiek przyszła tu po poradę... — Wstał, podszedł do jednej z zielonych szafek z segregatorami i przejrzał szybko szereg kart. — Nie. Nie miałem pacjentki o tym nazwisku.

— Myślę, że mogła użyć innego.

Sir James westchnął.

— To się zdarza.

— Przyniosłem parę jej fotografii, żeby pan je obejrzał. Nie są bardzo wyraźne, ale mam nadzieję, że potrafi ją pan zidentyfikować.

Sir James przyjrzał się z powagą dwóm zdjęciom. Na jego twarzy

nie pojawił się żaden ślad zdziwienia, ale przez parę sekund siedział oglądając fotografie i marszcząc brwi.

— Rozpoznaje ją pan?

Nie odrywając oczu od zdjęć sir James powiedział:

— Tak.

— Kto to był?

Sir James podniósł wzrok i spojrzał Henrykowi w oczy. Na jego twarzy nie było już uśmiechu.

— Powiedział mi pan, że nazywała się Pankhurst i że była niezamężna. Ja znałem ją jako panią Dodgson. Nie była moją pacjentką, pacjentem był jej mąż... i jest nadal.

Henryk podniósł wzrok.

— Karol Dodgson?

— Tak. Czy to znane panu nazwisko?

— Tak. A panu nie?

— Powiedziałem panu przed chwilą, że Karol Dodgson jest moim pacjentem. Dlaczego pan się uśmiecha?

— Zawsze miło jest zetknąć się z inteligentnym poczuciem humoru, nawet w smutnych okolicznościach.

— Niestety, nie rozumiem...

— Nic nie szkodzi. To nieważne. Niech mi pan powie, jaką diagnozę postawił pan co do stanu zdrowia pana Dodgsona?

— Doprawdy, inspektorze, nie sądzę, by...

— To jest śledztwo w sprawie morderstwa — powiedział Henryk. — Może pan mówić zupełnie swobodnie.

— Morderstwa? — Sir James podniósł wzrok, wstrząśnięty. — Myślałem, że może... Nie. To do niej nie pasowało. Wydawała mi się bardzo odważną kobietą. Nawet kiedy...

— Niech mi pan, proszę, powie swoją diagnozę.

— Pan Dodgson ma nowotwór żołądka. W danej chwili daje on tylko słabe dolegliwości, ale jest tak umiejscowiony, że nie można go usunąć operacyjnie. Poza cudem, który się czasami zdarza, nic nie zdoła powstrzymać tego guza przed normalnym rozwojem. Daję temu pacjentowi rok życia.

— Powiedział mu pan to?

— Nie. — Sir James zastanawiał się chwilę. — W takich wypadkach zawsze porozumiewam się z bliskim krewnym pacjenta, czy powiedzieć mu prawdę, czy nie. Po raz pierwszy zbadałem pana Dodgsona... zaraz... sprawdzę datę. — Podeszedł znów do kartoteki i przerzucił karty. Przez chwilę stał zakłopotany, potem uśmiechnął się. — Och, jakież ze mnie głupiec. Tu nie ma karty pana Dodgsona. Zupełnie o tym zapomniałem. Okoliczności były trochę niezwykłe. Pani Dodgson — proszę wybaczyć, że tak ją nazywam — zatelefonowała do mnie, by zamówić wizytę, ale podkreśliła, że i ona, i mąż są bardzo zajęci, mogą przyjść do mnie tylko w sobotę lub w niedzielę. Wyjaśniłem, że spędzam wszystkie weekendy na wsi — daremna próba zachowania prywatnego życia. Odrzekła, że to świetnie. Mąż jej nie podejrzewa, że może mieć raka, a ona nie chce go niepokoić. Namówiła go już na ogólne lekarskie przebadanie i łatwo może zorganizować weekend w pobliżu mego domu na wsi. W ten sposób będzie mogła nakłonić go, by odwiedził mnie poniekąd prywatnie, nie podejrzewając, że...

— Pana wiejski dom znajduje się w Hindhurst, prawda? — spytał Henryk.

— Tak. Na skraju Hindhurst, dla dokładności.

— Nie wiem, kiedy pan po raz pierwszy widział Dodgsona, ale

z pewnością zbadał go pan przeszło miesiąc temu, dwudziestego ósmego grudnia?

— Racja. — Sir James wydawał się zdziwiony. — Przypominam sobie teraz, że działo się to w czasie świąt Bożego Narodzenia. To była jego pierwsza wizyta.

— Pani Dodgson przyjechała najpierw, prawdopodobnie taksówką, i rozmawiała z panem — mówił Henryk. — Przypuszczam, że prosiła, aby pan swojej diagnozy nie wyjawiał mężowi, lecz tylko jej powiedział. Pan wyjaśnił, że nie będzie mógł dać pewnej diagnozy natychmiast, że trzeba porobić badania i tak dalej.

Sir James uśmiechnął się.

— Mówi pan jak czarnoksiężnik. Zdaje się, że pan wie więcej na ten temat niż ja. Proszę mówić dalej.

— Pan Dodgson przyjechał samochodem nieco później, pan go zbadał i odjechali razem. Czy tak?

— Tak.

— Kiedy zobaczył go pan po raz drugi?

— Zjawił się w parę tygodni później na prześwietlenie. Byłem już wtedy prawie pewny mojej diagnozy, ale chciałem, żeby to prześwietlenie ostatecznie zamknęło sprawę. Pani Dodgson nie przyjechała z nim tym razem. On był zaniepokojony swoim stanem, więc dotrzymałem obietnicy i powiedziałem mu tylko, że ma wrzód żołądka. Odjechał dość zadowolony.

— Potem we wtorek w tym tygodniu nadeszły wyniki prześwietlenia, potwierdzając najgorsze pana obawy.

— W poniedziałek wieczorem, jeśli chodzi o ścisłość.

— Przepraszam. W poniedziałek wieczorem. Zatelefonował pan do pani Dodgson i poprosił, żeby przyszła do pana?

— Właściwie to ona zatelefonowała do mnie.

— Naprawdę? Ale dlaczego?...

Sir James uśmiechnął się trochę smutno.

— W takich wypadkach istnieje zawsze obawa, że telefon odbierze niewłaściwa osoba. Pani Dodgson szczególnie się tego obawiała. Nie chciała, żebym telefonował do biura. Prawdę mówiąc zadała sobie wiele trudu, bym nie dowiedział się, gdzie pracuje. A wieczorem jej mąż mógł równie dobrze jak ona odebrać telefon. Powiedziałem więc, żeby zadzwoniła do mnie do Hindhurst w poniedziałek wieczorem, bo byłem pewny, że wtedy będę już mógł dać jej pewną odpowiedź.

— Rozumiem — rzekł Henryk. — Więc gdy zatelefonowała, oznajmił jej pan, że chciałby się pan z nią jak najprędzej zobaczyć. Nie chciał pan przekazywać telefonicznie złej wiadomości. Wyjaśnił pan, że będzie w Hindhurst do wtorku wieczór, bo w środę rano wyjeżdża pan do Wiednia...

— Tak jest. Obiad, o którym panu wspomniałem, wydawał szpital w Hindhurst, gdzie pracuję raz w tygodniu.

— Ona odpowiedziała, że może przyjechać do Hindhurst i zobaczyć się z panem we wtorek po południu. Zrobiła tak, a pan przekazał jej tę wiadomość.

— Tak. Właśnie tak. Tyle tylko wiem. Co się stało potem?

— Wróciła do Londynu i zasiadła do całonocnej pracy nad magazynem. Wszyscy inni pracownicy rozeszli się około wpół do drugiej do domów, a ona została sama. Nazajutrz znaleziono ją nieżywą po wypitej herbacie, w której był cyjanek.

Przez chwilę sir James milczał. Potem powiedział:

— I uważa pan, że to było morderstwo?

— Tak.

Sir James skinął głową.

— Cieszę się, że to słyszę.

— Dlaczego pan tak mówi?

— Bo w zaistniałych okolicznościach mógłby pan być skłonny uważać to za samobójstwo, a jestem przekonany, że popełniłby pan wtedy poważną omyłkę. — Sir James urwał, rozważając starannie swoje słowa. — Nie jestem psychiatrą, inspektorze, ale mam przykry obowiązek przekazywania złych — najgorszych w świecie — wiadomości wielu ludziom. Nauczyłem się oceniać dość dokładnie ich reakcje. Pani Dodgson zachowała się wspaniale. Wybuchnęła płaczem, kiedy usłyszała prawdę, co zawsze jest dobrym znakiem. Im prędzej przychodzi nieuchronna uczuciowa reakcja, tym prędzej następuje uspokojenie. Potem opanowała się i zadała mi mnóstwo rozsądnych pytań. Pytała o wszystko, co było związane ze stanem jej męża, a także o to, w jaki sposób mogłaby najlepiej dbać o niego i zapewnić mu wygodę i spokój w ostatnich miesiącach życia. Krótko mówiąc, miała konstruktywne podejście do sprawy. Nie mogę uwierzyć, że odjechała i popełniła samobójstwo.

— Nie popełniła samobójstwa.

— Ale... — Sir James zawahał się. — Jest jakaś nielogiczność z jej nazwiskiem. Czy mam rozumieć, że nie była ona panią Dodgson?

— Tak.

— Wobec tego, proszę wybaczyć pytanie, ale chodzi o mego pacjenta, kto będzie się o niego troszczył?

— Pański pacjent ma żonę — odrzekł Henryk. — Nie potrafię powiedzieć, czy okaże się ona równie rozsądna i sympatyczna jak panna Pankhurst. W odpowiednim czasie przyślę ją do pana.

— To stawia mnie w bardzo delikatnej sytuacji — powiedział sir James ze smutkiem. — Czy pani Dodgson... prawdziwa pani Dodgson wie o...?

— Tego nie potrafię panu powiedzieć. Przynajmniej na razie. Ale mogę zapewnić, że przyjdzie do pana i że także nie nazywa się Dodgson.

Rozdział XI

Ten weekend był najzimniejszy ze wszystkich zimowych weekendów i Henryk czuł się bardzo przygnębiony. Był teraz prawie pewny, że wie, kim jest morderca, ale doszedł do tego drogą łączenia drobnych śladów i dzięki instynktowi, który określał mianem „nosa”. Nie miał jednak tak potrzebnego mu dowodu, a poza tym istniały luki, których nie potrafiłby wypełnić. Poza tym bardzo ciążyła mu sprawa Michała i Teresy. Nie mógł się zdecydować, jak daleko sięga jego odpowiedzialność i czy do jego obowiązków należy powiedzenie Teresie prawdy. Miał nawet obawy, czy dobrze odtworzył sobie tę sprawę, i często myślał o tym, co powiedział mu Donald MacKay, i zastanawiał się, czy nie został oszukany przez grupę sprytnych ludzi, którzy zasugerowali mu opinie, jakich wcale nie podzielał.

W sobotę, jakby dla pogłębienia ogólnego przygnębienia, Henryk poszedł na pogrzeb Heleny, urządzonego przez Godfrefya Goringa z właściwą mu szczodrością i staraniem. Poza szczerym pragnieniem dania wyrazu szacunku dla zmarłej Henryk pragnął zobaczyć na własne oczy, czy personel „Mody” mówił prawdę, twierdząc, że Helena poza biurem miała niewielu przyjaciół.

W istocie na to wyglądało. Siedzieli tam razem Margery French i Patryk, a także Michał i Teresa; Godfrey Goring był sam i miał minę poważną, jak przystało na takiej uroczystości. Beth Connolly przyszła z niską, jasnowłosą dziewczyną, którą przedstawiła jako sekretarkę Heleny. Poza tym uczestnikiem pogrzebu była jeszcze tęga kobieta o macierzyńskim wyglądzie, której Henryk nigdy przedtem nie widział i która, jak się okazało, nazywała się Sedge i jako posługaczka „chodziła” do Heleny przez ostatnie dziesięć lat. Henryk zanotował sobie dokładnie w pamięci nie tylko, kto był na pogrzebie, ale i kogo nie. I było.

Po skończonej ceremonii żałobnej Goring zaproponował, żeby wszyscy poszli na Brompton Square na herbatę. Zaprosił również serdecznie panią Sedge i po wyraźnym wahaniu — Henryka.

Nie było to wesołe zebranie towarzyskie. Jedyne pani Sedge robiła wrażenie, że sprawiło jej to przyjemność. Nie onieśmiało jej zupełnie otoczenie, a szczerze uznanie, jakie wyrażała na temat herbaty i czekolady, było pokrzepiające. Widać też było, że kochała Helenę i opłakiwała ją szczerze.

— Śliczna pani — powiedziała do Henryka pijąc herbatę z meissenowskiej filiżanki i starannie odchylając przy tym mały palec. — Naprawdę śliczna i miło było u niej pracować. Taka delikatna. Wszystko musiało być zrobione jak należy. Kurze starte, garnki porządnie wyszorowane od spodu. A ja zawsze powiadam: nie szkoda ciężkiej pracy, jeśli ją doceniają, prawda? — Henryk mruknął coś na potwierdzenie tych słów, a pani Sedge mówiła dalej: — Taka panna Pipper... — zniżyła dyskretnie głos — to zupełnie inna sprawa. Ona

moim zdaniem nie odróżnia, co czyste, a co brudne. Oczywiście, jest jeszcze młoda. Chce, żebym pracowała teraz u niej, ale ja jeszcze nie wiem. To już nie to samo, co u panny Heleny.

— Jednakże chyba nieczęsto widywała pani którąkolwiek z nich? Były prawie cały dzień poza domem, w pracy...

Pani Sedge popatrzyła na niego ze współczuciem.

— Nie o to chodzi — powiedziała tonem lekkiej nagany. — Dziękuję, wezmę jeszcze kawałek ciasta. Miałam na myśli, że pokój panny Heleny był zawsze czysty i schludny. Tylko raz... ale wtedy był powód. Zostawiała polecenia dla mnie, wszystko wypisane jak trzeba. Człowiek wiedział, co i jak. Ale pokój panny Pipper... powinien go pan zobaczyć, to tylko mogę powiedzieć. I ona nie lubi, jak tam sprzątam.

— Panna Helena wydaje się tak idealna, że aż nieprawdziwa — powiedział Henryk. — Chętnie usłyszałbym raczej, że zostawiała czasem bałagan w swoim pokoju.

— Tylko raz, wtedy — odrzekła pani Sedge. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. — Tak, to był ten jedyny raz, który zapamiętałam w ciągu dziesięciu lat. Chyba jakiś miesiąc temu. Otworzyłam drzwi... i nogi się pode mną ugięły. Wszystko tam było porzucane po całym pokoju... papiery i inne rzeczy.

— Papiery? — powtórzył zaintrygowany Henryk.

— Kiedy mówię „papiery”, nie myślę o listach. Bibułki. Ale skąd miałam wiedzieć...

— Co wiedzieć?

— Że był do tego powód. Ten jeden raz poszłam prosto do pokoju panny Heleny zamiast do kuchni. A kiedy weszłam do kuchni, leżała tam karteczka, na której napisała, żebym nie sprzątała tego dnia jej

pokoju, bo ona pakuje się przed wyjazdem. Postąpiła naprawdę delikatnie.

— Przed wyjazdem? — spytał Henryk. — Miesiąc temu?

— Tak. To był chyba wyjazd służbowy. Działo się to w poniedziałek. Kiedy przyszedłam tam znowu w piątek, panna Helena była już z powrotem.

— Jeszcze troszkę herbaty, pani Sedge? — Stanął przed nimi Godfrey Goring czarujący, troskliwy.

Henryk zostawił go w momencie, gdy napełniał filiżankę pani Sedge, i przeszedł w drugi koniec pokoju, gdzie Michał rozmawiał z Beth Connolly.

Dziewczyna uśmiechnęła się szybko i trochę nerwowo do Henryka i powiedziała:

— To miło, że pan dziś przyszedł.

Michał obrzucił, go cynicznym spojrzeniem.

— Z obowiązku sędzę, co, inspektorze?

— Może pan to tak nazwać. Często trudno jest oddzielić dokładnie obowiązek od... — zawahał się.

— Jest pan bardzo bystry — powiedział Michał. — Ale oczywiście za to panu płacimy.

Zaległo krępujące milczenie. Henryk zaczął solidaryzować się z poglądami Horacego Barry na temat Michała. Wiedząc, co robi, przygotowany był na uwzględnienie wszystkiego; ale nawet w takim wypadku musiał przyznać, że fotograf jest mistrzem w sztuce obelg.

Pierwsza przerwała milczenie Beth z właściwą jej bezpośredniością:

— Co za brzydka, jakże niesłuszna uwaga, Michale.

Uważam, że inspektor Tibbett był nadzwyczajny. To musi być piekielna praca przeprowadzać śledztwo w sprawie morderstwa w takim domu wariatów jak „Moda”.

Michał przybrał natychmiast skruszoną minę.

— Przepraszam — powiedział. — Ja... ja nie czuję się ostatnio najlepiej, a Paryż to zawsze duże napięcie. Kiedy tylko robię się złośliwy, wiem, że czas wziąć urlop. Myślałem, że może mógłbym spędzić parę tygodni na Wyspach Kanaryjskich, kiedy... kiedy się to wszystko skończy.

— Chyba nie powinnam pytać — odezwała się Beth — ale jak postępuje śledztwo, panie inspektorze?

— Niestety, wolno. Rzadko zdarza mi się sprawa, w której tak trudno dojść prawdy.

— Rzeczywiście? Dlaczego?

Henryk spojrzał w oczy Michałowi.

— Ponieważ zetknąłem się z niezmiernie sprytnymi ludźmi.

Michał nie spuścił oczu.

— Czy pan uważa, że coś utrudniamy, że nie chcemy z panem mówić?

— Nie — odrzekł Henryk. — Wszyscy są rozmowni, szczerzy i skorzy do pomocy. Na tym polega cały kłopot.

Michał uśmiechnął się blado.

— Pan też jest bardzo sprytny. — A kiedy Henryk nie odpowiedział, dodał: — Czy nie byłoby wygodniej dla wszystkich, gdyby pan doszedł do wniosku, że Helena popełniła samobójstwo?

— Tak — odpowiedział Henryk. — Byłoby. Ale byłaby to też nieprawda.

— Skąd jest pan tego taki pewny?

— Jestem na tyle sprytny, by panu tego nie powiedzieć.

Wkrótce potem towarzystwo się rozeszło. Margery powiedziała, że musi już jechać, i zaproponowała, że podwiezie sekretarkę Heleny.

Patryk natychmiast wtrącił się i oznajmił, że dziewczyna mieszka przecież w jego stronie, więc nie tylko odwiezie ją do domu, ale po drodze postawi jej drinka. Margery miała bardzo zagniewaną minę, ale nic nie powiedziała. Tymczasem Teresa i Michał podjęli się odwieźć panią Sedge aż do stacji metra na Sloane Square, skąd będzie mogła złapać pociąg do Putney. Henryk zamierzał wyjść, kiedy Goring położył mu rękę na ramieniu i zwrócił się do niego spokojnie:

— Proszę, niech pan zostanie, inspektorze, i napije się czegoś. Chciałbym z panem porozmawiać.

W wytornym saloniku Goring dorzucił nową kłodę do płonącego kominka, nalał Henrykowi whisky, a sobie toniku i powiedział:

— Przystąpię wprost do rzeczy, inspektorze. Chcę wiedzieć, jak panu idzie śledztwo. Proszę nie mówić mi, że nie mam prawa pytać o to, bo wydaje mi się, że mam. Im dłużej się będzie ciągnęło, tym bardziej niepokojące skutki wywierać to będzie na moich pracowników. Kiedy ludzie są niespokojni, nie pracują dobrze. — Urwał. — Rozumie pan, dlaczego mnie to trapi?

— Tak, rozumiem.

— Wyraziłem swoją opinię w czasie naszego wspólnego lunchu i nie widzę powodu, dlaczego miałbym ją zmieniać. Szczerze mówiąc, rozczarował mnie wynik śledztwa. Odroczenie przedłuży jedynie udrękę wszystkich. Jest oczywiste, że Helena zabiła się sama. Czy nie może pan na tym poprzestać?

Henryk odrzekł ostrożnie:

— O tym musi zdecydować komisja pod przewodnictwem koronera. Nie mogę uprzedzać ich orzeczenia.

Goring rzucił Henrykowi konspiracyjny uśmiezek.

— Wiemy wszyscy, że na komisję wywrą wpływ w ten czy inny

sposób oświadczenia złożone przez policję. Nie może pan chować się za spódnicę koronera.

— Mogę pana zapewnić, że w takiej jak ta sprawie, gdzie istnieją wątpliwości, werdykt może się okazać niespodzianką dla nas wszystkich. My możemy przedstawiać sytuację tylko tak, jak ją widzimy.

— A jak ją widzicie?

Henryk przez dłuższą chwilę wpatrywał się badawczo w Goringa, potem odpowiedział:

— Jak pan sam zaznaczył, jest pan w specyficznej sytuacji, jeśli chodzi o tę sprawę. Sądzę, że mam prawo mówić z panem szczerze, jeśli da mi pan słowo, że nic z tego, co powiem, nie rozniesie się dalej.

Goring okazał zadowolenie i skinął głową ze stosowną powagą.

— Doskonale to rozumiem.

— Wie pan, naturalnie — ciągnął Henryk — że walizka panny Field, która znajdowała się w pokoju Heleny, została tej nocy przetrząśnięta?

— Słyszałem o tym. Ale nie rozumiem, co to... czy sama Helena nie mogła tego zrobić, zanim...?

— Nie. Helena upadła na maszynę w środku zdania, które pisała. Ale klawisze maszyny pokryte były pudrem z walizki panny Field. Puder był rozsypany na wszystkich klawiszach z wyjątkiem tych, na których spoczywały palce Heleny. To oraz fakt, że zniknął klucz od gmachu, należący do panny Field, nasuwa podejrzenie, że ktoś wrócił do biura później, kiedy Helena już nie żyła, i przeszukał walizkę.

Goring zastanawiał się chwilę nad tym, co usłyszał. Potem powiedział:

— Zmuszony jestem zgodzić się z panem, inspektorze. Niemniej,

to wcale nie dowodzi, że Helena została zamordowana. Przypuśćmy, że popełniła samobójstwo i że potem ta tajemnicza osoba pojawiła się i znalazła ją.

— I nie wszczęła alarmu?

— Nie ośmieliłaby się. Nie miała prawa przebywać na terenie budynku. Chciała koniecznie zabrać coś z walizki. Oczywiście wstrząsnął nią widok zwłok w pokoju, co tłumaczy szalony pośpiech, z jakim najwyraźniej walizka była przeszukiwana.

— Brzmiałoby to przekonująco — powiedział Henryk — gdyby nie odciski palców.

— Te, których nie było. Na termosie były tylko ślady palców Heleny, na butelce z cyjankiem — żadnych. Rozumie pan, co mam na myśli?

— Że osoba, która wsypała cyjanek, miała na rękach rękawiczki?

— To trochę bardziej skomplikowane. Wiemy, że Ernest Jenkins, chłopiec z ciemni, dotykał termosu, kiedy go napełniał, więc ślady jego palców powinny by znajdować się na nim, gdyby nie zostały dokładnie wytarte po wleciu do termosu cyjanku i zanim Helena zabrała termos do swego pokoju. Ernest używał także cyjanku wcześniej tej nocy, więc i jego ślady powinny się znajdować na butelce. Jeżeli Helena naprawdę otruła się sama, to czy zadawałaby sobie trud wycierania termosu, a potem zostawiania na nim odcisków własnych palców i czy starłaby swoje ślady z butelki z cyjankiem?

Po długim milczeniu Goring powiedział:

— Więc to będzie policyjny dowód, kiedy zakończy się śledztwo?

— Między innymi. Mam nadzieję, że do tej pory zdobędę o wiele więcej dowodów.

— W takim razie musimy być cierpliwi. Nie pozostaje nam nic innego. Czy mogę spytać, czy pan... czy pan kogoś podejrzewa?

— Oczywiście, że pan może pytać, ale, niestety, nie mogę panu odpowiedzieć.

— No, naturalnie. Rozumiem. — Goring zawahał się, a potem zapytał prawie nieśmiało:

— À propos, kiedy śledztwo się zakończy... czy sprawa Heleny i Michała Healy zostanie wyciągnięta na światło dzienne?

— Tylko wtedy, jeśli to będzie konieczne. Sądzę, że zdołamy tego uniknąć.

Widać było, że Goringowi odpowiedź ta przyniosła dużą ulgę.

— Byłbym wdzięczny — powiedział. — Tego rodzaju reklamy chcemy za wszelką cenę uniknąć.

— Ale nie mogę obiecać, że nie wspomni się o tym później, w sądzie. W czasie procesu mordercy. Jeśli nie wykorzysta tego prokurator, zrobi to prawie na pewno obrona.

— To jeszcze przed sprawą sądową musi nastąpić aresztowanie?

— Oczywiście.

— Wydaje mi się, że pan jest dość pewny, iż niebawem go pan dokona?

Henryk uśmiechnął się.

— Mam nadzieję.

Goring dodał nagle:

— Moja żona mówiła mi, że odwiedził ją pan w Downley.

— To prawda. Chciałem po prostu uwolnić ją całkowicie od podejrzeń, ustalając, że przebywała na wsi w czasie, gdy popełnione zostało morderstwo.

— Uwolnić ją od podejrzeń? Drogi panie, pan przecież nie łączy Lorny z...

— Nie, nie. Oczywiście, że nie — wyjaśnił spieszenie Henryk. — To zwykła formalność. W każdym razie ma doskonałe alibi — grała w brydża do białego ranka tej nocy, ma na to mnóstwo świadków.

Wyglądało na to, że Goring się uspokoił.

— To dobrze. W takich okolicznościach człowiek zawsze się boi, żeby nie została w to wciągnięta jego rodzina.

— Wiem o tym — odrzekł ciepło Henryk. Był szczerze wdzięczny losowi, że Weronika przebywa w bezpiecznym miejscu, choćby tylko na czas weekendu. Potem dodał: — Ładny dom ma pan w Downley. Chyba żał panu, że nie może pan spędzać tam więcej czasu?

— Praca to, niestety, praca. Mam nadzieję, że dziś późnym wieczorem pojedę tam na resztę weekendu. Moja żona jest taka osamotniona... Naprawdę muszę przekonać ją, żeby więcej czasu spędzała w Londynie.

— Proszę pana — powiedział nagle Henryk — co pan wie o przemycaniu modeli z Paryża?

Goring przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, potem uśmiechnął się.

— Słyszał pan jakieś plotki na ten temat, inspektorze?

— Tak, słyszałem.

— No... — Goring poprawił ogień na kominku — osobiście w to nie wierzę, ale takie rzeczy szkodzą całemu naszemu przemysłowi i powinny być wyjaśnione. Chciałbym oczywiście dotrzeć do sedna tej całej sprawy, w mojej sytuacji jednak, rozumie pan, to trudne...

— Rozumiem.

W parę minut potem Henryk pożegnał się i wyszedł. Był zimny,

wilgotny wieczór. Na Knightsbridge nie dojrzał ani jednej taksówki. Ustawił się w kolejce do autobusu i zajechał do domu przemarznięty do szpiku kości.

Emmy przygotowywała w kuchni obiad. Ponieważ było to najlepsze pomieszczenie w całym domu, Henryk z przyjemnością przystał na jej prośbę, by wszedł tam i porozmawiał z nią, podczas gdy będzie gotowała. Stojąc blisko gazowego piecyka, bez obawy jednak, że zapali się na nim ubranie, opowiedział Emmy o pogrzebie i powtórzył treść rozmowy z Goringiem.

— Żal, mi go — powiedziała Emmy. — Biedny człowiek. Musi się okropnie martwić. Henryku, czy myślisz...?

Przerwał jej dzwonek telefonu. Henryk poszedł go odebrać.

— Inspektor Tibbett? Mówi Lorna Goring.

— Miło mi panią słyszeć.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam... Zastanawiałam się właśnie nad tym doktorem z Hindhurst. Moja przyjaciółka odwiedziła mnie znowu. A panu poszczęściło się?

Henryk zawahał się.

— Tak i nie — odpowiedział. — Stwierdziłem, jaki to był doktor, ale to lekarz londyński mający wiejską posiadłość w Hindhurst. Pracuje tam w szpitalu raz w tygodniu, wątpię jednak, czy przyjmuje prywatnych pacjentów.

— No... nigdy nie wiadomo. Mógłby pan podać mi jego nazwisko na wszelki wypadek?

— Nie widzę celu, proszę pani. Powiedziała mi pani, że przyjaciółka szuka lekarza internisty, a to jest specjalista.

— A, rozumiem No, nic, tak mi przyszło do głowy. — Lorna zawiesiła głos. — Jak przebiegł pogrzeb?

— Nie była to oczywiście wesoła ceremonia. Mąż pani był jednak tak uprzejmy, że zaprosił nas potem na wyborną herbatę.

— A! — Lorna westchnęła cicho, z pewnym zadowoleniem. — Nie sądzę, by wspomniał przypadkiem, czy przyjeżdża tu na weekend. Nigdy mnie nie zawiadamia. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale wyszedł.

— W takim razie jest już zapewne w drodze do pani. Mówił mi, że pojedzie na wieś dziś wieczorem.

— Dziś wieczorem? To dobrze. Nie mogę pana dłużej zatrzymać, inspektorze. Bardzo przepraszam, że zajęłam panu czas. Do widzenia.

Henryk wrócił do kuchni zamyślony. Emmy tłukła ziemniaki.

— Kto dzwonił?

— Pani Goring.

— Wielki Boże! Czego chciała?

— Nie jestem zupełnie pewny, ale zdaje mi się, że wiem.

Rozdział XII

Zamiast pójść w poniedziałek rano wprost do „Mody”, Henryk poszedł do siedziby Scotland Yardu, gdzie przekazał do analizy specjalistom grafologom kartkę pisaną przez Helenę, razem z tajemniczym dodatkiem. Zatelefonował potem do „Mody” i umówił się na rozmowę z Teresą w późniejszych rannych godzinach, po czym zamówił

telefon do Paryża i odbył długą rozmowę z jednym z pracowników z Süreté, który był przypadkiem jego znajomym. Detektyw francuski bardzo zainteresował się tym, co powiedział mu Henryk, i obiecał zająć się tą sprawą. Zgodził się także nabyć pewien niewielki przedmiot i nadać go pocztą do Londynu.

Dziesięć minut przed dziesiątą Henryk znalazł się z powrotem na Earl Street, przywitany grzecznie przez portiera, który uznał go już za stałego członka zespołu redakcyjnego. Henryk istotnie zaczynał się uważać za takowego. Wsiadł do winy i wjechał na górę.

Drzwi do działu mody były otwarte i panowało tam jak zawsze piekło. Przed podłużnym lustrem modelka w niezmiernie skąpej bieliznie zdejmowała jedną suknię, a wkładała drugą.

Henryka przestały już peszyć na pół nagie piękne kobiety. Wszedł do pokoju i powiedział do Beth:

— Mam do pani prośbę. Czy może pani zdobyć dla mnie bilet na jutrzejszy pokaz prasowy Mikołaja Knighta?

— Oczywiście, że mogę.

— A może mi pani podać datę opublikowania zdjęć paryskich w tym sezonie?

— Dwudziesty siódmy luty. Wtedy... — Beth urwała bo podeszła do niej sekretarka. — O co chodzi, Marilyn?

— Telefon do pani.

— A niech to licha! Chwileczkę, inspektorze.

Beth ujęła słuchawkę. Była zdenerwowana.

— Nie, Mikołaju... Już ci mówiłam, że nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Powinna była być w pracy o dziesiątej i nie pokazała się... Ja też jestem wściekła, ale co mam zrobić? Wiesz, jakie są te dziewczęta... Tak, zgadzam się, nie posądziłabym o to Weroniki, ale to tylko

dowodzi, że nigdy nie wiadomo... Oczywiście, dzwoniłam do niej do domu... Nancy też nic nie wie... Tak, dobrze, jeśli coś się dowiem. Do widzenia.

Lodowata ręka ścisnęła serce Henryka. Kiedy Beth skończyła rozmowę, spytał:

— Czy można wejść do sąsiedniego pokoju i porozmawiać?

Beth miała minę zrozpaczoną.

— O Boże! Czy to zajmie dużo czasu? Mam za chwilę seans, a zrobił się bałagan, bo...

— Tylko minutkę, obiecuję.

— Dobrze. — Zwróciła się do modelki: — Zdejm tę suknię i włóż żółtą, bursztyny i słomkowy kapelusz. Zaraz wracam.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, Henryk spytał:

— Co to za historia z Weroniką?

— Jestem na nią bardzo zła — odrzekła Beth. — Zrobiła mi zawód.

— Jak to?

— Wyznaczyłam ją na dzisiejszy ranny seans fotograficzny, a ona nie przyszła. Miałam piekielne urwanie głowy ze znalezieniem innej dziewczyny, która w dodatku nie jest odpowiednia do strojów, w jakie ma być ubrana.

— Ale gdzie może być Weronika? — Henryk miał nadzieję, że jego głos nie zdradza, jak bardzo jest zaniepokojony.

— Przypuszczam, że postanowiła zostać, jeszcze trochę na wsi. Mówiła mi, że jedzie na weekend do Hampshire.

— Miała zamiar spędzić go z Nancy u jej rodziców — powiedział Henryk. — Z tego, co pani powiedziała, wnioskuję, że Nancy wróciła.

Beth obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem, a potem odrzekła:

— Nie niepokoiłabym się, doprawdy, panie inspektorze. Mikołaj histeryzuje, bo miała pozować do ostatnich zdjęć, jutro jest jego pokaz, ale jestem pewna, że Weronice nic się nie stało.

— Mam nadzieję, że po prostu zwagarowała, ale porozmawiam z Nancy. Jeśli się pani czegoś dowie, proszę mnie zawiadomić.

Nancy Blake odezwała się w telefonie swoim przyjemnym niskim głosem:

— Nie, nie ma jej... Kto mówi? A, inspektor Tibbett! Dzień dobry panu. Nie widziałam pana od wieków... Nie, niestety, nie mam pojęcia... Pojechała w sobotę rano na weekend do przyjaciół na wieś... Nie, nie powiedziała dokąd... Co? Do moich rodziców? Nie! To znaczy... Oni są w tej chwili w Indiach i dlatego... Chyba pan źle ją zrozumiał... Mogę panu tylko powiedzieć, że odjechała stąd taksówką w sobotę rano... Co? Zaraz, niech pomyślę... Tak, miała na sobie beżowy tweedowy kostium i biały sweter, i czerwony płaszcz... Bez kapelusza... Tak, zabrała granatową skórzaną walizkę... O Boże, inspektorze, to chyba nic poważnego?... Jestem pewna, że nic jej się nie stało... Tak, oczywiście. Dam panu znać...

Henryk odwiesił słuchawkę bardzo zdenerwowany. Nasuwały się dwie możliwości i żadna nie była miła. Po pierwsze, Weronika świadomie skłamała przed nim. Dlaczego? Czy realizowała jakiś swój wariacki plan zabawy w detektywa? Czy wybrała się na niedozwolony weekend z chłopcem? Ale dlaczego nie wróciła? Henryk znał ją dostatecznie, by wiedzieć, że traktowała swoją pracę poważnie.

Zatelefonował do działu mody i zawiadomił, że spóźni się na spotkanie z panną Masters. Potem zadzwonił do Donalda MacKaya i powiedział mu szorstko, żeby zaraz przyszedł do niego do biura. Przypuszczał, że będzie musiał zastraszyć go, aby dojść prawdy.

Donald wyglądał wyraźnie przestraszony, gdy wszedł do pokoju. Henryk przybrał odpowiednio onieśmielający wyraz twarzy. Nie poprosił go, by usiadł, lecz zapytał prosto z mostu:

— No, panie MacKay? Co ja słyszę o panu i o Weronice?

Donald zaczerwienił się i odrzekł:

— Przykro mi, ale nie rozumiem pana...

— Owszem, rozumie pan. Gdzie ona jest?

— Nie mam pojęcia. Myślę, że w domu.

— Nie ma jej. Może to być bardzo poważna sprawa. Jeśli pan wie, gdzie ona jest albo gdzie spędziła weekend, musi mi pan to natychmiast powiedzieć.

— Nie ma jej? — W tonie jego brzmiało zdumienie.

— Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

— W środę wieczorem. Dzień po... wie pan. Jedliśmy razem obiad.

— Niech pan nie kłamie. Sama mi mówiła, że wychodzi z panem w piątek wieczór.

Donald znowu się zaczerwienił.

— Ja... to jest, tak. To znaczy, nie. Umówiliśmy się, że pójdziemy do kina, ale musiałem to odwołać. Moja matka zachorowała nagle... Ojciec zatelefonował do mnie w porze lunchu, wyszedłem wcześniej z pracy i pojechałem prosto do rodziców. Wróciłem dopiero wczoraj wieczorem. Ona czuje się już lepiej... to znaczy moja matka.

— Czy Weronika powiedziała panu, gdzie zamierza spędzić weekend?

— Ona... to znaczy... nie. Nie widziałem jej. Zadzwoiłem do niej, żeby ją zawiadomić, że nie będę mógł wyjść z nią wieczorem, i to wszystko.

— Gdzie mieszkają pańscy rodzice?

— W Essex.

— Czy mogę prosić o ich nazwisko, adres i numer telefonu?

Przez chwilę Donald wyglądał tak, jakby nim ośladnął paniczny strach. Potem opanował się i powiedział spokojnie:

— Oczywiście, jeśli panu zależy na tym, ale uważam, że to nie ma żadnego związku z zamordowaniem Heleny.

— Ale może mieć coś wspólnego z zamordowaniem Weroniki, jeśli nie będziemy rozważni — odrzekł posępnie Henryk.

— Wielki Boże! Chyba pan tak naprawdę nie myśli?

— Myślę. Więc proszę o adres i telefon rodziców pana.

— Farma Rabbit End, Hockton, Essex. Telefon Hockton osiemnaście. A rodzice moi nazywają się dość zabawnie: MacKay.

— Niech pan zaczeka. Zaraz do nich zadzwonię. I jeśli dowiem się, że pan nie powiedział mi prawdy...

— Ależ powiedziałem!

— Zobaczmy — odparł Henryk ujmując słuchawkę telefonu.

Odezwał się miły, gruby głos z wyraźnym akcentem szkockim.

— Tu MacKay. Rabbit End.

— Mówi inspektor Tibbett ze Scotland Yardu. Czy może mi pan

powiedzieć, kiedy widział pan po raz ostatni swego syna Donalda?

— Donalda? Czy chłopiec ma jakieś kłopoty? Opowiadał nam właśnie o tym morderstwie...

— Nie, nie ma żadnych kłopotów. Niech się pan nie niepokoi. Chciałbym tylko wiedzieć, kiedy widział go pan ostatni raz?

— Był tutaj do wczorajszego wieczora. Wyjechał pociągiem o ósmej piętnaście. Nie spodziewaliśmy się go teraz, ale moja żona poczuła się źle w piątek... cierpi na serce, biedaczka. Zadzwońtem do Donalda, który powiedział, że zaraz przyjedzie. Zjawił się w domu w porze podwieczorku i pozostał przez cały weekend. Żona czuje się już lepiej, chwala Bogu. Z tymi sercowymi dolegliwościami nigdy nic nie wiadomo. Raz wszystko przechodzi po paru godzinach, kiedy indziej trzeba leżeć w łóżku tygodniami.

— Rozumiem. Bardzo panu dziękuję. Chciałem tylko sprawdzić... Tak, czuje się doskonale. Jest teraz u mnie... Tak... Powtórzę mu... Do widzenia.

Uśmiechnął się do Donalda.

— Przepraszam — powiedział. — Okazało się, że mówił pan prawdę. Ojciec prosił, by panu powtórzyć, że zapomniał pan szczotki do zębów. Wysłała ją panu, więc niech pan nie kupuje nowej.

Donald odetchnął z ulgą i uśmiechnął się.

— Cieszę się, że pan mi w końcu wierzy. Ale pytanie, gdzie jest Weronika?

— Właśnie — Henryk starał się usilnie zachować zmysł proporcji. Ostatecznie Weronika oszukała go rozmyślnie i wyjechała samorzutnie. Choć mogło to zasługiwać na potępienie, wykluczało możliwość, że została porwana.

W tym momencie zadzwonił telefon.

— Inspektor Tibbett? — zaszemrał znajomy aksamitny głos. — Tu jeszcze raz Nancy. Może pan odwołać poszukiwania Weroniki.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Bo wiem, gdzie ona jest. A kiedy pan powiedział, że zmobilizuje policję, by jej szukała...

— Tak, tak, niech pani mówi dalej. Gdzie ona jest? — Henryk niecierpliwił się. Podobała mu się Nancy z tego, co już wiedział o niej, ale mogła doprowadzić do szału swoją powolnością.

— Jest w Porchester, w hotelu „Biały Jeleń”.

— W Porchester? W New Forest? Dlaczego nie powiedziała mi pani tego przedtem?

— Bo... — Nancy zawahała się. — Widzi pan, ona nie jest sama.

— Tak? — spytał Henryk złowieszczo. Pomyślał o bliskim spotkaniu z matką Weroniki i perspektywa ta nie sprawiła mu przyjemności. — Z kim ona tam jest?

— Z Donaldem MacKayem.

— Ależ... — Przez chwilę Henryk nie mógł znaleźć słów. Potem powiedział: — Skąd pani o tym wie?

— Właściwie wiedziałam cały czas. Nie mogłam zdecydować się, co powiedzieć, kiedy pan zadzwonił, więc zatelefonowałam do Beth — ona też o tym wiedziała — która powiedziała, że zastanawiała się, czy powiedzieć panu, czy nie, i w końcu postanowiłyśmy, że lepiej powiemy. Beth mówi, że pan jest taki miły, że na pewno nas pan zrozumie.

— Rozumiem coraz mniej — odrzekł Henryk. — Nie rozumiem jednej rzeczy, w jaki sposób Donald MacKay mógł być równocześnie

w hotelu „Biały Jeleń” w Porchester i u swoich rodziców w Essex?

Donald, który wpatrywał się w czubki swoich butów, podniósł wzrok, zaskoczony, i zaczął coś tłumaczyć. Henryk uciszył go niecierpliwym głosem.

— To bardzo proste. Mogę to wytłumaczyć — powiedziała Nancy.

— Doprawdy? To ciekawe.

— Widzi pan, ona dostała telegram...

— Jaki telegram?

— Zacznę lepiej od początku. W piątek wieczorem byłam na przyjęciu, a gdy wróciłam do domu, zastałam Ronnie bardzo przygnębioną. Powiedziała mi, że umówiła się z Donaldem na spędzenie razem weekendu w Porchester, a on zatelefonował, odwołując całą wyprawę z powodu matki, i powiedział, że musi jechać do Essex. Ale w sobotę rano przyszedł z samego rana telegram. Nadany widocznie wieczorem. Zdaje mi się, że leży jeszcze w pokoju Ronnie. Czy mam go przynieść i przeczytać panu?

— Tak, proszę — powiedział Henryk.

Zakrywając ręką słuchawkę zwrócił się surowym tonem, do Donaldalda:

— Powinien się pan wstydzić, młody człowieku. Za chwilę będę miał panu dużo do powiedzenia.

— Halo? Jest pan? Mam ten telegram. — Henryk usłyszał szelest papieru, kiedy Nancy wyjmowała telegram z koperty. Przeczytała:

— „Matka lepiej mogę jechać sobota bądź Waterloo pociąg 11.18 całąję Donald”.

— Kiedy to zostało nadane? — spytał Henryk.

— Zaraz. Zobaczę. — Po chwili: — To zabawne.

— Co?

— Telegram został nadany w piątek wieczór o ósmej czterdzieści w Londynie.

— Nancy, niech pani będzie tak miła, wsiądzie zaraz w taksówkę i przywiezie mi ten telegram tu, do „Mody”.

— Ależ ja jestem nieubrana!

— Niech pani włoży coś na siebie i pospieszy się. To może być poważna sprawa. — Henryk zawahał się i dorzucił: — Nie wyjaśniła mi pani jeszcze, dlaczego Weronika nie wróciła?

— Przypuszczam, że postanowili zostać tam trochę dłużej. Pewnie dobrze się bawią — wyjaśniła rozsądnie Nancy.

— Donald wrócił i jest w biurze.

— Wrócił? Ojej! No to gdzie jest Ronnie?

— Gdybym to wiedział, czułbym się lepiej. Czekam na panią za piętnaście minut.

Położył słuchawkę i zwrócił się do Donalda: — Nie powiem, co myślę o panu. Poczekam z tym. Na razie pytam, czy wysłał pan do Weroniki telegram w piątek wieczór?

— Nie. Na pewno nie.

— Kto jeszcze wiedział o chorobie pana matki?

— Wszyscy w biurze, jak sądzę. Ojciec zadzwonił do mnie i poprosił pana Walsh, żeby pozwolił mi wyjść wcześniej, abym zdążył na pociąg o czwartej czterdzieści z Liverpool Street. Pan Walsh odrzekł, że muszę poprosić pannę French, i tak też zrobiłem. Poszedłem do działu mody z kilku makietami i tam wspomniałem o tym. Beth nie było, ale inni musieli słyszeć.

— A ile osób wiedziało o pana pierwotnym planie zabrania Weroniki do Porchester na weekend?

Donald znowu się zaczerwienił.

— To nie było to, co pan ma na myśli. Ja strasznie lubię, Ronnie. I szanuję ją...

— Na razie nie mówmy o tym. Chcę wiedzieć, ile osób poza Nancy Blake i Beth Connolly wiedziało o waszym projekcie?

— Obawiam się, że prawie wszyscy.

— Jak to?

— No... zna pan Ronnie. Nie potrafi nic utrzymać przy sobie. Rozповідаła o tym po całym biurze.

— Rozumiem — powiedział Henryk, wcale nie rozbawiony. — A więc wszyscy, z wyjątkiem mnie, wiedzieli, że wybieracie się z Weroniką na — jak się to w latach mojej młodości nazywało — „wesoly weekend”?

— Tak... to znaczy, nie. — Donald nabrał odwagi. — Pozwoli pan, że powiem, sir... pan jest naprawdę okropnie staroświecki.

— W tym wypadku nie wstydzę się tego.

— Nie zrozumiał mnie pan. Chcę powiedzieć, że dziś wiele osób wyjeżdża wspólnie na weekendy i urlopy i wcale ze sobą nie śpi. Słowo daję. Fakt, że pan przypuszcza, że my... no... ludzie w czasach pańskiej młodości musieli żyć bardzo swobodnie. Jestem trochę zgorszony.

— Pan jest zgorszony? — Po raz drugi Henryk stwierdził, że zabrakło mu słów. Podejrzewał w duchu, że w tym przypadku Donald powiedział prawdę. — Aspekty tego zagadnienia można omówić później. Istota rzeczy polega na tym, że nie pojechaliście razem, chyba że ojciec pana skłamał, w co wątpię. Pozostał pan w Essex, a Weronika w tym czasie została umyślnie wywabiona z domu fałszywym telegramem. Wysłał go ktoś, kto znał wasze projekty, to znaczy ktoś z

biura. Może pan już iść, ale proszę nie opuszczać budynku. Będę pana prawdopodobnie potrzebował.

Kiedy Donald wyszedł, Henryk pogrzyżył się z przyjemnością w wirze aktywności. Odwracało to jego myśli od majaczącego przed nim koszmaru. Najpierw przekazał tę wiadomość Emmy i posłał ją jak najspieszniej do Scotland Yardu z kilkoma wybranymi fotografiami Weroniki. Potem zatelefonował do Yardu i polecił, by rysopis jego siostrzenicy i ubranie, które miała na sobie, zostały natychmiast podane do wiadomości publicznej, a sprawa potraktowana jako bardzo pilna. Polecił odnaleźć taksówkarza, który zawiózł Weronikę do Victoria Grove, i wysłał detektywów, żeby przebadali obsługę stacji Waterloo. Nancy przyjechała z telegramem, który od razu został wciągnięty w przepastną machinę policyjną. W krótkim czasie spodziewano się odnaleźć telefonistę, który go przyjął.

Dla dopełnienia formalności Henryk zatelefonował również do hotelu „Biały Jeleń” w Porchester. Powiedziano mu, że pan MacKay zamówił podwójny pokój na sobotę, ale w piątek po południu odwołał telefonicznie swoje zamówienie. Nie pojawił się nikt o tym nazwisku ani nikt odpowiadający rysopisowi Weroniki.

Czując, że zrobił wszystko, co mógł, w sprawie zniknięcia Weroniki, Henryk przeprowadził odkładaną długo rozmowę z Teresą. Siedziała przy biurku i wyglądała zachwycająco i tajemniczo jak zawsze.

— Czym mogę panu służyć, inspektorze?

Henryk usiadł, zapalił papierosa i spytał:

— Co się stało z małą paczuszką, o przywiezienie której z Paryża prosiła panią Helena Pankhurst?

Teresa wyglądała na zaskoczoną.

— O Boże! Zupełnie o tym zapomniałam. Jestem nieprzytomna
Pan wie, co w niej było?

— Tak — odrzekł Henryk i powiedział jej.

Teresa skinęła głową.

— Przykro mi, że zapomniałam. Ale to chyba nic ważnego? Ta-
ki drobiazg...

— Możliwe, że to kosztowało Helenę życie, jeśli sprawy potoc-
czyły się tak, jak mi się zdaje. Gdzie to teraz jest?

— W mojej... nie... nie. To dziwne. Jestem pewna, że zapakowa-
łam tę paczuszkę, ale teraz przypominam sobie, że gdy rozpakowałam
walizkę w śróde, tego tam nie było. Gdyby było, na pewno pamiętałam-
bym i powiedziałabym panu o tym.

— Nie było tego, bo ktoś zabrał.

— Na pewno nie. Musiałam zostawić paczuszkę w hotelu „Cril-
lon”. Wie pan, jaka jestem roztrzępana.

Tylko w niektórych sprawach, pomyślał Henryk, a głośno powie-
dział:

— Przypuszczam, że walizka pani nie była zamknięta?

— Nie, nigdy jej nie zamykam.

— Tak myślałem. I stała w ciemni przez cały tamten wieczór,
właściwie przez całą noc.

— Tak. Ale to niezwykle. Uważa pan, że ktoś ukradł...

— Uważam, że powinniśmy być bardziej ściśli. To nie była kra-
dzież w dosłownym tego słowa znaczeniu. Tym kimś była Helena.

— Helena? No to gdzie to teraz jest?

— Przypuszczam, że już nie istnieje — odrzekł Henryk. — Zresz-
tą, na razie mniejsza o to. Chciałem tylko sprawdzić u pani, czy moje
przypuszczenia są słuszne. Proszę powiedzieć mi teraz coś innego. Co

to za tajemnicze pogłoski krążą wokół osoby Mikołaja Knighta?

Teresa zbladła i Henryk zauważył, że zacisnęła mocno pięści.

— Pogłoski? Jakie pogłoski? Nie wiem, o czym pan mówi.

— Sądzę, że pani wie. Chodzi mi o pogłoski na temat kradzieży modeli z Paryża.

— Ach, o to. — Wydawało się, że Teresa odetchnęła. — To plotka związana z jego zawodem. Nie zainteresuje pana.

— Owszem, bardzo.

— Chodzi po prostu o to, że Mikołaj ma niezwykły dar odtwarzania paryskiej linii kroju, gdy tylko spojrzy na sfotografowany model. Nie sprzedaje tanio, ale jego ceny są niczym w porównaniu z cenami oryginalnych modeli w firmach Diora czy Monniera. Więc wiele kobiet zamawia u Mikołaja „nadzwyczajności paryskie”, jak on to nazywa, które kosztują znacznie więcej niż suknie z jego normalnej kolekcji. Nie robi tego dla każdego, tylko dla wybranych klientek.

— Czy utrzymuje to w tajemnicy? — spytał Henryk.

Teresa uśmiechnęła się;

— On nie, ale jego klientki tak. Zależy im oczywiście, by myśleć, że kupiły w Paryżu te suknie, a nie ich skopiowane modele po niższej cenie. Prawdę mówiąc, dowiedzieliśmy się o tym tu w „Modzie” bardzo niedawno. Kiedy zaczęły krążyć plotki, ludzie opowiadali, że skopiowane modele są tak dobre, że muszą być oparte na oryginalnych toiles. Uważam, że to bzdura. Myślę, że Mikołaj zdobywa nielegalnie fotografie, zanim zostaną one opublikowane, ale to jeszcze nie grzech śmiertelny. Zresztą, zdarzyło się kilka niezbyt przyjemnych

historii, gdy kobiety, które nabyły oryginalny model, zetknęły się bezpośrednio z kopią Knighta, ale nie było z tego powodu skandalu, nastąpił dopiero jakiś miesiąc temu, kiedy księżna Basingstoke pojawiła się na dobroczynnej wencji w takiej samej sukni jak aktorka Felicja Fraser. Suknia księżnej była oryginalnym modelem przywiezionym tamtego ranka od Monniera. Suknia Felicji pochodziła od Knighta.

— A dlaczego wywołało to większy skandal niż inne podobne wypadki?

— Bo księżna była wściekła. Nie na Knighta, lecz na Monniera, który zapewnił ją, że jej suknia jest absolutnie jedyna. Żaliła się gorzko przed nim, a on potwierdził wraz z całą plejadą świadków, że model tej sukni nie wyszedł nigdy z ich salonu i nigdy nie był fotografowany. Kiedy wybrała ją na pokazie, wycofano suknię z areny, że tak powiem, i zamknięto pod kluczem dla niej.

— A jak tłumaczył się Knight?

— Powiedział, że ktoś, kto był na pokazie prasowym, opisał mu tę suknię i że przestudiował krój na zdjęciach modeli.

— Czy to jest możliwe?

Teresa wzruszyła ramionami.

— Wątpię.

— Istnieją oczywiście takie rzeczy jak miniaturowe aparaty fotograficzne udające zapalniczki i tak dalej. Ale do tego jest potrzebny doświadczony fotograf.

Teresa miała niewyraźną minę, ale nic nie powiedziała.

— Myślę, że pewnego dnia prawda wyjdzie na jaw — dodał Henryk. — To tylko jeden z wątków w skomplikowanej historii. A propos, jaki numer pokoju miała pani w „Crillon”? Sprawdź w hotelu

na wypadek, gdyby pani zostawiła tam tę paczuszkę.

— Jestem pewna, że... — zaczęła Teresa. Nagle twarz jej się rozjaśniła. — Wiem, kto może pamiętać!

— Kto?

— Weronika Spence. Widzi pan, tego ostatniego dnia byłam bardzo zapracowana, więc ona poszła i załatwiła za mnie ten sprawunek. Może jest jeszcze u niej.

— Mam nadzieję, że się pani myli.

Zostawił Teresę zupełnie zdezorientowaną i poszedł do działu graficznego. Donald pracował w milczeniu, w kącie, starając się, żeby go było jak najmniej widać. Nie zwracając na niego uwagi, Henryk poszedł do biurka pod oknem, przy którym siedział Patryk i rysował coś w swoim notesie.

— Może mi pan poświęcić parę minut? — spytał inspektor.

— Chyba tak — odrzekł chmurnie Patryk. Odsunął krzesło. — Ten pokój przyprawia mnie o klaustrofobię. Chodźmy się czegoś napić.

— Dobrze. Dokąd pójdziemy?

— Znam obskurny mały pub na tyłach gmachu — odrzekł Patryk, rozchmurzając się nieco. — Nie ma obawy, że spotkamy kogoś z „Mody”. Za brudno tam.

Pub był brudny, wygodny i pusty. Henryk i Patryk zasiedli na dębowej ławie. Patryk zamówił dużą whisky, a Henryk sok pomidorowy. Patryk spojrzał na niego z niepokojem.

— To paskudztwo nie pójdzie panu na zdrowie — zauważył. — Niech pan weźmie coś mocniejszego.

— Nie lubię pić, kiedy załatwiam sprawy służbowe.

— Wygląda pan tak, że przydałyby się panu dwa mocne drinki — odrzekł Patryk. — O co chodzi?

— Weronika Spence zaginęła.

— Ta ładna małą modelka? To dziwne! A gdzie ona jest?

— Gdybym to wiedział, nie byłaby zaginiona.

— No, tak. Rozumiem. — Patryk roześmiał się nagle. — Prawdopodobnie znalazła sobie innego chłopca na pociechę po straconym weekendzie z Donaldem.

— Wiedział pan o tym?

— Chyba wszyscy wiedzieli. Paplała o tym w piątek po całym biurze.

— Mały głuptas — powiedział Henryk z goryczą.

— Czy o tym chciał, pan ze mną mówić?

— Nie, ale dlatego wyglądam tak, jakbym potrzebował drinka.

— To do czego jestem panu potrzebny?

— Dlaczego nie powiedział mi pan, co wiedzieliście z Heleną na temat przemykania modeli z Paryża?

Patryk wyglądał na zaskoczonego.

— Skąd pan o tym wie? — spytał.

— Jestem detektywem. — Parafrazując Michała dodał: — Płacę mi za to, żebym wykrywał różne sprawy.

— Z początku nic panu nie mówiłem, bo sam nic nie wiedziałem.

— Co to ma znaczyć?

— Helena przyszła do mnie i poprosiła, żeby dać jej pewne rzeczy i dokonać pewnych eksperymentów. Nie wiedziałem, w jakim celu. Dopiero później uświadomiłem sobie, w jaki sposób można to wykończyć... i wtedy naturalnie milczałem.

— Dlaczego?

— Sądzi pan, że mógłbym obwiniać kochaną dziewczynę po jej śmierci? Na pewno nie. A poza tym... no... to nie był właściwie pomysł Heleny. Pracowała dla kogo innego.

— Dla kogo?

— Dla pewnego Iksa — odrzekł Patryk.

Kiedy Henryk wrócił do gmachu „Mody”, znalazł karteczkę ze Scotland Yardu z prośbą, żeby zadzwonił. Posłał po sandwicha zamiast lunchu i podniósł słuchawkę telefonu.

Okazało się, że zaczęły napływać meldunki. Telegram został wysłany z urzędu pocztowego na Charing Cross Road — jednego z niezliczonych w Londynie otwartego do późnej nocy. Urzędnik był pewny, że nadawczynią telegramu była kobieta. Nie, nie poznałby jej, dlatego właśnie ją pamięta, dodał paradoksalnie. Poproszony o bliższe szczegóły, wyjaśnił, że kobieta wyglądała dziwnie — była okutana w płaszcz nieprzemakalny i duży szalik, w kapeluszu nasuniętym na oczy, i mówiła jakimś zabawnym szeptem. Powiedziała mu, że jest okropnie zakatarzona. Zapytany, czy mógł to być przebrany mężczyzna, urzędnik zaprzeczył stanowczo. Miała piękne ręce z długimi paznokciami pomalowanymi na czerwono, a jedyna rzecz, jaką dobrze zapamiętał, gdy odchodziła, to jej wspaniałe nogi. Pantofle na wysokich, cienkich obcasach, z wydłużonymi nosami. Nie można nauczyć się w nich chodzić, trzeba się taką urodzić. Przekonało to Henryka. Nie mógł to być mężczyzna.

Kierowca taksówki został odnaleziony i potwierdził, że zabrał Weronikę z Victoria Grove i zawiózł na Waterloo. Oczywiście, pamięta ją dobrze. Czy można zapomnieć taką ładną dziewczynę w jasnoczerwonym płaszczyku, umalowaną taką zabawną brązową szminką.

Dziewczyna wy-dawała się bardzo wesoła i podniecona, paplała przez całą drogę. Powiedziała mu, że ta szminka to ostatni krzyk mody w Paryżu. Wspomniała, że jedzie do Porchester na weekend z przyjacielem. Po raz ostatni widział ją, jak szła na stację w kierunku peronów.

A jednocześnie, kolejarz odbierający bilety przy wejściu na peron dziesiąty był zupełnie pewny, że nie wsiadła ona do pociągu jadącego do Porchester, oczywiście, było dużo ludzi, ale z całą pewnością zapamiętałby ją, gdyby to była taka ładna dziewczyna. Poza tym, zgodnie z oświadczeniem taksówkarza, przyjechała na dworzec o jedenastej, kiedy zaczęto właśnie wpuszczać ludzi na peron i było ich bardzo mało. Personel na stacji w Porchester twierdził jeszcze bardziej stanowczo, że z tego pociągu nikt nie wysiadł. Była to mała stacja i Weronika z pewnością nie przeszłaby nie zauważona. Wydawało się, że rozplynęła się w powietrzu między wejściem na dworzec Waterloo a przejściem na peron dziesiąty.

Inna jeszcze informacja oczekiwała Henryka. Grafolodzy zbadali dokładnie list Heleny i wydali jednogłośnie opinię, że obie kartki napisała ta sama ręka.

Rozdział XIII

Wieczorem dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludności Wielkiej Brytanii dowiedziało się o zaginięciu Weroniki Spence. Henryk stwierdził, że jedyną jego nadzieją jest szeroka kampania prasy, radia i telewizji. Równocześnie bardzo się obawiał, że może to być akcja spóźniona. Dziewczyna zniknęła w sobotę, alarm został podniesiony

dopiero w poniedziałek. Jedna rzecz tylko dodawała mu nadziei. Lepiej niż ktokolwiek znał typową skłonność morderców do powtarzania swoich wyczynów. A Weronika nie została otruta. Starannie opracowany plan uprowadzenia sugerował raczej porwanie niż morderstwo. Jednakże Henryk nie zapomniał ani na chwilę, że ma do czynienia ze sprytnymi ludźmi.

Spędził poniedziałkowy wieczór w Scotland Yardzie siedząc przy telefonie. Emmy borykała się dzielnie ze zrozpaczonymi rodzicami Weroniki, którzy przyjechali z Devon i zostali zaatakowani przez fotoreporterów i dziennikarzy. Emmy przy pomocy kilku rosyjskich policjantów zdołała doprowadzić ich bezpiecznie do taksówki. Siedzieli teraz w trójkę w mieszkaniu przygnębieni, w milczeniu pełnym napięcia, rozpacz i pretensji. Co prawda, ani Jane, ani Billowi nie przyszło do głowy powiedzieć do Emmy: „Gdybyś nie zachęcała jej do zostania modelką, nigdy by się to nie zdarzyło!” Ale Emmy, nie-szczęśliwej i pełnej poczucia winy, wydawało się, że ze wszystkich ścian sączą się nieme wymówki. Słowa rozbrzmiewały cicho w jej uszach, aż pragnęła wykrzyknąć głośno: „No dalej! Powiedzcie mi wreszcie! Powiedzcie!” Nie był to miły wieczór.

Tymczasem do Scotland Yardu napływały wiadomości. Rozgłos, jaki nadały tej sprawie wieczorne dzienniki i telewizja, spowodował, że zbiegli się, jak zazwyczaj w takich wypadkach, ludzie niezbyt normalni, ekshibicjoniści i wykolejeńcy, których opowiadań trzeba było cierpliwie wysłuchiwać. Zjawił się zwariowany beatnik z Clapham i przysięgał, że Weronika była porzuconą przez niego kochanką, której osobiście poderżnął nożem gardło; jakaś na pozór poważna stara panna

z Oksfordu utrzymywała, że spotkała Weronikę w bufecie drugiej klasy na dworcu Waterloo i że Weronika zwierzała się jej, iż obawia się o swoje życie, bo ściga ją międzynarodowy gang szpiegowski. Miły, krótkowzroczny starszy pan utrzymywał uparcie, że siedział naprzeciwko Weroniki w metrze... chyba to było District Line... a może Central? W każdym razie wydawało mu się, że w metrze. Pod presją szczegółowych pytań przyznał jednak, że młoda kobieta, którą widział, miała na sobie granatowy kostium — a może zielony? — futrzaną czapkę i nosiła okulary w rogowej oprawie. Ale miała przy tym taką słodką buzię... Mówił wciąż jeszcze do siebie, gdy uprzejmy policjant wyprowadzał go łagodnie na ulicę.

Pierwsza naprawdę interesująca wiadomość nadeszła drogą telefoniczną około siódmej wieczorem. Zadzwoiła niejaka pani Trout z Surbiton. Ta miła kobieta nie wydawała się ani nienormalna, ani rozhisteryzowana i twierdziła spokojnie, że widziała Weronikę w toalecie dla pań w Waterloo parę minut po jedenastej w sobotę rano.

— Pamiętam godzinę, bo przyszłam po wizycie u okulisty na pociąg odchodzący o jedenastej dwanaście i zastanawiałam się, czy zdążę... upudrować sobie nos. Zauważyłam ją, bo była bardzo ładna, nawet z tą dziwną modną szminką. No i zapamiętałam jej jaskrawoczerwony płaszcz. Weszliśmy do sąsiadujących kabin. Kiedy wyszłam, nie było już po niej śladu. Drzwi do jej... to znaczy drzwi obok moich drzwi, miały nadal napis: „Zajęte”, więc przypuszczałam, że ona jeszcze nie wyszła. Musiałam się spieszyć na pociąg. Więcej jej nie widziałam.

— Czy zauważyła pani coś jeszcze? — spytał Henryk. — Coś, co mogłoby dać nam jakąś wskazówkę...

— Zauważyłam, że była podniecona. Zarumieniona, uśmiechająca

się do siebie. Ta dziewczyna jedzie na spotkanie z chłopcem, pomyślałam.

— Nic innego?

— Nic. Mam nadzieję, że ją znajdziecie, panie inspektorze. Taka ładna dziewczyna...

Po telefonie pani Trout wysłano detektywa, żeby porozmawiał z panią O'Reilly, obsługującą toaletę damską na stacji. Zastał ją po pracy w domu przy Waterloo Road skuloną przed kominkiem na wygodnej kanapce. Układała pasjansa i pociągała z butelki. Przywitała go wylewnie.

Tak się szczęśliwie złożyło, że pani O'Reilly należała, jak się okazało, do tego jednego procentu publiczności brytyjskiej, który ani nie kupił wieczornej gazety, ani nie otworzył radia tego wieczoru, i poza tym nie posiadała telewizora. I dlatego to całe larum w ogóle do niej nie dotarło. Potwierdziła od razu słowa pani Trout. Jej bystre, piwne oczy błyszczwały wesoło jak u wróbelka pod strzechą siwych włosów.

— Pewnie, że widziałam tę młodą panią — powiedziała. — Mówi pan na pewno o tej w czerwonym płaszczu. Niech pan nie pyta, o której godzinie przyszła, bo tego panu nie powiem. Wiem tylko, że przed południem. Wzięłam od niej pensa i zaprowadziłam ją, gdzie trzeba, jak prowadzę wszystkie panie... Wytarłam przedtem trochę sedes, bo nigdy nie wiadomo, wie pan... Miała ze sobą walizkę, to pamiętam, i była ładna jak obrazek. To pewnie jakaś modelka, gwiazda filmowa czy coś w tym rodzaju...

— Czy widziała pani, jak wychodziła?

— Nie, dziwne, ale nie widziałam. Oczywiście o tej porze jest ruch, sobota rano, wszystkie panie, zmęczone zakupami, chcą załatwić

swoją potrzebę. Musiała wyjść kiedy ja byłam zajęta kim innym. Napije się pan piwa, panie konstablu?

Niewiele więcej mogła opowiedzieć pani O'Reilly; przypomniała sobie jeszcze, że Weronika korzystała z ostatniej kabiny po lewej stronie od wejścia. Toaleta została natychmiast zamknięta przez policję ku wielkiej niewygodzie żeńskiej połowy podróżnych i Henryk osobiście poszedł tam, żeby zbadać miejsce, gdzie ostatni raz widziało jego siostrzenicę. Nie miał właściwie nadziei, że odkryje coś ciekawego, ale trzeba to było zrobić.

Nie zauważył nic godnego uwagi w kabinie, z której korzystała Weronika. Była czysta i nijaka jak wszystkie. Na półce za drzwiami leżały, jak zwykle w takim miejscu, używane płatki do wycierania twarzy, kawałki waty i papierki po batonach czekoladowych. Wszystko to zostało sumiennie, kolejno przejrane. Nagle Henryk powiedział:

— Tego używała Weronika.

Sierżant spojrzął na niego oniemiały, jakby objawił jakieś nadprzyrodzone siły.

— Skąd pan wie, panie inspektorze?

Henryk wziął do ręki mocno zabrudzony kleenex, na którym odcinał się dziwny kolor brązowej szminki, którą widział na wargach Weroniki w studio „Mody”. Widoczne też tam były ślady ciemniejszego brązu i zieleni.

— Oczywiście, nie jestem absolutnie pewny — powiedział — ale nie wydaje mi się, żeby szminka tego koloru była już sprzedawana w Anglii. Byłby to niezwykle zbieg okoliczności, gdyby inna dziewczyna przywiozła ją z Paryża i skorzystała dla umalowania warg z tej samej kabiny w toalecie.

— Wygląda na to, że poprawiała makijaż i włosy — powiedział

sierżant. — Na podłodze leży kilka szpilek... takich jasnych, jakich używają tego typu dziewczęta. Niewiele nam to zresztą pomoże. Chcemy przecież wiedzieć, co ona zrobiła, jak wyszła stąd.

— No, tak — powiedział Henryk pogrążony w myślach.

Ślad zdawał się tu urywać całkowicie. Co się stało z Weroniką na przestrzeni tych paru jardów między toaletą damską a wyjściem na peron 10? Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie wydawało się takie, że spotkała kogoś znajomego, kto wiedział, że ona tu będzie. Ta osoba wymyśliła historię, która skłoniła Weronikę do zmienienia zamiaru wyjazdu pociągiem do Porchester. Skoro myślała, że przy wyjściu na peron spotka Donalda, istniała możliwość, że ta znajoma osoba zaproponowała jej podwiezienie do Hampshire, twierdząc, że Donald czeka już w samochodzie. Takie wyjaśnienie narzucało się Henrykowi. Były jeszcze dwie inne możliwości, lecz obie napełniały go większą obawą.

Po powrocie do Scotland Yardu przejrzał jeszcze raz wypowiedzi, które zebrał w ciągu popołudnia. Sprawą podstawową było ustalenie, gdzie znajdowali się o jedenastej rano w sobotę ci wszyscy, którzy wiedzieli o planach Weroniki i Donalda. Otworzył notes i wypisał dwie listy nazwisk — tych, co mieli alibi, i tych, co nie mieli.

Donald MacKay otwierał listę tych, których postępowanie tłumaczyło się wystarczająco. Henryk właściwie nie powątpiewał w prawdziwość słów ojca Donalda, ale na wszelki wypadek polecił miejscowej policji, by to sprawdziła. Donalda znano dobrze w miasteczku i zarówno personel stacji, jak okoliczni sklepikarze potwierdzili, że przyjechał w piątek wieczorem i pozostał tam do niedzieli. Ojciec jego udzielił dodatkowej informacji mówiąc, że Donald wstał

wcześniej i poszedł na długi spacer w sobotę rano, a kwadrans po dwunastej rzucał strzałkami do tarczy w tamtejszym pubie.

Następne na liście było nazwisko Beth Connolly, która chesała się u swojej fryzjerki od wpół do jedenastej do dwunastej, a zaraz potem poszła na lunch z koleżanką.

Teresa i Michał dostarczyli sobie nawzajem alibi, co było już mniej zadowalające. Utrzymywali, że byli w domu. Może to potwierdzić pokojówka. Ale oczywiście nie mogła.

Dwaj ostatni na tej liście wydawali się zupełnie czysti. Mikołaj Knight i Horacy Barry. Henryk włączył ich do tej grupy, bo pamiętał, że Weronika i Barry byli w pracowni Knighta w piątek rano, i oczywiście obaj, przyznali się, że wiedzieli o projektowanym weekendzie w Porchester. Utrzymywali też, że nie wiedzieli nic o Donaldzie MacKayu ani o jego matce, ale Henryk postanowił to sprawdzić. Okazało się, że Mikołaj pracował w swoim atelier od dziesiątej rano do piątej po południu. Nie wyszedł nawet na lunch, zadowolając się kanapką, którą mu przyniesiono. Horacy Barry zaś spędził weekend ze znajomymi w Brighton, gdzie przebywał od piątku wieczorem.

Drugą listę otwierało nazwisko Racheli Field, która oświadczyła, że spędziła sobotni rano robiąc zakupy weekendowe na Kensington High Street. Była jedynie w dużych domach towarowych, a Henryk, myśląc o tłumach robiących zakupy w sobotę, nie zdziwił się, że nikt ze sprzedawców jej nie pamięta. I tak zresztą niczego to nie dowodziło: w przeciwieństwie do Weroniki Racheli nie była osobą, którą się zapamiętuje.

Następnym na liście był Patryk. Twierdził, że nie wychodził z domu

i malował. Poza listonoszem, który przyniósł mu paczkę około wpół do dziesiątej, nikogo nie widział. Wyjaśnienie Margaret French na temat tego, co robiła, było równie nieprzekonujące. Powiedziała Henrykowi, że cały ranek spędziła w domu na pisaniu. Ale był ciekawy szczegół w jej oświadczeniu. Utrzymywała, że próbowała kilkakrotnie w ciągu ranka dodzwonić się do Patryka, by umówić się z nim na pogrzeb Heleny, i cały czas telefon był zajęty. W końcu poprosiła telefonistkę o sprawdzenie numeru i otrzymała informację, że słuchawka jest odłożona. Ostatecznie udało się jej dodzwonić, jak powiedziała, o wpół do drugiej. Zapytany o to Patryk wyjaśnił po prostu, że często odkłada słuchawkę, gdy pracuje i nie chce, by mu przeszkadzano. Było to na pozór zupełnie sensowne wyjaśnienie, ale budziło wątpliwości.

Olwen Pipper dała zupełnie niezadowolające sprawozdanie z tego, co robiła. Twierdziła, że rano zaczęła pakować garderobę Heleny, ale to smutne zajęcie i myśl o popołudniowym pogrzebie wprawiły ją w tak smutny nastrój, że postanowiła uciec się do stosowanego zazwyczaj przez nią środka, mianowicie do spaceru bez specjalnego celu. Zdecydowała też, że za nic nie pójdzie na pogrzeb. Wyszła z domu o wpół do jedenastej i po prostu spacerowała. Sama nie wie gdzie... po ulicach. Była zanadto przygnębiona, żeby zwracać na cokolwiek uwagę. O trzeciej uświadomiła sobie nagle, że jest głodna, i to ją jakoś otrzeźwiło. Stwierdziła, że zawędrowała aż na Kilburn. Zjadła jajka z frytkami w jakimś barze i metrem wróciła do domu. Szczęśliwie Henryk na podstawie jej opisu zidentyfikował ten bar, którego właściciel przypomniał ją sobie. To też znowu niczego nie dowodziło. Pani Sedge,

która sprzątała mieszkanie, potwierdziła, że Olwen wyszła o wpół do jedenastej i nie wróciła jeszcze, gdy ona w południe odchodziła.

Listę osób bez alibi zamykał Godfrey Goring. Choć stwierdził kategorycznie, że nawet nie słyszał o Weronice Spence, Henryk pomyślał, że był on w biurze w piątek i trzeba sprawdzić, co robił. Goring powiedział, że spędził rano w biurze przy pracy. Nie było tam nikogo innego. Jak zwykle zjadł lunch w „Oranżerii”, co zostało w pełni potwierdzone. Ale tu też była drobna nielogiczność. Portier z „Oranżerii” utrzymywał, że Goring nie przyszedł na lunch z biura po drugiej stronie ulicy, ale przyjechał swoim Bentleyem. Goring wyjaśnił to mówiąc, że zostawił samochód na parkingu, a uświadomiwszy sobie, że wyznaczony na postój czas upłynął, postanowił znaleźć dla wozu inne miejsce przed „Oranżerią”.

Henryk przestudiował starannie swoje dwie listy. Na drugiej zrobił mały krzyżyk przy nazwiskach Patryka, Margery i Goringa. Byli to ludzie, którzy mieli samochody.

Potem postanowił rozważyć wszystko dokładnie. Myślał o Weronice i o tym, co mówiła, i o pobrudzonym szminką kleenexie. Myślał o członkach zespołu redakcyjnego „Mody”, o zagubionym kluczu, o Mikołaju i Horacym, i o paczuszcze przywiezionej przez Teresę z Parryża. A przede wszystkim myślał o Donaldzie MacKayu.

Za kwadrans dziesiąta zatelefonował do niego i gospodyni powiedziała mu, że pan MacKay wyszedł o szóstej, a ona nie potrafi powiedzieć, gdzie jest i kiedy wróci. Henryk włożył płaszcz i autobusem pojechał na Piccadilly. Stamtąd poszedł pieszo na Earl Street.

Padał gęsty deszcz i zimny wiatr hulał po wąskiej ulicy. W gmachu „Mody” było ciemno i najwyraźniej pusto. Tylko „Oranżeria”,

rzęsiście oświetlona, wyglądała kusząco, ale portier schronił się rozsądnie w środku i wylaniał się tylko wtedy, gdy podjeżdżała taksówka przywożąca gości. Jedyną żywą istotą w zasięgu wzroku był mężczyzna z koszem róż, stojący samotnie na chodniku. Z pracowni Mikołaja Knighta, dwa piętra wyżej, sączył się w dół na zmytą deszczem ulicę strumień światła. Henryk podszedł do sprzedawcy róż.

— Ile kosztuje pół tuzina?

Mężczyzna podciągnął wyswiechtany płaszcz deszczowy nieomal do nosa osłaniając się przed chłodem. Kołnierz stykał się prawie z kraciastą czapką nasuniętą głęboko na oczy.

— Dziesięć szylingów, proszę pana — odpowiedział grubym głosem.

— Chyba już czas, żebyśmy porozmawiali, panie MacKay — powiedział Henryk.

Zanim zorientował się, co się dzieje, mężczyzna cisnął mu w twarz kosz z różami. Gdy oprzytomniał, ulica była pusta. Henryk pobiegł do automatu telefonicznego znajdującego się za budynkiem „Mody” i zadzwonił do Scotland Yardu.

— Nie, nie aresztujcie go. Jeszcze nie. Trzeba go odnaleźć i śledzić. I zawiadomcie policję w Essex, żeby poszukali...

W Chelsea Henryk zastał siedzącą samotnie przy kominku Emmy w stanie skrajnego przygnębienia i udręczoną wyrzutami sumienia. Udało się jej wreszcie przekonać siostrę i szwagra, żeby się położyli; piła teraz whisky w coraz większej melancholii. Gdyby nie zachęcała Weroniki do przyjazdu do Londynu... Gdyby bardziej nad nią czuwała... Gdyby... Gdyby... Z prawdziwą ulgą usłyszała zgrzyt klucza w

zamku, kiedy Henryk otwierał drzwi.

Próbował ją trochę pocieszyć.

— Sądzę, że istnieje szansa, iż Ronnie żyje — powiedział. — Nie chcę budzić płonnych nadziei, ale moim zdaniem jest na razie bezpieczna. Jeśli uda mi się jutro dobrze wszystko rozegrać...

— Nie próbuj mnie pocieszać, Henryku — powiedziała szorstko Emmy. — Osobiście uważam, że ona nie żyje od soboty. Ostatecznie morderca nie miał żadnych skrupułów w wypadku Heleny.

— Wypadek Weroniki to zupełnie co innego.

— Henryku, musisz mi wyjaśnić...

— Nie mogę. Naprawdę nie mogę, moja droga. Muszę się położyć i przespać. Jest jeszcze dużo do zrobienia jutro przed wpół do trzecią.

— A co będzie o wpół do trzeciej?

— Pokaz strojów Mikołaja Knighta — odpowiedział Henryk. — Dostałem zaproszenie na tę uroczystość.

Emmy nieomal zaniemówiła.

— To znaczy, że zamierzasz spędzić popołudnie oglądając pokaz mody, gdy Weronika...

— Myślę, że to może być niezwykle pokaz mody — powiedział Henryk.

Rozdział XIV

Z samego rana udał się do Scotland Yardu. Połączył się telefonicznie z kilku osobami w Londynie i na wsi. Wydał też polecenia swym podwładnym i wysłał pracownika w cywilnym ubraniu do archiwum londyńskiego, aby dokonał tam pewnych poszukiwań.

Z zadowoleniem przyjął paczuszkę, która nadeszła do niego, wysłana ekspresem z Paryża. Wsunął ją do kieszeni swego płaszcza. Potem poszedł na Wimpole Street, gdzie miał krótką przyjacielską rozmowę z sir Jamesem Braithwaite'em. Następnie udał się do domu „Mody”. Tu odbył najpierw prywatną rozmowę z Margery French i spytał ją, czy nie dałoby się zaaranżować pewnych rzeczy.

— Nie jest to w zwyczaju, inspektorze, ale mogę to zrobić dla pana — powiedziała Margery, jak zawsze uprzejmie.

Henryk zauważył jednak u niej ciemniejsze niż zawsze kręgi pod oczami mimo makijażu. Stwierdził — jak i wielu jej kolegów — że musi pewnie stale pamiętać o tym, że jest kobietą chorą i bliską porzucenia pracy na polecenie lekarza.

Następnie Henryk poszedł porozmawiać z Michałem Healy. Nie była to miła rozmowa, ale musiał ją przeprowadzić. Potem, uzbroiwszy się w męstwo, miał długą, przykrą rozmowę z Teresą. Jej rozpacz była wyraźna, ale Henryk zdał sobie sprawę, że tak, jak przypuszczał, nie zdziwiła się tak bardzo tym, co jej powiedział. Wreszcie udał się do działu mody, żeby odebrać od Beth Connolly bogato tłoczoną kartę z zaproszeniem dla nadinspektora Tibbetta na pokaz kolekcji wiosennej Mikołaja Knighta, mającej się odbyć tego popołudnia. Potem poszedł napić się na pociechę kawy w jednym z licznych ekspresowych barów w pobliżu i wdał się tam w miłą rozmowę z blondynką siedzącą na sąsiednim stołku. W pogodniejszym już nastroju wrócił do Scotland Yardu.

Z zadowoleniem przyjął wiadomość, że wynik badań w archiwum londyńskim okazał się właśnie taki, jak przewidywał — odgadł go

trafnie, opierając się na słabych dowodach. Umocniony w swym przekonaniu, że rozwiązał właściwie sprawę, oczekiwał popołudnia z nieomal miłym podnieceniem. W tym momencie otrzymał błyskawiczny telefon od policji z Essex.

Kiedy Henryk wszedł do salonu Mikołaja Knighta, pracownicy „Mody” już tam byli, chociaż pokaz jeszcze nie zaraz miał się rozpocząć. Paru innych dziennikarzy i fotografów siedziało na małych niewygodnych krzeselkach lub stało grupkami, plotkując; ale przeważali ludzie z „Mody”, skupieni razem, jakby w samoobronie, w najdalszym końcu długiego, czarno-białego salonu. Pokój wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Henryk widział go po raz ostatni. Połączone krzeselka stały rzędami wzdłuż trzech ścian, a przez środek pokoju biegła rampa udrapowana czarnym aksamitem, przechodząca w małe proscenium i niknąca za czarną zasłoną, za którą, jak wiedział Henryk, znajdowała się pracownia.

Salon został szczerze przybrany na tę okazję gałązkami mimozy, puszystej jak świeżo wyklute kurczątko, którą za drogie pieniądze sprowadzono samolotem z południa Francji. Pomysł ten, który Mikołaj uważał początkowo za wspaniały, okazał się niefortunny, bo suche, gorące powietrze z centralnego ogrzewania spowodowało, że z kwiatów mimozy opadały chmury delikatnego pyłu na tych, co siedzieli pod nimi, ze szkodą dla wielu eleganckich, przybranych futrem kapełuszki i wełnianych kostiumów.

Henryk zatrzymał się u szczytu schodów, spoglądając w otwarte drzwi. Skupił swoje zainteresowanie na grupce pracowników „Mody”.

Zjawili się licznie, wielu z nich wyglądało na zdenerwowanych i zmartwionych. Atmosfera gorączkowego podniecenia towarzyszącego każdemu pokazowi prasowemu zdawała się tu naprężona do najwyższych granic.

Jak zwykle? Margery French była ze wszystkich najbardziej opanowana. Miała na sobie ciemnoczerwony kostium i swój kapelusz przybrany futrem z norek i starała się prowadzić swobodną rozmowę z młodszym personelem działu mody. Teresa z nieszczęśliwą miną, czemu nie można się było dziwić, siedziała sama, trochę z dala od innych. Henryk spostrzegł, że podeszła do niej Beth i coś jej powiedziała. Teresa zdobyła się na nikły uśmiech, a potem rysowała coś bezmyślnie na trzymanym w ręku programie.

Trochę dalej Henryk spostrzegł dziwną parę zajęłą poważną rozmową: Rachelę Field i Horacego Barry. Rachelę wydawała się mniej opanowana niż zwykle. Policzki miała z lekka zaróżowione i mówiła z ożywieniem. Prawdopodobnie o kotach, pomyślał Henryk.

Kiedy jeszcze wahał się na progu, usłyszał wesołe, donośne męskie głosy na schodach za sobą i odwróciwszy się zobaczył Patryka Walsha i Michała Healy. Obaj wydawali się być w świetnych humorach. Henryk przypuszczał, że byli razem na lunchu, i to dobrym, zwłaszcza jeśli idzie o trunki. Zaczęli się już schodzić inni goście i dwaj mężczyźni minęli Henryka nie zauważając go.

Weszli na salę. Henryk spostrzegł, że Teresa podniosła baczny wzrok, pojawienie się Michała najwyraźniej ją zdziwiło. W oczach jej był wyraz cierpienia, kiedy patrzyła, jak przeszedł przez pokój i przyłączył się do grupy z „Mody”.

Henryk zdecydował, że nadeszła chwila, by i on wkroczył na salę. Nie miał wcale na to ochoty. Zbliżył się do blondynki, która przywitała go ciepłym uśmiechem.

— A, pan inspektor Tibbett... dobrze... Panna Connolly telefonowała... wszystko w porządku... Ma pan miejsce tam w rogu, razem z pracownikami „Mody”...Mogę wziąć od pana płaszcz?

Henryk oddał płaszcz i przeszedł wolno przez salon. Miał wygląd ponury i napięty. Tak też się czuł. Wiedział, że będzie zwiastunem najgorszych wieści, ale miał przed sobą tylko jedną drogę. Jeśli chodzi o jego własne uczucia, był oziębiały. Czuł się jak pacjent pod miejscowym znieczuleniem, przyglądający się bez wrażenia, jak chirurg wypruwa z niego wnętrzności.

Margery przerwała rozmowę z Patrykiem i zwróciła się uprzejmie do Henryka:

— A, jest pan, inspektorze. Widzę, że zaczyna się pan na dobre interesować modą?

— Proszę pani... — Henryk mówił spokojnie, ale w jego uszach własny głos brzmiał tak, jakby dochodził z dużej odległości. — Proszę, pani, niestety, mam bardzo złą wiadomość. Uważam, że powinienem zakomunikować ją pracownikom pani od razu, przed ogłoszeniem oficjalnym. Znalezione Weronikę Spence.

— Znalezione? — zawołała drżącym głosem Margery. Wszyscy inni zamilkli. Henryk czuł, że cały pokój wstrzymał oddech. Prawie szeptem Margery spytała: — Żywią?

— Nie — odpowiedział Henryk.

Beth chwyciła z trudem powietrze, prawie ze szlochem. Nastąpiła chwila strasznego milczenia, a potem wszyscy naraz zaczęli zadawać pytania. Henryk podniósł rękę i rzekł:

— Powiem państwu wszystko, co wiem, ale to niewiele. Otrzymałem tę wiadomość w porze lunchu i nie miałem jeszcze czasu, by zbadać sprawę. Jest to szczególnie bolesne dla mnie, bo, jak większość z państwa wie, Weronika była moją siostrzenicą.

Rozległy się szepty współczucia. Cały pokój słuchał teraz w napięciu, nawet Mikołaj Knight złamał niepisane prawo, że projektant nie powinien się pokazywać przed zakończeniem pokazu. Wpadł zza czarnej kurtyny i prawie biegł wzdłuż rampy, by przyłączyć się do grupy skupionej wokół Henryka, który ciągnął dalej:

— Wiadomość ta nadeszła do Scotland Yardu od policji w Essex. Znalaziono ją w stogu siana w pobliżu Hockton. Została uduszona. Oni uważają, że przedtem oszołomiono ją jakimś narkotykiem, by nie stawiała oporu.

— Essex? — spytał Mikołaj Knight cienkim, napiętym głosem. — Co ona robiła w Essex?

— Miejsce, gdzie ją znaleziono, oddalone jest zaledwie o parę mil od domu rodziców Donalda MacKaya.

— Donald... — zaczął Patryk i urwał. — Inspektorze, on spędzał tam weekend. Wiem o tym przypadku.

— Ja też.

— I nie zjawił się w biurze dziś rano. Myślałem, że jest chory. O Boże... Cóż za potwór. Złapaliście go?

— Jeszcze nie — odrzekł Henryk — ale już prawie go mamy.

— W jaki sposób mu się to udało? — spytała Teresa wolno i ze zdziwieniem.

— Zdecydowałem, że ponieważ wszyscy państwo przeżyliście bardzo nieprzyjemne chwile jako ludzie podejrzani, winien wam jestem dokładną relacją z odtworzonej przez nas sytuacji. Jedynym

pozytywnym momentem tej tragedii jest fakt, że przynajmniej znamy teraz prawdę i wszyscy mogą odetchnąć i wrócić spokojnie do pracy. — Nikt nie poruszył się ani nie odezwał. Henryk mówił dalej: — Zamordowanie Weroniki było bardzo proste do wykonania. Jak wielu z państwa wie, Donald postanowił spędzić z nią weekend w Porchester, ale musiał to odwołać z powodu choroby matki. Była to absolutna prawda i początkowo sądził zapewne, że wszystkie jego plany zostały pokrzyżowane. Ale potem uświadomił sobie, iż może je przeprowadzić z jeszcze mniejszym ryzykiem.

Istotnie pojechał w piątek wieczorem do Hockton, ale gdy rodzice usnęli, wymknął się z domu i wrócił do Londynu wynajętym samochodem. Tymczasem przy pomocy współpracownicy wysłał telegram do Weroniki, rzekomo od niego, zawiadamiając ją, że będzie mógł wyjechać, i wyznaczając spotkanie na Waterloo.

Beth spytała cicho:

— Powiedział pan, współpracownicy... panie inspektorze?

— Tak, proszę pani. — Henryk popatrzył jej w oczy. — Współniczki, która z pewnością nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Mam nadzieję, że teraz zdaje sobie sprawę.

— Co było dalej? — spytała szybko Margery, z niecierpliwością i jakby z urazą, że przerwano inspektorowi.

— Weronika przyjechała na spotkanie — mówił Henryk — a Donald powitał ją wiadomością, że ma samochód, którym zawiezie ją do Porchester. Wyjechawszy ze stacji zaproponował prawdopodobnie kawę i wsypał do jej filiżanki jakiś narkotyk. Wsadził ją potem z powrotem do samochodu, gdzie wkrótce straciła przytomność. Pojechał

szybko do tego odosobnionego miejsca w Essex, udusił ją i ukrył. Mógł słusznie przypuszczać, że nikt jej tam prędko nie znajdzie. Tylko dlatego, że pewne podejrzenia postawiły nas w stan pogotowia, policja z Essex... nie mogę jednak zagłębiać się w szczegóły. MacKay udał się do pubu w miasteczku, gdzie grał w strzałki, a potem wrócił do rodzinnego domu na lunch. Poprzedniego wieczora powiedział rodzicom, że chce wstać wcześniej i pójść na długi spacer, a oni w dobrej wierze opowiedzieli o tym policji. Mówili też szczerą prawdę, kiedy oświadczyli, że cały weekend spędził u nich. Sądził naprawdę, że tak było.

— Czy mamy przyjąć, inspektorze — odezwał się Michał tonem, w którym brzmiała wyraźna ulga — że Donald Mackay zamordował także Helenę?

— Wydaje się to prostym wnioskiem.

— Mam nadzieję, że szybko go ujmiecie.

— Na pewno.

— Ale dlaczego, inspektorze? — odezwał się po raz pierwszy Horacy Barry. — Dlaczego ten MacKay zabił najpierw pannę Helenę, a potem pannę Weronikę?

— Tu właśnie tkwi sedno sprawy — odpowiedział Henryk. — Był sprytny, prawie za sprytny dla mnie. Sam sugerował, że pewne rzeczy, o których mi opowiadano na temat Heleny, są dymną zasłoną dla ukrycia innej sprawy, innego mężczyzny. Trochę późno pojąłem, że tym innym mężczyzną był sam Donald. Zakochał się w Helenie tak, jak zakochać się może młody człowiek w starszej od niego kobiecie, a ona zdecydowanie i stanowczo odtrąciła go. Powiedziała mu także, że kocha innego. Wolał ją zabić niż stracić. Były i inne powody... Przypuszczałem, że człowiek, który wpadł na pomysł, by domniemany

flirt wykorzystać jako zasłonę dymną dla innego, prawdopodobnie oparł ten pomysł na własnym życiu. I tak też było. Donald flirtował z Weroniką jedynie po to, by ukryć swą namiętność do Heleny. Weronika jako inteligentna dziewczyna wydedukowała pewne fakty dotyczące zamordowania Heleny, nie wyciągając z nich ostatecznych, logicznych wniosków, które wyjawiałyby mordercę. Była na tyle nie-mądra, że mimo moich ostrzeżeń zwierzyła się ze swoich domysłów Donaldowi i w ten sposób przypieczętowała wyrok na siebie.

— Co ona wykryła? — Dziwne, że zadała to pytanie Rachela Field. — I co z moją walizką?

— Nie mogę roztrząsać tego wszystkiego teraz — powiedział Henryk. — Okaże się to na rozprawie sądowej. Powiedziałem państwu to, co uważałem, że musicie wiedzieć. A teraz sądzę, że powinniśmy zainteresować się pokazem.

Wzdrygając się lekko, Margery French powiedziała:

— Biedne dziecko... Panie inspektorze, uważam, że powinniśmy poprosić pana Knighta o odwołanie pokazu.

— Droga pani — odrzekł spokojnie i stanowczo Henryk — uważam, że nie można tego zrobić. Byłoby to wysoce niełojalne w stosunku do pana Knighta i Weronika z pewnością nie chciałyby tego. Wszyscy wiemy, jaki miała stosunek do spraw zawodowych. I bądźmy szczerzy... czyż większość z nas nie sądziła w duchu, że istnieje mała lub żadna nadzieja znalezienia jej żywej? Jedyne, co możemy teraz zrobić, to nie przerywać pracy.

Było trochę sprzeciwów, ale Henryk postawił w końcu na swoim. Mikołaj, najwyraźniej wstrząśnięty tym, co usłyszał, nie próbował wrócić do pracowni, lecz pozostał wśród grupy z „Mody”. Blondynka,

pełniącą funkcję recepcjonistki, z kilku pomocnicami ściągnęła ciężkie czarne kotary, odcinając dopływ dziennego światła, i skierowała silne reflektory na rampę. Ten pomysł oświetlenia pseudoscenicznego w czasie pokazów był innowacją ustanowioną przed kilku laty przez Mikołaja Knighta i stał się tradycją firmy.

Zgromadzeni, wciąż ogłuszeni trochę tym, co usłyszeli, zajęli miejsca. Przez ukryte głośniki zaczęła płynąć cicha muzyka. Wielkie podwójne drzwi na korytarz były zamknięte. Blondynka stanęła na proscenium w korzystnym różowym blasku reflektorów. W rękę trzymała kartkę papieru.

— Numer pierwszy — oznajmiła śpiewnym głosem. — „Aleja parkowa”.

Dziewczyna nazywana Renée, uroczą i najwyraźniej niedożywną, wyszła zza kotary, wykonała pirueta na estradzie i zaczęła sunąć drobnym kroczkiem wzdłuż rampy, przystając co chwila, by okręcić się z wdziękiem. Ubrana była w granatowy wiosenny kostium z szmaragdowozieloną koronkową bluzką. W całej sali otworzyły się notesy i migwały ołówki. Zaczęła się praca. Tragedia Weroniki Spence została już wycofana na dalszy plan.

— Numer drugi. „Pora bzów”.

Chinka wynurzyła się z wdziękiem zza kotary i okręciła się wytwornie, ubrana w trzyczęściowy liliowy aksamitny komplet i ogromny biały kapelusz. Rozległy się lekkie oklaski. Szybkim, zdecydowanym ruchem zsunęła płaszcz, by zademonstrować kostium, i przespacerowała się wzdłuż rampy.

— Numer trzeci. „Palony cukier”.

Pokaz trwał dalej. Henryk przyglądał się, olśniony wbrew samemu

sobie, gdy kostiumy i płaszcze ustępowały miejsca wiosennym sukienkom na bardzo różne okazje. Raz spojrzął na zegarek i zdziwił się, że czas płynie tak szybko. Był to wyraźnie udany pokaz. Atmosfera stopniowo stawała się gorętsza, oklaski były coraz częstsze, ciche, pochwalne szepty obiegały salę. Mikołaj Knight w opinii znawców osiągnął w końcu sukces. Dobił do mety.

— Numer dwudziesty ósmy. „Obdartus”.

Była to znowu Renée w różowej szyfonowej sukni z obstrzępionym obrąbkiem w wyszukanym stylu łachmanów Kopciuszka. Rozległy się długotrwałe oklaski. Knight wykazał naprawdę, że nadała za paryską modą. Henryk zauważył, że Teresa pochyliła się i szeptała coś do Margery, która kiwała głową trochę posępnie.

— Numer czterdziesty pierwszy. „Zabawa w chowanego”.

W miarę jak pokaz się rozwijał, nastrój w salonie stawał się coraz mniej napięty. Słowa Henryka okazały się jak najbardziej słuszne. Nie trzeba było być przesadnie wrażliwym, by wyczuć ogromną ulgę, jaką sprawiło zdjęcie ciężaru podejrzeń, który dręczył tak wielu ludzi przez ubiegły tydzień.

— Numer sześćdziesiąty szósty. „Śliwka w cukrze”.

Prezentowano teraz suknie wieczorowe. „Śliwka w cukrze” sunęła w obłoku oszronionego tiulu.

— Numer siedemdziesiąty pierwszy. „Niezapominajka”.

Lśniaca błękitno-srebrzysta lama zamigotała wzdłuż rampy wśród entuzjazmu sali.

Program zbliżał się już do końca. Przyćmione światła przed wejściem ostatniej modelki — tradycyjnego finału, czyli prezentacji sukni ślubnej.

— Numer siedemdziesiąty piąty. „Słodka tajemnica”.

Zza czarnej atlasowej kotary, oświetlonej jednym tylko reflektorem, wynurzyła się modelka w stroju przypominającym zwiewny biały obłok. Na głowie miała diadem ze sztucznych pomarańczowych kwiatów, przytrzymujący długi tiulowy welon zasłaniający jej twarz. Wybuchła burza oklasków.

Dziewczyna zdawała się płynąć raczej niż iść wzdłuż rampy. Potem zatrzymała się i nagłym radosnym gestem odrzuciła welon i odkryła twarz. Była to Weronika.

Na chwilę w salonie zaległa straszliwa cisza, przerywana jedynie nie cichnącymi tonami weselnego marsza Mendelssohna. W półświetle Weronika przesunęła się aż do końca rampy. Twarz jej była poważna i pogodna.

Nagle ktoś zaczął przeraźliwie krzyczeć.

— Nie podchodź do mnie!... Odejdź!... Zabierzcie ją! Ona nie żyje! Mówię wam, że nie żyje...

Henryk skoczył i ściągnął jedną z kotar; pokój zalało światło dzienne.

To krzyczał Mikołaj Knight. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby próbował odsunąć od siebie postać Weroniki, która nieubłagannie zbliżała się ku niemu. Kiedy zesza z wdziękiem z rampy i zbliżyła się do grupy pracowników „Mody”, Mikołaj cofnął się, jakby ogarnięty zabobonnym strachem. Weronika nie zwróciła się jednak do niego, tylko do jego najbliższej sąsiadki, Teresy Masters. Zza ochronnej zasłony, jaką był jej bukiet, wyciągnęła buteleczkę bezbarwnego płynu i podała ją Teresie.

— Wróciłam, by oddać to pani — powiedziała. — Panna Panhurst prosiła, żeby jej to pani przywiozła z Paryża. Oczywiście,

panna Field może wyjaśnić pani wszystko na ten temat. Opowiadała mi o tym, gdy pomagałam jej pakować się w hotelu „Crillon”.

Nikt z wyjątkiem Henryka nie spodziewał się tego, co teraz nastąpiło. Mikołaj zerwał się i rzucił się do Racheli w paroksyzmie histerycznej furii.

— Ty zakłamana oszustko! Ty suko! — wrzasnął. — Udawałaś przede mną, że ją zabiłaś, a cały czas działałaś z nimi... przechytryłaś mnie... ty... — Dławiąc się z furii, zwrócił się do Henryka: — To jest morderczyni! To ona zabiła Helenę Pankhurst! Mogę to udowodnić! Mogę...

Rachela Field wstała. Była zupełnie spokojna i patrzyła na Mikołaja z bezgraniczną pogardą, pomieszaną z jakąś gniewną czułością.

— Nicky, głuptasie — powiedziała. — Czy nie zdawałeś sobie od początku sprawy, że była to tylko pułapka, żeby nas złapać?

Zanim Mikołaj zdążył odpowiedzieć, drzwi od korytarza otworzyły się i salon wypełnił się nagle granatowymi mundurami. Rozległ się głos Henryka:

— Rachelo Field i Mikołaju Field, czyli Mikołaju Knight, aresztuję was oboje za rozmyślne zamordowanie Heleny Pankhurst. Muszę was ostrzec, że wszystko, co powiecie, będzie...

Reszta zdania utonęła w ogólnej wrzawie. Rachela rzuciła się jak tygrysica do Henryka.

— To ja! — krzyknęła. — Zostawcie Nicky w spokoju! On nie ma z tym nic wspólnego! To ja...

Dwaj policjanci wyprowadzili ją z sali. Mikołaj szlochał histerycznie, kiedy sprowadzano go na dół do policyjnego wozu.

— Jakie to okropne, wuju Henryku! — wykrzyknęła Weronika,

tracąc opanowanie. Objęła go za szyję i wybuchnęła płaczem.

Henryk poklepał ją pocieszająco po plecach.

— Nie przejmuj się tak, Ronnie. Już po wszystkim. Byłaś wspa-
niała, jestem dumny z ciebie.

W tym momencie Donald MacKay, blady i wyczerpany, wyszedł
nieśmiało zza kotar. Henryk wyswobodził się łagodnie z obejmują-
cych jego szyję rąk Weroniki i przeniósł je na szyję Donalda.

— Sądzę — powiedział z uśmiechem — że pan okaże się lepszym
przyjacielem niż ja. Pozwoliłbym jej się wypłakać, a potem postawił-
bym jej mocnego drinka.

— Zrobię tak, proszę pana — odrzekł Donald. Weronika nie za-
protestowała. Przytuliła się tylko mocniej do Donalda, kiedy wzięła ją
na ręce i wyniósł z salonu razem z wiankiem z pomarańczowego
kwiatu i wszystkim innym.

Henryk zwrócił się do Michała i Teresy, którzy siedzieli w głu-
chym milczeniu.

— Możecie państwo iść do domu — powiedział. — Nie macie już
się czym martwić.

— Ale... — zaczęła Teresa.

— O, zapomniałem. Elwira ma coś dla państwa. Elwiro!

Blondynka podeszła wolno, beztroska, uśmiechnięta.

W ręku miała dużą kopertę z napisem: „Ostrożnie, fotografie”.

— Elwira sądzi, że są tu wszystkie — powiedział Henryk. — W
przyszłości uważałbym bardziej, jak radzi napis. — Podał kopertę
Michałowi. — A teraz, jeśli pani French pozwoli, sądzą, że powinni
państwo wrócić do domu na resztę dzisiejszego dnia.

Teresa wstała.

— Nie wiem, jak panu dziękować — zwróciła się do Henryka. —
Chodź, Mik, do domu.

Michał bez protestu opuścił salon.

Henryk, bardzo zażenowany, wszedł na podium.

— Wpuść trochę światła, Elwiro — powiedział.

Elwira rozsunęła wolno pozostałe zasłony. Henryk zwrócił się do zebranych na sali, którzy zaczęli przychodzić do siebie po przeży-
tym szoku.

— Proszę państwa! Przepraszam najmocniej, że naraziłem pań-
stwa na takie niemiłe popołudnie. Proszę mi wierzyć, że był to jedyny
sposób oddania dwojga zbrodniarzy w ręce sprawiedliwości. Nie
potrzebuję mówić państwu, że historia, jaką opowiedziałem na temat
pana MacKaya, była czystą fikcją. Jest on nie tylko całkowicie nie-
winny, ale bardzo nam pomógł. Tak samo jak inni członkowie redak-
cji „Mody” — uśmiechnął się do Margery — nie mówiąc o mojej
przyjaciółce Elwirze, która okazała się prawdziwą podporą i zasłużyła
na to, by zaprosić ją na kawę.

Elwira uśmiechnęła się sztucznie.

— Oczywiście z przyjemnością, panie inspektorze — powiedzia-
ła.

Rozdział XV

Dopiero po dziesiątej wieczorem Henryk dotarł wreszcie do swego
mieszkania, które zastał jasno oświetlone i pełne gwaru i śmiechu.
Emmy rozlewała drinki dla uczczenia podwójnej okazji — wskrze-
szenia Weroniki i jej zaręczyn z Donaldem MacKayem. Wszyscy byli

w świetnych humorach i Henryk z trudem zdobył się na surowy ton, gdy zwrócił się do młodej pary:

— Mam nadzieję, że naprawdę wstydzicie się swego postępowania?

— Wstydzimy się?! — wykrzyknęła z podnieceniem Weronika.

— A to dobre! Nigdy byś ich bez nas nie złapał i dobrze wiesz o tym.

— Wskoczyła na kanapę i wypowiedziała z emfazą: — „Modelka rozwiązuje zagadkę morderstwa”. „Byliśmy bezradni, przyznaje nadinspektor Tibbett ze Scotland Yardu...”

— Wcale nie byliśmy bezradni — odrzekł dotknięty Henryk. — Przyznając, że wasz absurdalny plan okazał się pożyteczny, ale dopiero wtedy, kiedy ja się tym zająłem.

— Henryku — powiedziała łagodnie, lecz stanowczo Emmy — myślę, że może wyjaśnisz wszystko Jane, Billowi i mnie, zanim pękną nam głowy od tego myślenia. Ronnie papie bez przerwy o paryskich toiles, sympatycznym atramencie i okularach w rogowej oprawce...

— Widzicie, nie wiedziałam, kim była ta druga osoba — odezwała się Weronika. — Dlatego...

— Najlepiej będzie, Ronnie, jeśli pozwolisz mówić mnie — powiedział Henryk. — Możesz mnie poprawiać, jeśli się pomylę.

— Na pewno to zrobię.

— Chciałbym tylko na wstępie wyrazić nadzieję, że już nigdy więcej nie będę zmuszony do pracy nad jakąś sprawą z taką ilością ludzi.

— O co ci chodzi, wujku? Jesteśmy wszyscy tacy mili. A niektórzy z nas są inteligentni. — Zburzyła włosy Donalda.

— W tym właśnie kłopot — odpowiedział Henryk.

Wziął szklanę z alkoholem, usiadł i mówił dalej: — Nie wiadomo, od czego zacząć. Chyba od romansu Heleny z Godfreyem Goringiem.

— Z... z panem Goringiem? — Weronika usiadła sztywno, oczy jej były okrągłe ze zdumienia. — A ja myślałam, że to Michał...

— Tak myślała większość ludzi — odrzekł Henryk — z wyjątkiem zainteresowanych. Bardzo prędko zdałem sobie sprawę, że istniało jakieś porozumienie między Margery French, Teresą, Goringiem, Michałem, a może także Patrykiem, żeby mydlić mi oczy.

— Ciotunia nie potrafiłby mydlić nikomu oczu — wtrąciła pogardliwie Weronika.

— I ja doszedłem do tego wniosku. On nie należał do spisku, bo Helena za dobrze go znała, żeby powiedzieć mu prawdę. Był starym, bliskim przyjacielem, pragnęła mu się zwierzyć, ale nie mogła mieć pewności, że potrafi milczeć, więc opowiedziała mu sytuację, nie wymieniając nazwiska człowieka, którego kochała. Ciotunia był jedną z nielicznych osób, którym wmówiono, że to był Michał.

— Ja cały czas podejrzewałem, że to Goring — odezwał się Donald.

— Ty kłamczuchu! — zganiła go czule Weronika.

— To rozwiązanie wprost się narzucało — mówił Henryk. — Istotnie kochali się od pewnego czasu. Goring znalazł w Helenie to wszystko, czego brakowało jego żonie — zmysł handlowy, operatywność, porządek, inteligencję... Jedną tylko rzecz posiadała Lorna, której nie miała Helena — pieniądze. Oczywiście to jej majątek zasilił „Modę”, choć oficjalnie nie było Lorny na liście akcjonariuszy.

Goring nie miał odwagi jej rzucić. Co więcej, to zazdrosna i popędliwa kobieta, która go uwielbia.

Ale muszę bezstronnie powiedzieć, że i Helena, i Goring zachowywali się bez zarzutu. Nie mieli romansu w potocznym znaczeniu tego słowa. Kochali się głęboko i mieli nadzieję pobrać się, kiedy Goring będzie pewny, że magazyn jest finansowo ustabilizowany. Tymczasem spędzał cały tydzień w Londynie — jak również niektóre weekendy, według słów Lorny — i razem z Heleną przesiadywali wieczorami w jego mieszkaniu.

Wszystko było pięknie do momentu, gdy Olwen Piper zamieszkała z Heleną. Początkowo dziwiłem się, że Helena zgodziła się na taki układ, póki nie zrozumiałem, że Olwen wprowadziła się w czasie długiego pobytu Goringa w Ameryce i że miało to być tylko chwilowe. Jednakże gdy Goring wrócił, Olwen zadomowiła się już na dobre, a Helena, jak powiedziała Teresa, miała zbyt miękkie serce, żeby ją wyprosić. Ale uświadomiła sobie równocześnie, że będzie musiała wymyślić jakiś pretekst spędzania często wieczorów poza domem. Omówili to z Goringiem i zwrócili się do Michała i Teresy. Goring jest starym przyjacielem Teresy i jej rodziny. Oni jedni wiedzieli o tej całej historii.

Michał i Teresa zgodzili się chętnie, że Helena będzie podawała jako pretekst wspólne z nimi obiady i tak dalej. Nikt nie przypuszczał, że Olwen zacznie darzyć pensjonarskim uwielbieniem Helenę i stanie się okropnie zazdrosna o Healy'ów. Kiedy przypadkiem odkryła prawdę, że Helena nie była na, obiedzie u nich — jak powiedziała — doszła do wniosku, że Helena i Michał są kochankami, i próbowała położyć temu kres rozsiewając fantastyczne plotki. Postawiło to

Teresę, Michała, Helenę i Goringa w dziwnej sytuacji, ale postanowili obrócić to w żart. Prawda o Helenie i Goringu nie mogła pod żadnym pozorem wyjść na jaw ze względu na dobro magazynu. Michał miał opinię bałamuta, więc niech ludzie myślą, że do listy swoich podbojów dodał Helenę.

Ale wtedy wydarzyło się coś poważnego. Parę miesięcy temu Goring zaczął się niepokoić o swoje zdrowie. Powiedział o tym Helenie, ale odmówił pójścia do lekarza, bo nie chciał, żeby Lorna się o tym dowiedziała. Helena, która zorientowała się szybciej od niego, jaka to może być choroba, przekonała go, żeby udał się do onkologa. Poszli do niego razem, przedstawiając się jako państwo Dodgson.

— Jakie dziwne nazwisko wybrali — powiedziała Emmy. I dodała nagle: — Ale brzmi dźwięcznie.

— Był to rodzaj dwuznacznego kalamburu, który podobał się im obojgu. Jeśli chodzi o miłość do Heleny, Goring ukrywał się za Michałem Healy, Najwidoczniej nie chcieli podać lekarzowi nazwiska Michała, więc wybrali nazwisko innego sławnego fotografa.

— Karol Dodgson? — spytała Weronika marszcząc nos. — Nigdy o kimś takim nie słyszałam.

Henryk uśmiechnął się.

— Umarł już dawno. Był to pionier fotografii, który zasłynął jeszcze bardziej pod swoim pseudonimem Lewis Carroll.

— Ten od „Alicji w Krainie Czarów”?

— Tak.

— Ależ ty jesteś mądry, wuju Henryku — powiedziała Weronika.

— W jaki sposób doszedłeś do tego wszystkiego?

— Odwiedziłem lekarza — odpowiedział inspektor — który

wyjawił mi swoją diagnozę. Goring jest nieuleczalnie chory i ma przed sobą niecały rok życia. Na prośbę Heleny lekarz powiedział jej całą prawdę, ale Goringowi oznajmił, że ma wrzód żołądka i powinien przestrzegać diety. — Ale jak odkryłeś, że to był pan Goring?

— Przyznaję, że gdy doktor zidentyfikował Helenę jako panią Dodgson, ogarnął mnie niepokój. To nazwisko wskazywało wyraźnie na Michała.

— A dlaczego byłeś taki pewny, że to nie on? — spytała Emmy.

— Częściowo dlatego, że jestem przekorny — odpowiedział Henryk. — Kiedy wielu ludzi zaczyna wbijać mi coś do głowy, staję się podejrzliwy. Donald potwierdził moje podejrzenia, zwracając uwagę, że to wszystko udawanie. Oczywiście, kiedy Helena została zamordowana, stało się podwójnie ważne utrzymać Goringa poza jakimkolwiek skandalem, więc szeregi konspiratorów zacieśniły się. Dla Michała nie było przyjemne być rzuconym na pożarcie wilkom, ale wydawało się to lepsze niż konieczność zlikwidowania pisma.

— Czy to jedyny motyw, który skłonił cię do uwierzenia, że to nie Michał? — spytała Weronika. — Tylko czysta przekora?

— Niezupełnie. Miałem głębszy motyw, a mianowicie reakcję Michała, kiedy oznajmiłem mu, że Helena była w ciąży.

— W ciąży? Naprawdę?

— Nie, ale wtedy myślałem, że tak. Przypisywałem ten fakt Michałowi, a on był kompletnie zmiażdżony. Sądził zawsze, i słusznie, że Helena i Goring nie byli kochankami w dosłownym tego słowa znaczeniu. Ale gdy podałem mu tę piorunującą wiadomość i oskarżyłem

go, że jest ojcem dziecka, co miał zrobić? Musiał trzymać się swojej wersji, był z nią związany. Przyznał się do wszystkiego. A potem dowiedziałem się, że Helena była dziewczyną.

Michał mógł się tak zachowywać tylko z jednego powodu — chciał kogoś kryć. Ale kogo? Odpowiedź była prosta, kiedy dowiedziałem się, że doktor zalecił „panu Dodgsonowi” dietę z powodu wrzodu żołądka. Takiej diecie odpowiada ściśle jadłospis Goringa. Tylko on też miał bogatą żonę. Co więcej, kiedy Helena umarła, był niezwykle zdenerwowany i posunął się do tego, że ostrzegł mnie, bym nie wierzył niczemu, co może mi powiedzieć Michał. Był pewny, że jest on gotów utrzymać fikcję do końca, ale jednocześnie bał się, że pod presją może się załamać i powiedzieć mi prawdę.

— Strasznie mi żal pana Goringa — powiedziała Weronika z powagą. — Co z nim teraz będzie?

— Jego żona nie jest ani taka postrzelona, ani taka nieczuła, jak sobie ludzie wyobrażają, a poza tym jest do niego przywiązana. Ona także martwiła się jego zdrowiem i mimo wszystkich przedsięwziętych przez niego środków ostrożności, podejrzewała romans z Heleną. Gdy tylko wspomniałem jej o doktorze, robiła, co mogła, by wydobyć ode mnie jego nazwisko. Kiedy nalegała, dałem jej wystarczające wskazówki, żeby odnalazła to nazwisko, i ostrzegłem lekarza, że może się do niego zgłosić. Oczywiście znalazła go i powiedziała mu, kim jest. Sir James mówi, że okazała się niezwykle dzielna i rozsądna. Zamierza zabrać męża w przyszłym tygodniu w podróż dookoła świata. Nie ma nadziei wyleczenia go, ale przynajmniej będzie go z poświęceniem pielęgnowała.

— To wszystko jest fascynujące — stwierdziła Emmy — ale nie przybliży nas do zamordowania Heleny ani do sympatycznego atramentu, ani...

— Przepraszam — przerwał Henryk. — Musiałem wam powiedzieć najpierw to wszystko, żebyście zrozumieli ciąg dalszy. Jedno z drugim się wiąże. Nie było nigdy kwestii, w jaki sposób została zamordowana Helena, istniało tylko pytanie — dlaczego. Od początku wykluczyłem możliwość samobójstwa. — Streścił krótko argumenty, które przedstawił już Goringowi. — A więc Helena została zamordowana. Z tego punktu widzenia walizka Racheli Field była nawet ciekawsza niż zwłoki Heleny. Ktoś w szalonym pośpiechu przetrząsnął jej zawartość, wyrzucając wszystkie rzeczy na podłogę. Czy ta osoba znalazła to, czego szukała? Czy czegoś tam brakowało? Chyba nie. Zaświtało mi dopiero w głowie na pogrzebie Heleny, kiedy ta miła pani Sedge zaczęła opowiadać o...

— Bibułce! — wykrzyknęła Weronika z tryumfem.

— Zepsułaś mi pointę opowiadania.

— Tego zupełnie nie rozumiem, Henryku — wtrąciła się po raz pierwszy nieśmiało do rozmowy siostra Emmy, Jane. — Chyba to normalne, że używa się bibułki przy pakowaniu?

— Z pewnością. Nie robią tego może niektóre młode pędziwiatry — dodał rzucając wymowne spojrzenie na Weronikę — ale na pewno takie skrupulatne osoby jak Rachela Field. Ronnie opowiadała mi, że zawijała ona w bibułkę każdą rzecz.

— Gdybyś był pozwolił mi tam wejść — powiedziała Weronika — zobaczyłabym to od razu. W pokoju hotelowym było mnóstwo bibułki...

— I ani kawałka w pokoju Heleny nazajutrz rano — dodał Henryk.

— Wydawało się to szaleństwem, ale Helena została zamordowana w tym celu, żeby ktoś mógł wyjąć bibułkę z walizki Racheli Field. I sama Rachel musiała być w to w jakiś sposób wplątana, bo nigdy nie wspomniała o tym, że bibułka zginęła. A potem zdarzyły się dwie rzeczy. Na kawałku papieru, który był przedtem czysty, pojawiło się jakieś tajemnicze pismo. I przypomniało mi się, jak Emmy kroїła spódnicę.

— Mówisz zagadkami, Henryku — powiedziała Jane trochę karząco. Jej mąż od dawna spał na kanapie i teraz zachrapał głośno, jakby dla podtrzymania zarzutu żony.

— Dowiedziałem się już sporo rzeczy dotyczących świata wielkiej mody. Wiedziałem, że toiles — dokładne kopie modelu uszyte z taniego materiału — można nabyć w Paryżu po wysokiej cenie. Wiedziałem także, że niektórzy wielcy kupcy i projektanci — jak na przykład Mikołaj Knight — wywołali skandal występując z kopiami modeli, najwyraźniej opartych na toiles, które nigdy nie opuściły Paryża. Wiedziałem też, iż specjaliści orzekli, że niemożliwe jest przemycenie jakiegoś toile z paryskiej pracowni. A jednak najwidoczniej tak się stało. Zadałem sobie pytanie, co można wynieść stamtąd bez wzbudzenia podejrzeń, i odpowiedziałem sobie, że z pewnością bibułkę do pakowania... Przypomniałem sobie Emmy krojącą coś na podstawie papierowego wykroju i rozjaśniło mi się w głowie.

— Chwileczkę, Henryku — przerwała Emmy. — Nie jestem detektywem, ale znam się trochę na krawiectwie. Czy chcesz powiedzieć, że ktoś wyciął z papieru szablon toile, zaznaczył na nim wszystko, co trzeba, i wyszedł z nim pod pachą, mówiąc po prostu beztrzesko: „To tylko kawałki papieru do pakowania”? No, mów.

Weronika podskakiwała na kanapie z podniecenia.

— Ciociu Emmy, czy nie rozumiesz...?

— Cicho bądź, Ronnie — zgromił ją Henryk. — Zaraz przyjdzie kolej na ciebie i będziesz mogła mówić. Nie, Emmy, nie o to mi chodziło. Toiles opuszczały pracownię pod postacią zupełnie zwykłych, kwadratowych, czystych arkuszy bibułki bez żadnych oznakowań. Tych arkuszy używano do owijania niektórych strojów zabieranych dla przefotografowania w „Modzie”.

Emmy uderzyła się ręką w czoło.

— Oczywiście! Jakaż ja jestem głupia! Atrament sympatyczny!

— No, zrozumiałaś nareszcie! — zawołała Weronika. — A czy wiesz, że to ja sama go kupowałam?

— Ty? Nie mów mi, że ty...

— Nie! Kupiłam go dla Teresy, dla Heleny...

— Ronnie! — zawołał surowo Henryk. — Nie mów nic, póki ja nie skończę. — Weronika zachichotała, a Henryk ciągnął dalej: — Metoda przemycania modeli była fantastycznie prosta i wymagała tylko współpracy jednej pracowniczki w każdym domu mody. Jak dotąd, oczywisty dowód mamy w firmie Monnier. Dziewczyna wymyśliła jakiś powód, żeby pracować po godzinach, gdy wszyscy wyszli, i wtedy odrysowywała poszczególne części toils i sympatycznym atramentem dopisywała na białej bibułce instrukcje dotyczące szycia. Robiła jakiś dyskretny znaczek na tym papierze i odkładała go. Wiemy, że Rachela Field była odpowiedzialna za zabieranie strojów z pracowni do fotografowania ich dla „Mody”. Suknię owijano w ten niewinny z pozoru papier. Racheli było dość łatwo odesłać ją opakowaną w zwykłą bibułkę, a zatrzymać znakowane arkusze do pakowania

własnych rzeczy. Kiedy już bezpiecznie znalazły się w Londynie, posyłała je Mikołajowi, który musiał tylko wystawić je na działanie ciepła z elektrycznego piecyka, żeby uzyskać wskazówki — i miał już własne paryskie modele. Naturalnie, nie mógł oczekiwać więcej niż paru toiles w każdym sezonie. Inne kopie wykonywał, tak jak powiedział, na podstawie fotografii. I tu musimy zrobić małą dygresję.

Jasne było, że Knight otrzymywał takie zdjęcia z Paryża przed oficjalną datą opublikowania. Skąd? Kiedy zobaczyłem zdjęcie Ronnie na Wieży Eiffła na jego biurku, wiedziałem, że otrzymał fotografie przeznaczone dla „Mody”. Michał Healy robił, własne odbitki poprzedniego wieczoru, odesławszy swego pomocnika do domu. I zabrał ze sobą z biura teczkę. Wydawało się pewne, że to Michał dostarczał nielegalnie zdjęć Mikołajowi. Mógł to robić tylko pod przymusem. Przypomniałem sobie parę bardzo zjadliwych uwag, jakie wypowiedział do mnie o nim Mikołaj.

W końcu poszedłem wprost do Michała i przycisnąłem go do muru. Był już u granic wytrzymałości i powiedział mi prawdę. Kiedyś przed, lata został wmieszany w paskudny skandal z grupą osławionych pederastów. Knight wiedział o tym i groził, że go zadenuncjuje przed Goringiem — nie mówiąc o Teresie — jeśli nie będzie mu dostarczał zdjęć. Przekonałem Michała, żeby opowiedział wszystko Teresie, co ona przyjęła z dużym zrozumieniem, i zapewniłem go, że nie potrzebuje już obawiać się Knighta. Postarałem się także wycofać z pracowni Knighta tegoroczne zdjęcia robione przez Michała. Nie sądzę, by miał jeszcze jakieś kłopoty.

— No — rzekła Emmy — w głowie mi się mąci, ale chyba na razie nadażam za tobą. Nie wytłumaczyłeś tylko jeszcze, dlaczego

została zamordowana Helena i kto ukradł bibułę...

— Nikt jej nie ukradł — odparł Henryk. — Zabrał ją jej prawowity właściciel.

— Znowu zagadki — powiedziała dość ostro Jane.

— Ma to też swój tragiczny aspekt. On mówi teraz, i ja mu wierzę, że to był ostatni sezon, w którym planowali z Rachelą przemykanie modeli. Był już zdolny stanąć na własnych nogach, a dzisiejszy pokaz okazał się triumfem. To niezwykle utalentowany człowiek, ale zbyt szybko pragnął osiągnąć sukces.

— Czego jeszcze nie rozumiem — wtrącił Donald — to tego, jaki jest związek między nim a Rachelą Field.

— To mnie też zastanawiało — odrzekł Henryk — póki nie cofnąłem się myślą w poszukiwaniu jakichś dowodów i nie zdałem sobie sprawy, że Knight kłamał, kiedy powiedział, że nie spotkał jej nigdy przed tym wieczorem u Goringa. Wszyscy potwierdzili, że nie rozmawiał z nią przez cały czas, dopiero potem podszedł do niej i do Barry'ego i wedle słów tego ostatniego „zapropomował, żebyśmy już wyszli, i dodał, że odwiezie pannę Field, bo mieszka w tej samej stronie”. A więc znał ją, wiedział, gdzie mieszka, lecz zaprzeczył, jakoby ją znał. Dlaczego? Wtedy przypomniałem sobie moment, kiedy z nim rozmawiałem i wspominałem, że chciałbym zbadać związki łączące różnych ludzi, a on o mało wtedy nie zemdlał ze strachu. Przyszło mi na myśl, że oni muszą być rodzeństwem. Wysłałem jednego z naszych ludzi do archiwum londyńskiego i okazało się oczywiście, że Mikołaj Knight zmienił parę lat temu nazwisko. Naprawdę nazywa się Mikołaj Field. — Henryk urwał. — Teraz wiem już na ten temat o wiele więcej.

Rozmawiałem z nimi. Pochodzą z biednej, cieszącej się szacunkiem urzędniczej rodziny — to najgorszy rodzaj. Rachela jest o osiem lat starsza od Mikołaja i od śmierci rodziców — gdy ona miała szesnaście lat, a on osiem — opiekowała się nim. Utrzymywała go, kształciła, wychowywała, uwielbiała. Kiedy się okazało, że ma talent do projektowania strojów, posłała go do szkoły plastycznej. Wzięła posadę w „Modzie”, żeby pilnować jego interesów. A przez cały czas opłacała ją coraz silniej jedna myśl: on musi mieć własny salon. Będzie to najwytworniejszy i najbardziej uczęszczany salon w Londynie. Wyrobi mu nazwisko. On się z tym w zasadzie zgadzał, ale zdawał sobie sprawę, że wymagać to będzie wielu lat ciężkiej pracy. Kiedy Rachela wpadła na pomysł przemycania toiles z Paryża, zgodził się na to skwapliwie. Ponieważ nie mogło być na pozór żadnego między nimi związku, zmienił nazwisko i widywali się jak najrzadziej. Rachela dostarczyła kapitału na uruchomienie salonu. Modele paryskie w połączeniu z talentem Mikołaja dokonały reszty. Podpisał umowę z firmą Barrimodes i sukces wydawał się bliski... Ale potem wszystko zaczęło się psuć.

— Co zaczęło się psuć? — spytała Emmy.

— Najpierw zaczęły krążyć pogłoski, potem była afera z suknią księżnej. Potem wkroczył Godfrey Goring, który chciał uciszyć wrzawę wokoło tej sprawy, a widział dobrze i jasno, co się święci. Sam niewiele mógł zdziałać, więc zwerbował do pomocy Helenę. Ona z kolei zwróciła się do Patryka, który jako artysta i grafik znał się lepiej na atramencie niż ona. List, który znalazłem na biurku Heleny, był pisany nie do jej krawcowej, jak sądziłem, ale do Goringa. Dołączona do niego kartka papieru była zapisana atramentem, który ujawnia

się jedynie pod wpływem ciepła. W liście tym napisała, że nie jest to atrament zupełnie taki sam jak ten, który można dostać w Paryżu, ale dodała, że prosiła Teresę, aby przywiozła jej trochę takiego samego.

— Ja kupiłam ten atrament — wyrwało się Weronice. — Przyniosłam go do hotelu, dałam pannie Masters i...

— I zniknął z jej walizki — dokończył Henryk. — Widocznie Helena, wiedząc, że tam jest, wyjęła go i postawiła na swoim biurku. To przypieczętowało jej los — jak również fakt, że przypadkiem otworzyła walizkę Racheli, że wypadło z niej przy tym trochę bibułki i że położyła ją przy elektrycznym piecyku...

— Henryku, mów trochę wolniej — błagała Emmy.

— Dobrze. Jesteśmy znów u Goringa. Patryk wypił trochę za dużo. Nienawidzi Knighta i plecie sam dobrze nie wie co. Mówi: „Helena i ja wiemy, o co chodzi”, lub coś w tym rodzaju. Knight się przeraził. Gdy tylko odwieźli Barry’ego, Mikołaj i Rachela odbywają długą, poważną rozmowę. On mówi jej, żeby dostarczyła mu bibułkę, którą spali, bo to rzecz zbyt niebezpieczna. Ona musi się przyznać, że bibułka jest jeszcze w tej walizce w budynku „Mody”, w pokoju Heleny. Knight nalega, żeby poszła po tę walizkę. Ostatecznie nie wzbudzi to żadnych podejrzeń. Może po prostu wejść i powiedzieć, że przyszła po walizkę. Jadą więc z powrotem na Earl Street i ona wchodzi do gmachu otwierając drzwi własnym kluczem. Mikołaj wraca do swego mieszkania. W gmachu jest ciemno i cicho, pada tylko smuga światła z pokoju Heleny i słychać stukot jej maszyny. Olwen wyszła przed chwilą. Helena jest tak pogrążona w pracy, że nie słyszy żadnych

hałasów — jeśli słyszała windę, prawdopodobnie skojarzyła ten dźwięk z Olwen. Rachela podchodzi do drzwi i stoi bez ruchu w półmroku. Widzi swoją walizkę otwartą, bibułkę, która z niej wypadła, i wyraźne znaki na niej, które wystąpiły pod wpływem ciepła. A na biurku Heleny stoi buteleczka sympatycznego atramentu przywiezionego z Paryża. Wątpię, czy Helena zauważyła, co się stało z bibułką, ale spostrzegłaby to rano. Rachela wie, że gra skończona. Czy lata pracy i, trudu, oszukaństw i knowań, aby uczynić Mikołaja Knighta sławnym, mają się zakończyć hańbą i więzieniem? Przypuszczam, że wtedy przyszedł jej na myśl termos i cyjanek. Jak cię przemknęła korytarzem, wsypała truciznę do termosu, wytarła go i zesłała na dół. Prawdopodobnie z automatu na tyłach „Mody” zatelefonowała do Mikołaja i powiedziała mu, co ma robić.

Miał obserwować sytuację z okna swojej sypialni znajdującej się naprzeciwko pokoju Heleny. Gdy tylko padnie ona martwa, miał przemknąć przez ulicę, otworzyć sobie drzwi kluczem, który da mu Rachela i zabrać bibułkę i atrament. Klucz miał wyrzucić, bo przez jakiś czas nie powinni się zupełnie kontaktować. Byłoby zbyt niebezpieczne próbować go odsyłać. Ona zamierzała oznajmić o zgubieniu klucza później, kiedy ucichnie cała wrzawa. Trzeba przyznać, że Mikołaj zrobił dokładnie to, co mu poleciła. Musiał być straszliwie zdenerwowany i trudno się temu dziwić. Nawet dla zrównoważonego człowieka byłoby to ciężkie przeżycie pójść i plądrować w pokoju, gdzie leżą zwłoki osoby, którą pomógł zamordować i której śmierć przed chwilą oglądał. Nic więc dziwnego, że po prostu schwycił bibułkę z walizki, a wszystko inne zostawił porozrzucane na podłodze. Niemniej Rachela — która jest pedantką — była nazajutrz bardzo zła,

kiedy zobaczyła, jak nieudolnie się zachował. Ściągnął uwagę na jej walizkę. Gdyby ją zapakował i zamknął, moglibyśmy nigdy nie dojść prawdy.

— Skąd ty to wszystko wiesz, wuju? — spytała Weronika. — Czy oni się przyznali?

— Uzupełnili szczegóły, ale ja odgadłem ogólny zarys ich planu. Rachela się sama zdradziła.

— W jaki sposób?

— Miała pecha — odrzekł Henryk — że Beth poprosiła ją o pożyczenie klucza tak szybko po morderstwie. Nie mogąc go dać, musiała przyznać, że zaginął, a także utrzymywać, że nie zauważyła tego. Nosiła ten klucz na tym samym kółku, co klucze od domu. Był to duży, ciężki klucz. Nie mogłem uwierzyć, że nie zauważyła natychmiast jego braku. Zdenerwowała się, kiedy powiedziałem jej, że morderca musiał wrócić, żeby przetrząsnąć walizkę. Rachela wiedziała doskonale, że jej walizka została przetrząśnięta. Widziała ją przecież w tym stanie. Jej jedyną reakcją był na razie gniew. Kiedy po raz drugi wspomniałem o tym, przestraszyła się, bo powiedziałem, że wiem, iż zabójca wrócił do budynku później. Wtedy już ją prawie miałem, o czym wiedziała. Martwiło mnie tylko, że nie mam dostatecznych dowodów. Znaki na bibułce, które byłyby rzeczą rozstrzygającą, zostały wraz z nią spalone, a atrament zniszczony. Nie miałem dowodu dla sądu. W tym momencie moja uroczą, lecz niemądra siostrzenica postanowiła włączyć się do tej sprawy. — Skłonił się Weronice. — Chcesz opowiadać dalej?

— Wcale nie niemądra — zaprotestowała żywo — tylko wyjątkowo inteligentna. Kupiłam ten atrament w Paryżu. Oczywiście panna Masters nie wiedziała, na co jest on potrzebny i jaki ważny, bo nigdy

nie pozwoliłaby takiej idiotce jak ja mieszać się do tego. Był to po prostu sprawunek, o który poprosiła ją panna Pankhurst, a ponieważ była zajęta, wysłała mnie po ten atrament. Nie kojarzyłam tego zupełnie z morderstwem aż do chwili, gdy poszłam na przymiarki do Mikolaja Knighta. Wtedy przypomniałam sobie nagle, że kiedy ostatni raz występowałam na jego pokazie tuż po rewii paryskiej, widziałam, jak pracują nad jednym z modeli, które on nazwał „specjalnościami paryskimi”, i widziałam kawałki papieru z dziwnymi atramentowymi znakami, i coś mi zaświtało. Chciałam opowiedzieć o tym wujowi Henrykowi, ale on był paskudny i nie pozwalał mi mówić, więc pomyślałam: „Ja mu pokażę. Zrobię to sama”. Kiedy mówię sama, to oczywiście znaczy z Donaldem.

— To znaczy, że wrobiłaś w to biednego chłopca — powiedziała matka Weroniki. Nie na darmo wychowała cztery powabne córki.

— Rzeczywiście, rzuciłam go wilkom na pożarcie — przyznała Weronika. — Ale nie masz o to żalu, prawda, kotku ?

Donald wpatrywał się w nią z wyrazem człowieka, któremu obojętne są piekło, ogień, wzburzone morze, dopóki może patrzeć w oczy swej bogdanki. Jane westchnęła.

— Mów dalej. Co zrobiłaś?

— A więc — Weronika podparła się pod bok ręką i zrobiła poważną minę — widzicie, byłam pewna, że Knight jest w to zamieszany, ale wiedziałam, że musi mieć współlnika, bo sam nigdy nie jeździ do Paryża. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Chodziłam i opowiadałam bardzo głośno w pracowni, że znam jego brzydką tajemnicę. Rozeszło się to dość szybko — pracownie krawieckie to

doskonałe miejsce na plotki. Potem postanowiłam zniknąć w sposób dramatyczny. Pomyślałam, że ukryję się gdzieś cichutko i grzecznie, a Donald przez ten czas będzie obserwował mieszkanie Knighta. Wspólnik musi się pokazać, bo żaden z nich nie będzie wiedział, co się ze mną stało, i każdy będzie myślał, że ten drugi „podjął kroki”.

— Najgorszy pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem — zauważył Henryk. — Czy nie przyszło ci do głowy, że gdy znikniesz, Knight i jego wspólnik będą prawdopodobnie unikali jeszcze bardziej kontaktów z sobą? Kiedy spotkałem biednego Donalda na chodniku przed pracownią Knighta...

— Zapłaciłem za to sprzedawcy kwiatów dziesięć szylingów — zauważył posępnie Donald.

— Czy on nie jest nadzwyczajny? — zagruchała Weronika. — Ani razu się nie poskarżył. I udało się!

— Wtedy, jak już zaznaczyłem, kiedy ktoś z sensem przejął tę sprawę — powiedział Henryk. — Zresztą, opowiedz nam, jak to przeprowadziłaś?

— Zamierzaliśmy wyjechać do Porchester i zniknąć, ale zachorowała matka Donalda, więc obmyśliliśmy jeszcze lepszy plan. On pojechał w piątek do Essex, żeby ich trochę przygotować. Potem ja wyszłam i wysłałam wieczorem telegram do samej siebie, i zachowywałam się na poczcie podejrzanie, w nadziei, że ten urzędnik mnie zapamięta. Nie zdziałałabym więcej, gdybym stanęła na głowie.

— On nie zapamiętał twojej głowy — wtrącił Henryk — tylko nogi.

— W każdym razie telegram przyszedł w sobotę rano, pokazałam go Nancy, żeby się upewnić, że ona wie o tym.

Potem przywdziałam mój paryski strój galowy, włożyłam czerwony płaszcz, chciałam rzucić się w oczy. Jestem pewna, że taksówkarz zapamiętał mnie.

— Owszem — powiedział Henryk.

— Pojechałam na Waterloo i weszłam do damskiej toalety. I tam, bezpiecznie zamknięta, przebrałam się w mój stary granatowy kostium i zniszczony kapelusz, starałam makijaż i włożyłam wspaniałe okulary w rogowej oprawie, które Donald kupił dla mnie u Woolwortha...

— A więc to byłaś ty! — wykrzyknął Henryk.

— Kto był mną?

— Pewnemu miłemu starszemu panu Scotland Yard winien jest przeprosiny — rzekł inspektor. — Przysięgał, że jechał metrem z tobą i opisał dokładnie, jak byłaś ubrana. Nikt mu nie wierzył.

— No, czy mi się nie udało? — spytała Weronika z promiennym uśmiechem. — Musiał cię uważać za tępaka.

— Nie byłem znów taki tępy. Wiedziałem, że przebrałaś się w toalecie i zniknęłaś rozmyślnie. Rozpuściłaś tam włosy, prawda?

— Skąd wiesz?

— Pełno tam było szpilek i płatek do twarzy ubrudzony tą okropną brązową szminką i tuszem, które starałaś widocznie bardzo starannie. Więc kojarząc fakt, że wszyscy widzieli, jak weszłaś, a nikt nie widział cię wychodzącej...

— Uważałam, że to dość sprytne — powiedziała Weronika, która nie odznaczała się fałszywą skromnością. — Pojechałam zwyczajnie metrem na Liverpool Street i pociągiem do Hockton i spędziłam uroczy weekend u rodziców Donalda, którzy są przemili.

— Ale kiedy podniósł się gwałt...?

— Oni mnie nie poznali — wyjaśniła z zadowoleniem Weronika.
— Nie rozpoznali mnie na tych okropnych zdjęciach z „Mody”, które publikowano wszędzie. Staralam się, oczywiście, jak mogłam, nie dopuścić ich do gazet. Teraz dopiero widzę, że zaczynali coś podejrzewać, kiedy zatelefonowałeś, wuju.

— Ty telefonowałeś? — spytała oszołomiona Jane. — Więc wiedziałeś, że ona tam była, Henryku?

— Powiedziałem wam, jak to wyrozumowałem. Wiedziałem, że zniknęła rozmyślnie. Wydawało się, że nie może być gdzie indziej.

— Wuj Henryk był wściekły — powiedziała Weronika. — Myślałam, że telefon rozpadnie się w kawałki. Niemniej mili policjanci z Chelmsford przyjechali i przeszmyglowali mnie. Zatelefonowaliśmy do wuja do Scotland Yardu, żeby zawiadomić, że jedziemy, i ruszyliśmy całym pędem do Londynu na syrenie, ja byłam ukryta na podłodze pod kocem. Było bosko.

Kiedy przyjechaliśmy do Scotland Yardu, wuj Henryk zapytał mnie, czy znam Elwirę, która pracuje u Mikołaja Knighta, a ja ją oczywiście znałam. Powiedział, że porozumiał się z nią i że jest ona gotowa przemycić mi bocznymi schodami prowadzącymi z „Oranżerii” i wziąć od niego buteleczkę atramentu, i włożyć ją w bukiet, który będę niosła. Potem wyuczył mnie, co mam mówić i robić, i... no to wszystko.

— Wiele ludzi pomogło mi w ostatniej chwili — powiedział Henryk. — Elwira była wspaniała, a Margery French postarała się o to, żeby pracownicy „Mody” zeszl się wszyscy wcześniej. Załatwiła też, że przyszła również Rachel Field, co było rzeczą nie praktykowaną, jej sekretarka zazwyczaj nie przychodziła na pokazy mody.

Nie spodziewałem się Michała i Patryka, ale widocznie Margery ubłagała Patryka, by przyszedł i wspierał ją moralnie, i żeby zaprosił Michała na lunch. Odegraliśmy więc naszą scenkę dramatyczną i jak się spodziewałem, nerwy Knighta nie wytrzymały. Co by się stało, gdybyśmy mieli do czynienia z parą ludzi w rodzaju Racheli, wołę nie... — Rozejrzał się wokoło z nagłym dziwnym uczuciem, że nikt go już nie słucha. Donald całował Weronikę tak gwałtownie, że widać było, iż żadne z nich przez jakiś czas nie zainteresuje się niczym innym. Pozostali usnęli. — O, do diabła! — powiedział Henryk. — Idę spać.